

WYWIAD Z BYŁYM WSPÓŁPRACOWNIKIEM ZEŁEŃSKIEGO

Ołeksij Arestowycz: Nawet atak jądrowy
nie złamie Ukraińców



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 11/518 13-19 MARCA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO

WIECZY

Ziemkiewicz ostro o tradycji
polskiej nekropolityki

PAPIESKI
DOM RELATYWIZMU
CO FRANCISZEK
ZBUDOWAŁ
W ABU ZABI



W USA katolicy są traktowani
jak Al-Kaida?

POLSKA WYBIEGA PRZED SZEREG

**Poruszająca rozmowa
z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim:**
o wojnie na Ukrainie,
o polsko-ukraińskiej
historii i teraźniejszości,
o własnej chorobie nowotworowej

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 42206710b3



WYKLĘCI PRZEZ KOMUNISTÓW ŻOŁNIERZE NIEZŁOMNI

JÓZEF KURAŚ „OGIEŃ”

SERIA SREBRNYCH MONET
KOLEKCJONERSKICH NBP

15 marca 2023 roku Narodowy Bank Polski wprowadzi do obiegu kolejną monetę kolekcjonerską z serii „Wyklęci przez komunistów żołnierze niezłomni” – „Józef Kuraś »Ogień«”.

Serię tworzą srebrne monety o nominale 10 zł z wizerunkami bohaterów, którzy – jak głosi inskrypcja umieszczona na monetach – „Zachowali się jak trzeba”.

Narodowy Bank Polski upamiętnia tą serią żołnierzy, którzy polegli, walcząc w polskim powojennym podziemiu niepodległościowym, antysowieckim i antykomunistycznym.

Monety kolekcjonerskie do nabycia
w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym:
kolekcjoner.nbp.pl



Najbliższy partner hegemonu



PAWEŁ LISICKI

Wzeszły piątek doszło w Waszyngtonie, pierwszy raz po roku, do spotkania prezydenta USA Joe Bidena i kanclerza Niemiec Olafa Scholza. Nie dziwi mnie, że w Polsce media i politycy poświęcili mu niezbyt dużo miejsca, co zresztą szczególnie dotyczy tych prawicowych. Wizyta Scholza oraz słowa, które podczas niej padły, podważają bowiem oficjalny, rządowy dyskurs, tak chętnie przyjmowany też przez wielu prawicowych publicystów. Zgodnie z nim Niemcy podczas wojny na Ukrainie okazały się państwem niejalnym. Wynika to z tego, że agresja Rosji na Ukrainę oznaczała koniec ich snów o potęgę, o stworzeniu swego rodzaju niemiecko-rosyjskiego imperium, które miałyby podporządkować sobie Europę. A skoro tak, to, zgodnie z tą wizją, za swoją bliską wcześniejszą współpracę z Moskwą i niechęć do zaangażowania na Ukrainie Niemcy zostaną teraz przez Amerykanów ukarane. W ten sposób pojawia się wielka szansa dla Polski, najbardziej lojalnego i oddanego sojusznika Waszyngtonu w Europie. Niektórzy wspominali nawet o wzorcu, jakim dla współczesnego Berlina miałby być Otto von Bismarck i jego mocarstwowa polityka z XIX w. Cóż, znowu spełnia się stare porzekadło, że najbardziej lubimy to, co znamy.

Otóż podczas spotkania w Waszyngtonie prezydent USA dziękował kanclerzowi Niemiec za „silne, mocne, trwałe przywództwo, które ogromnie zmieniło rzeczywistość”. I dodawał: „Razem zrealizowaliśmy obietnice. Bardzo szybko stanęliśmy na wysokości zadania i zapewniłście wsparcie wojskowe. Można twierdzić, że oprócz wsparcia wojskowego, również wsparcie moralne, które daliście Ukraińcom, jest ogromne, bardzo głębokie”. Kanclerz Scholz mógł się jedynie cieszyć. Rola Niemiec jako pierwszego partnera lub – jeśli kto chce –

pierwszego wasala Ameryki została potwierdzona.

Polskie opowieści o nowych, bismarckowskich Niemczech mają wprawdzie zaletę, bo dobrze opisują nasze emocje, jednak mają dość zasadniczą wadę: mijają się z rzeczywistością. Niemcy Bismarcka oparte były na trzech filarach. Po pierwsze na potężnej, najsilniejszej wówczas w Europie armii, po drugie na odwołaniu się do pruskiego nacjonalizmu, z czego zresztą wynikały prześladowania Polaków i walka z Kościołem katolickim, wreszcie, po pokonaniu Danii, Austro-Węgier i Francji, na uznaniu zasady równowagi w relacjach międzynarodowych. Stąd zresztą brała się niechęć Bismarcka do tzw. Weltpolitik, której wielkim entuzjastą był Wilhelm II i która to idea w znacznym stopniu przyczyniła się do wejścia cesarstwa do pierwszej wojny światowej. Dzisiejsze Niemcy nie mają potężnej armii, podważają wartość suwerenności narodowej, a co się dotyczy polityki światowej, nie zrobią kroku bez akceptacji Waszyngtonu.

Doskonale pokazuje to drobny, ale znaczący fakt: po spotkaniu z Scholzem nie przewidziano otwartej konferencji prasowej. Trudno się dziwić. A co, gdyby padło tam nieprzyjemne pytanie o wysadzenie w powietrze Nord Stream 2? Jak wiadomo, całkiem niedawno o przeprowadzenie tego ataku na gazociąg łączący Rosję z Niemcami Stany Zjednoczone oskarżył amerykański dziennikarz śledczy Seymour Hersh. Nie byłby taki dziennikarz śledczy – zdobywca Nagrody Pulitzera, autor wielu wcześniejszych odkryć. I co? I nic. Biały Dom zaprzeczył. A niemieckie imperium neobismarckowskie? Niemiecki prokurator generalny wydusił z siebie jedynie, że brak śladów na udział Rosjan. Całkiem przypadkowo kilka dni po wizycie Scholza „New York Times”, powołując się na CIA, podał, że zamachu

miała dokonać bliżej nieokreślona grupa Ukraińców. Hm, na kilometr pachnie to próbą przykrycia niewygodnych doniesień Hersha. Przecież gdyby taki atak przeprowadzili Amerykanie, byłby to akt sprzeniewierzenia się – w końcu Niemcy to sojusznik USA w NATO, a gazociąg to w dużym stopniu ich inwestycja. Tego wątku Niemcy wolą nie badać.

Przyczyna jest prosta. Od samego początku, po drugiej wojnie światowej, USA przyznały Niemcom ograniczoną suwerenność. Zachowały kontrolę nad służbami specjalnymi i armią (za pośrednictwem baz wojskowych), zezwalając Berlinowi na prowadzenie suwerennej polityki tylko w jednej dziedzinie – gospodarce. Niemcy dzisiejsze zostały skonstruowane nie przez Bismarcka i pruskie, konserwatywne juntry, ale w znacznym stopniu przez wracających po 1945 r. profesorów tzw. szkoły frankfurckiej. Dlatego również w sensie ideologicznym Niemcy są tak wielkimi zwolennikami unijnej federacji europejskiej czy też Zjednoczonych Stanów Europy, wykoncypowanego w USA projektu, który oznacza osłabienie lub zniszczenie zasady narodowej suwerenności. Amerykanie w relacjach z Niemcami zachowali sobie coś w rodzaju „złotej akcji” – dlatego zresztą opowieści amerykańskich neokonserwatystów, tak chętnie przyjmowane w Polsce, zgodnie z którymi Niemcy z Rosją mogły stworzyć nowe, antyamerykańskie imperium, były funta kłaków warte. Ciekawe zresztą, że najwyraźniej nabrał się na nie sam Władimir Putin, gdy liczył, że w rozprawie z Ukrainą Niemcy zachowają neutralność.

Spotkanie Scholz-Biden powinno dać polskim politykom, szczególnie tym, którzy bronią zasady suwerenności narodowej, wiele do myślenia. Na Zachodzie jest jeden hegemon, który przed laty już zdecydował, kto będzie najlepiej obsługiwał jego interesy w Europie. ©



Okładka niemieckiego tygodnika „Stern” z tytułem: „Starszy brat powrócił”

TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z KS. TADEUSZEM
ISAKOWICZEM-ZALESKIM

**CZY NASZ RZĄD CHCE WEJŚĆ
W TĘ WOJNĘ?**

Nie jesteśmy „Chrystusem narodów”



NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ROZMOWA

Z OŁEKSJEM ARESTOWYCZEM

**NAWET ATAK JĄDROWY
NIE ZŁAMIE UKRAIŃCÓW**

Polska musi wspierać Ukrainę,
żeby nie stać się Ukrainą

48 PIOTR SEMKA

**POCZTÓWKA
Z ZACZAROWANEJ PLANETY**

50 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

**CZEMU RUSKIE ONUCE
NOSI „PARTIA NIEMIECKA”?**

HISTORIA

54 WŁADYSŁAW TYRAŃSKI

„MAŁA POLSKA”

Podziemna manufaktura wydawnicza

ŚWIAT

60 WOJCIECH GOŁONKA

VICTORIA NULAND

Amerykańskie układanie Europy

62 WITOLD REPETOWICZ

IZRAELSKI TRÓJKĄT BERMUDZKI

65 PAWEŁ CHMIELEWSKI

PAPIESKI DOM RELATYWIZMU

68 PIOTR WŁOCZYK

KATOLICY JAK AL-KAIDA?

70 JOANNA BOJAŃCZYK

NIETYKALNI.

SPRAWA MURDAUGHÓW

EKONOMIA

72 TOMASZ CUKIERNIK

METANOWY KIJ NA WĘGIEL

Zielona polityka jeszcze bardziej radykalna

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

**„KREW NA RĘKACH”
– REAKTYWACJA SKRYPTU**

Kapitał polityczny budowany na tragedii

24 ŁUKASZ WARZECHA

IDZIEMY DROGĄ NIEMIEC

26 ROZMOWA Z ROBERTEM BĄKIEWICZEM

ZAORAĆ MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI

28 JAKUB ZGIERSKI

**DYWERSJA POD OKIEM
LEWICOWYCH EKSPERTÓW**

30 TOMASZ ROWIŃSKI

**BRAK DZIECI
W POLSCE TO KWESTIA
MENTALNOŚCI**

32 ŁUKASZ

ZBORALSKI

**PRZEJŚCIOWE
(NIE)POROZUMIENIE**

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK

**OSCARY
SUBIEKTYWNIE**

Najlepsze filmy roku 2022

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (58), PRZYBYLSKI (59),
GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JĄSTRZĘBOWSKI, WÓŁCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Oliver Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
 Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruselo),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabanski, Wojciech Golonka,
 Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
 Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
 Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
 Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk,
 Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
 Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
 Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
 Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadarowski (dobrek zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
 Okładka: **Wojciech Olkuśnik/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Klor

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 376

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Ten straszny Viktor Orbán”, **Paweł Lisicki**, „DRz” nr 10/2023

Przeczytałem w „Do Rzeczy” Pana artykuł „Ten straszny Viktor Orbán” i muszę stwierdzić, że nie mogę się zgodzić z Pana stanowiskiem w tym artykule.

Wojny nie da się zakończyć, jak się wielu politykom wydaje. Oczywiście można ją przerwać, tak jak w roku 2014, ale ona na nowo się rozpali. Putin nie mógłby jej skończyć, nawet gdyby ograniczył się do uzyskania terenów zajętych, bo mu na to nie pozwolą jastrzębie. Za dużo poobiecował i co innego oczekują od niego Rosjanie. Za dużo ich ta wojna kosztowała.

Pokój wersalski nie tylko zakończył pierwszą wojnę światową, lecz także szybkimi krokami doprowadził do drugiej wojny światowej – jeszcze okrutniejszej! Hitler już od 1943 r. wiedział, że wojnę przegra, ale prowadził ją do końca i zakończył ją wraz ze swoim życiem – śmiercią samobójczą. Tak samo musiało by się stać z Putinem. Innego wyjścia on nie ma.

Losami ludzkości kieruje Pan Bóg. Dlaczego dopuszcza do strasznych wydarzeń, jak choćby ta wojna na Ukrainie czy trzęsienia ziemi w Turcji i Syrii? Tego nie wiemy, ale musimy się z tym pogodzić. Nie wiemy, co nas jeszcze spotka, ale wiele ostrzeżeń Bożych nie mówi nam

o fajnej przyszłości, ale przeciwnie – o trudnych czasach.

Powstanie warszawskie w 1944 r. uważam za największe polskie zwycięstwo w drugiej wojnie światowej. Dzięki temu powstała PRL (namiastka państwa polskiego), nie zostaliśmy wchłonięci. Trzeba o tym pamiętać stale! Dostaliśmy ziemię zachodnią za te zabrane nam przez ZSRR.

Z poważaniem

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

PS Orbán się zaplątał i już mu nic innego nie pozostało, jak tylko wzywać do zakończenia wojny. Ja mu się nie dziwię.

Niemieckie manipulacje

Uwielbiam seriale kryminalne. Natrafłem na niemiecki serial na kanale Romance TV, pt. „Kryminalne zagadki Mazur”. Moim zdaniem to się nadaje na interwencję w MSZ. Widziałem tylko jeden odcinek i się zagotowałem. Akcja się dzieje w okolicach Szczytna, ale, o dziwo – nie wiem, na jakiej podstawie – śledztwo prowadzi niemiecka policjantka z pomocą polskiej policji. Rzecz w tym, że wszyscy mówią po niemiecku, a Polacy są tam tylko tłem. Na polskich mundurach policyjnych jest jedynie napis „Policja”, nie ma żadnych polskich oznaczeń – nawet odznaka na rękawie polskiego policjanta przypomina niemiecką. Podobnie na samochodach i urzędach w Szczytnie nie ma śladu Orła Białego, zupełnie tak, jakby Mazury były dalej niemieckie. Dla mnie, jako Polaka, to nie do przyjęcia.

Pozdrawiam

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji



NA PIERWSZY OGIEŃ

Badajmy teczki, ale mądrze



PIOTR SEMKA

Nagle uznaliście, że w sprawie Karola Wojtyły i kardynała Adama Sapiehy teczki bezpieczeństwa nie są wiarygodne. Ale jak oskarżaliście Lecha Wałęsę o bycie agentem, to dokumenty SB były cacy – szydzi z prawicy jeden z komentatorów obozu liberalnego. Ten publicystyczny sztych brzmi efektownie, ale jest bałamutny. Owszem, ułatwia takie sztuczki retoryczne maniera części prawniczych obrońców Jana Pawła II, którzy dyskredytują zarzuty Marcina Gutowskiego i Ekkego Overbeeka jako „opieranie się na materiałach aparatu przemocy PRL”. Rzecz nie w tym, by odrzucać a priori papierowy spadek po bezpieczeństwie, tylko by czynić to mądrze i zgodnie z warsztatem historyka.

W sprawie Lecha Wałęsy teza o jego świadomej, płatnej i aktywnej współpracy z bezpieczeństwem wynikała z analizy jego licznych donosów i śladów po tych donosach w teczkach ofiar inwigilacji. W innych sprawach lustracyjnych powoływano się na zapisy w spisie osobowych źródeł informacji, których bezpieczeństwo nie fałszowała.

Nie mogła tego robić, bo sama zagubiłaby się w swoich grach operacyjnych.

W wypadku filmu „Franciszkańska 5” Marcina Gutowskiego i książki „Maxima culpa” Ekkego Overbeeka autorzy budują insynuacje o rzekomych perwersyjnych skłonnościach kard. Adama Sapiehy na podstawie zeznań dwóch złamanych przez UB księży, uzyskanych w czasie ich przesłuchań. Nie wiemy i nie jesteśmy w stanie ustalić, czy przesłuchiwanie byli torturowani. Nie wiemy, czy dręczeni kapłani nie mówili tego, co im sugerował śledczy. Skoro nie ma pewności co do prawdziwości zeznań, to jak można na nich budować bardzo drastyczne oskarżenia? To dlatego sięganie po zeznania zaszczytów ludzi musi budzić moralne obrzydzenie. Tym bardziej że w wypadku papieża i kardynała krakowskiego mowa o dwóch postaciach o ogromnych zasługach dla Polski i Kościoła. W ich wypadkach tylko bardzo wyraźne i jednoznaczne dowody pozwalałyby na budowanie oskarżeń.

Raz jeszcze wypada powtórzyć: czym innym jest badanie w archiwach UB czy SB, czy ktoś został zarejestrowany jako agent, bo wymagało to określonej procedury, którą SB traktowała niezwykle serio. Czym innym są zeznania na przesłuchaniach, które mogły być wymuszone.

Kardynał Stefan Wyszyński, mając w pamięci, jak sądzony w 1948 r. przez komunistyczny sąd węgierski prymas József Mindszenty w skutek tortur przyznawał się do kolejnych przestępstw, ostrzega, by w razie jego aresztowania nie wierzyć w nic, nawet gdy będzie się on samooskarżał. Prymas Tysiąclecia wiedział dobrze, do czego zdolni byli doprowadzeni do obłędu ludzie w szponach UB bez chwili snu, którym nie pozwalano nawet napić się łyka wody.

Dziś generacja młodych arogantów, którym nie śniły się nawet sadystyczne metody bezpieczeństwa, nie bierze pod uwagę makabrycznego oblicza tamtych czasów. Bezpieczeństwo zanosi się upiornym rechem zza grobu. ©

GEN. PETR PAVEL JUŻ OFICJALNIE PREZYDENTEM CZECH

Emerytowany generał i bohater wojenny Petr Pavel 9 marca oficjalnie rozpoczął pięcioletnią kadencję. Nowy prezydent zastąpił Miloša Zemana, który najwyższy urząd w państwie piastował przez 10 lat. W ciągu pierwszych stu dni urzędowania zamierza odwiedzić wszystkich sąsiadów Czech. Zacznie tradycyjnie od Słowacji. Do Polski przybędzie 21 marca, a dzień później wybierze się w podróż do Niemiec. (jap) ©



FOT. LUKAS KABOVANADOLU AGENCYGETTY IMAGES



AKADEMIA
KOPERNIKAŃSKA

NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Akademia NBP współpracuje ze Szkołą Główną Mikołaja Kopernika.

Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, został nominowany na członka Akademii Kopernikańskiej podczas Światowego Kongresu Kopernikańskiego. W trakcie Kongresu odbyło się spotkanie przedstawicieli banków centralnych, którzy zaangażowali się w rozwój Szkoły Głównej Mikołaja Kopernika.



Naszym głównym celem jest kierować programowo Szkołą Główną Mikołaja Kopernika, która będzie prowadzić wykłady na wszystkich szczeblach z ekonomii, zarządzania i finansów [...] Zależy nam na tym, aby na wykłady Akademii NBP przyjeżdżali wykładowcy z całego świata, ci najlepsi, z czołowych ośrodków uniwersyteckich [...] – powiedział prof. Adam Glapiński po otrzymaniu nominacji.

Więcej o kursach na:
akademia.nbp.pl

obserwator
finansowy.pl



BANK I KREDYT
BANK & CREDIT



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

0 niczym

Niektóre informacje naprawdę potrafią człowieka zdziwić. Kto z państwa nie jest zdziwiony tym, że „Newsweek” przyznał swoją nagrodę dziennikarską autorowi tefalenowskiego reportażu „Siła kłamstwa” – filmiku demaskującego Antoniego Macierewicza i jego komisję? Dla mnie to doprawdy szok porównywalny z tym, jakiego doznałem na wieść, że człowiekiem roku tygodnika „Sieci” został po raz kolejny Jarosław Kaczyński.

Albo że na fali „społecznego oburzenia” wycofali się ze współpracy z Radiem Szczecin reklamodawcy. A konkretnie kina Helios – należące do spółki Agora.

Czy z innej beczki: wielce zdziwił zapewne państwa, gdy państwu

powiem, jaką książkę zamierza Tomasz Lis, który niedawno ogłosił, że zakłada wydawnictwo, wydać w owym wydawnictwie jako pierwszą. Nikt nie zgadnie: książkę o Tomaszu Lisie. Była kiedyś piosenka: „Co ja poradzę, że jestem ładny, fotogeniczny i taki zgrabny”... Nie wiem, dlaczego mi się to przypomniało. Biografia Lisa mogłaby rzeczywiście być ciekawa, gdyby ktoś opisał w niej, jak rzeczony traktował pracowników i kolejne żony, no i zdradził otwartym tekstem tę skądinąd powszechnie już znaną, ale powtarzaną tylko szeptem tajemnicę, za co wyleciał z Ringiera Springera. Z tym że tych akurat wątków w tej akurat biografii się znaleźć nie spodziewam. I to też jest wielkie zdziwienie.

Skoro wspomniałem o Agorze, to ubawiła mnie najnowsza kampania reklamowa „GW”, która namawia do wykupienia w promocji subskrypcji na trzy lata z góry. Kto lubi hazard, może obstawić, że przetrwają jeszcze tak długo; ja zakładów nie przyjmuję.

I jeszcze jeden „niusik”: sieć sklepów alkoholowych będzie otwarta w niedzielę, bo założyła kasy samoobsługowe i zatrudnia tylko ochroniarzy. A wedle kretyńskiego zakazu w niedzielę nie wolno „zmuszać do pracy” sprzedawców, ale ochroniarzy wolno. „Bzdura lex” – mawiali starożytni.

Przepraszam, że ten felieton trochę o niczym. Po tak pełnym emocji tygodniu „o czymś” już się nie chce. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Jak demontować historię?

Lepiej się nie mieszać, więc „ci których dotknęło nie-szczęście są zawsze samotni”. Herbert jeszcze długo będzie nas prowadził w mroku naszych czasów. Usłyszeć dziś można, że nie byłoby ataków na Księcia Kardynała Sapiechę, gdyby w ramach lustracji wcześniej upubliczniono insynuacje UB na jego temat. Opinia ta pokazuje, jak łatwo antykatolicka paranoja staje się zaraźliwa, jak dotknąć może nawet tych, którzy wydawali się wobec niej najbardziej odporni. Zaraźliwość obłędu nie jest żadną metaforą. Walka z Kościołem (przedstawiana najczęściej jako jego „oczyszczanie”) usprawiedliwiać ma wszystko, również

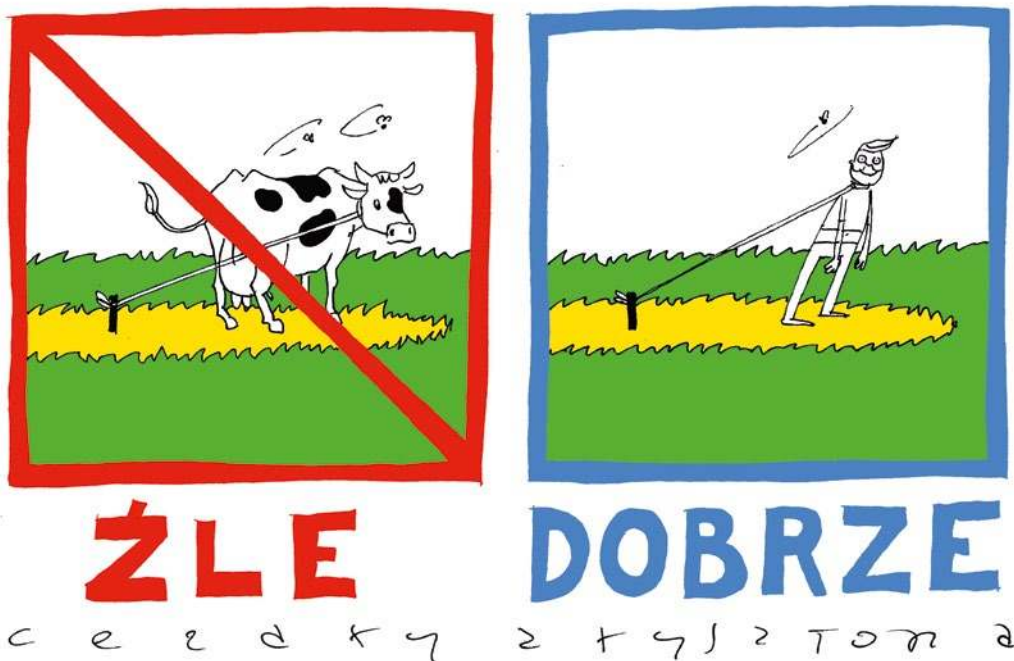
całkowite wywrócenie sensu słów, zasad, instytucji.

Cóż bowiem oznacza lustracja? Ujawnianie tajnych działań władzy komunistycznej i tych, którzy brali w tym udział. Co ma z tym wspólnego kolportaż agentalnych pomówień na temat czynnych przeciwników komunizmu? Coraz większy historyczny obskurantyzm zmusza bowiem, by przypomnieć, że kard. Sapieha przez całe życie był radykalnym przeciwnikiem komunizmu, łącznie z osobistym sprzeciwem wobec „porozumienia państwo-Kościół” podpisanego przez prymasa Wyszyńskiego.

O wymysłach stalinowskiej policji sam Antoni Słonimski

napisał był, że przy procesach moskiewskich kampania Goebbelsa po podpaleniu Reichstagu wydaje się „niewinną igraszką”. Oczywiście oskarżanie o antykomunizm niewygodnych przywódców bolszewickich albo Armii Krajowej o współpracę z Hitlerem służyło dehumanizacji wroga. Ale ponadto (i może jeszcze bardziej) miało świadomie wpędzać w paranoję bezsilne społeczeństwo, wmawiać dezorientowanym ludziom, że nic już nie jest takie, jak wydawało się, że jest. I – jak widać – to działa, skoro cień ubowskich insynuacji może zakryć nawet największą zasługę albo w ogóle sprawić, że realna historia przestaje znaczyć cokolwiek. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O tańcach na grobach

26 lutego nad ranem doszło do tragedii u wybrzeży Cutro w Kalabrii. Rozbił się statek z migrantami i utoneło co najmniej 100 osób. Kilka godzin przed katastrofą samolot unijnej agencji ochrony granic Frontex dostrzegł statek i poinformował o tym włoskie władze, uspokajając, że płynie bez większych kłopotów, nie budzi obaw, choć przypuszczalnie jest przeciążony. W związku z tym Włosi nie wysłali jednostki ratunkowej, a łodzie gwardii finansowej, które miały eskortować statek do portu. Łodzie zawróciły z powodu wysokiej fali. Statek płynął w kierunku plaży w Cutro i pewnie odyseja skończyłaby się szczęśliwie, ale przemytnicy

zauważyli policję na brzegu. Chcieli gwałtownie zawrócić i wpadli na mieliznę. Potem fale roztrzaskały statek, a spośród 200 pasażerów (każdy zapłacił 8 tys. euro za podróż) uratowało się zaledwie 80.

Druga gazeta Italii, „La Repubblica”, opatrzyła zdjęcia trumien z ofiarami na pierwszej stronie tytułem: „Nikt ich nie chciał uratować”, „La Stampa” zawyrokowała: „Masakra z winy państwa”, a radykalny dziennik „Domani”: „Salvini [obecnie minister transportu – przyp. P.K.] i jego straż przybrzeżna pozostawili migrantów na pewną śmierć”. Nowa szefowa lewicowej Partii Demokratycznej Elly Schlein, podobnie jak szef Ruchu Pięciu Gwiazd, były premier Giuseppe Conte, oświadczyła, że śmierci migrantów winien jest rząd.

Jednak haniebne przedstawienie we włoskim teatrze medialno-politycznym skończyło się wielką klapą. Jak wynika z sondaży, w to, że rząd jest winny tragedii migrantów, wierzy zaledwie 17 proc. badanych, a więc mniej niż połowa z tych, którzy głosowali na siły postępu we wrześniowych wyborach.

Ale postępowcy się nie poddają. Nadal walczą z faszyzmem. I to nie tylko we Włoszech. W pochodzie w obronie demokracji i konstytucji we Florencji pojawiły się transparenty „Precz z faszystowskim rządem Ukrainy” i flagi Związku Sowieckiego. Wszystko naprawdę zaczyna wyglądać na nieuleczalną, groźną chorobę. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

TYLKO KASA, KOTKU

W życiu to się jednak trzeba umieć ustawić. Bo jak się nie umie, to potem człowiek może mieć pretensje tylko sam do siebie. A najważniejsze to ustawić się związkowo. Mężczyzna? Ma być bogaty. – Pieniądze są wszystkim. Nie boję się powiedzieć, że pieniądze są fundamentem życia każdego z nas. Dla mnie to synonim poczucia bezpieczeństwa. Dla kobiety nie ma nic ważniejszego. Nigdy nie podrywał mnie ktoś, kto byłby na



FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

drabinie finansowej niż ja – przekonuje bizneswomen Joanna Przetakiewicz. – Wiem, że wk...iam ludzi. Spotykam się z opiniami, że nie wiem nic o życiu – stwierdziła. – Kiedyś zastanawiałam się, dlaczego nie urodziłam się we Francji albo we Włoszech, ale ten etap refleksji mam już za sobą. Jestem dumna z tego, że jestem Polką, i zawsze otwarcie mówię to, co myślę – podsumowała gwiazda. Wiadomo, że znaleźli się złośliwcy, którzy twierdzą, iż najlepszą inwestycją w życiu pani Joasi było małżeństwo z Janem Kulczykiem. Podli.

ALE TERAZ TO JUŻ NA PEWNO!

Próbowałam udawać, że tego tematu nie ma, ale dłużej się już nie da. Krzysztof Skiba. Tak... Od pewnego czasu bryluje

w mediach za sprawą nowego związku z o wiele młodszą kobietą. Wcześniej artysta porzucił żonę, z którą był przez ponad 30 lat. Życie prywatne Skiby było jednym z wątków jego rozmowy z Krzysztofem Stanowskim na Kanale Sportowym. – Ludzie mówią o tobie, że po prostu ci odbiło na stare lata – zagał dziennikarz. – No tak, bo oni mają nieszczęśliwe życie, tkwią w tym... [...]. Nieudacznik wymyśla plotki, głupek je rozpowszechnia, a idiota w nie wierzy. Tak to wygląda – odparł muzyk. – Informacje są takie, że ja śpię na forsie, że ona poleciała na kasę. Z Internetu dowiedziałem się, że mam obywatelstwo Kanady. Że moja partnerka ma to zrobione, tam zrobione... Że opłaciłem jej wycięcie żeber – kpił Skiba. – Widocznie widzi we mnie kogoś, kto jej się podoba. Pewna charyzma, pewien charakter, osobowość – to też robi wrażenie na kobietach. Ona twierdzi, że zakochała się w moich niebieskich oczach, i ja na te oczy zawsze zdawałem wszystkie egzaminy na studiach – żartował. W pewnym momencie złożył miłosną deklarację. – To jest miłość do końca życia. Ogłaszam publicznie, że chcę z Karoliną być do końca życia – zadeklarował Skiba. Teraz to już na pewno!

WIERSZYK WSTYDU

Wywiad satyryka dla Kanalu Sportowego obfitował w smakowite wątki. Niestety, obnażył też trochę mniej zabawną twarz Krzysztofa Skiby. Do programu zadzwonił bowiem oburzony widz, który nawiązał do wierszyka lidera zespołu Big Cyc sprzed siedmiu lat. Utwór nosił tytuł „Wykopki” i odnosił się do ekshumacji ofiar katastrofy smoleńskiej. „Aby oamić ten naród dumny, trzeba smoleńskie rozgrzebać trumny. Wykopać, zbeczcścić wbrew woli rodziny. Sumienia nie mają te s.....syny” – brzmiał fragment „wiersza”. – Okazało się, że w różnych grobach leżą różne ciała i te wszystkie wykopki, o których „heheszkował” sobie pan Skiba, miały uzasadnienie. [...] Czy nie jest panu głupio? – zapytał widz. – Zrobiono z tego cyrk. [...] Należy uszanować wolę tych, którzy nie chcieli

tych ekshumacji [...], i ja napisałem ten wierszyk... – zaczął się tłumaczyć Skiba. – A, czyli jak jedna osoba powie: „Nie róbcie tego, to jest bez sensu”, to trzeba to uszanować, pomimo że reszta może mieć problem z tym, że w grobie mojego taty nie leży mój tata – nie odpuszczał widz. – Ale przecież pan wie, że te ekshumacje robiono nie po to, żeby sprawdzić, gdzie i kto leży, tylko szukano dowodów na zamach, kul jakichś i tego nie znaleziono – spuwentował Skiba. Nie zabrakło też „przezabawnych” żartów z Jarosława Kaczyńskiego (w stylu „jest niski, nie ma prawa jazdy i konta w banku”), ale to już państwu odpuszczę.

EDZIA MA DOŚĆ

Tydzień temu opisałam krótko inbę, która rozpętała się po polskich preselekcjach do konkursu Eurowizji 2023. Inba ta, jak każda dobra inba, potrwa co najmniej miesiąc. Generalnie chodzi o to, że wygrał kto inny, niż oczekiwali widzowie i internauci. Fala hejtu spadła więc na zwyciężczynię, Blankę (za to, że rzekomo w ogóle nie potrafi śpiewać), na TVP (bo na pewno stacja przekłamała wyniki) oraz na przewodniczącą jury Edytę Górniak (sędziowie podjęli ostateczną decyzję, biorąc pod uwagę także głosowanie publiczności). Edzia uznała, że ma dość tego wszystkiego. – Jeśli chodzi o projekt Eurovision, to straciłam do wszystkich zaufanie. Choćby zmieniano i poprawiano regulamin, nigdy więcej nie dotknę tego tematu. Widziałam, co działo się w zeszłym roku, widziałam także, co ludzie zrobili, kiedy pojechał Rafał. I teraz znów jest to samo. Czuję się jak tarcza, którą ktoś wypożyczył i postawił sobie przed drzwiami. Temat jest dla mnie zamknięty – zadeklarowała zmęczona medialną nawałanką piosenkarka. – Jestem przekonana, że czas odpowie na wszystkie wątpliwości. Polecam nie oceniać na skróty. Pamiętać, że niezależnie od tego, że jestem osobą wpływową, nie jestem szefem szefów i nie mogę wszystkiego. Pomodlę się za sprawiedliwość – dodała Górniak. W sumie racja. Szkoda astralnej energii naszej diwy na te ziemskie bzdury. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ale wygenerowaliśmy przypał w korpo xD. W sumie trochę nasza wina, bo powinniśmy pamiętać, z kim mamy do czynienia, no ale po kolei xD.

Otóż, jak wiecie, za nami szowinistyczne święto, tzw. Dzień Kobiet, który ma na celu po pierwsze promocję toksycznej męskości, a po drugie zawężenie pojęcia kobiety wyłącznie do średniowiecznych kwestii biologicznych. No i wiadomo, iż największą toksyczną męskością wokół siebie u nas w teamie rozsiewa Nowy z Tarnowa: nosi wąsy, je cebulę, pije piwo, jest żonaty – a więc uosabia wszystko to, czym się brzydzymy, czego się boimy, ale co nas też trochę fascynuje.

A że naszym zdaniem zwracanie uwagi przy dyskursie o płci wyłącznie na biologię to pomyłka, iż każdy ma prawo 8 marca czuć, iż to jego święto, tzn. świecko – wybaczenie katofashystofskie naleciałości – to postanowiliśmy tego dnia wręczyć kwiaty każdemu członkowi/członkini naszego kolektywu, Nowemu też.

Niestety, nie zdążyliśmy wyjaśnić naszych intencji, a Nowy wybuchnął złością, zapytał, za kogo my go mamy, czy chcemy niepłatne nadgodziny i żebyśmy z tym zieliskiem... sobie poszli. Próbowaliśmy jeszcze wytłumaczyć mu, iż wręczamy mu te kwiaty i składamy życzenia, iż według nas tego dnia każdy jest równy

i jednocześnie chcemy mu uświadomić, jak bardzo jest uprzywilejowany, będąc białym, heteroseksualnym mężczyzną w tym chorym kraju.

No to Nowy nam postanowił pokazać swoje uprzywilejowanie i teraz wypełniamy excele od początku roku, ale mimo wszystko warto było xD.

Z buukera pod siedzibą Platformy Donald Tuski wysyła sygnały, że jest gotów do negocjowania warunków kapitulacji...



Wydaje nam się, kochani, iż do tej pory zbyt mało miejsca i uwagi poświęciliśmy kulturze popularnej dla najmłodszych. Jak bowiem wiadomo, ważne jest, iżby posiadać od małego odpowiednie wzorce, które przygotowują młodego człowieka do życia w postępowym świecie, w którym najważniejsza jest różnorodność itd.

Zgadzamy się z lewicowymi autorytetami, które oburzeniem reagowały na „Psi Patrol” – iż uczy osobodzieci akcyjnego działania – ale najgorsze jest w nim of kors to, iż dowodzi nim biały chłopak. To fatalne niedopatrzenie.

My natomiast chcemy teraz poświęcić, tzn. poświecić chwilę uwagi śwince Peppie. Przede wszystkim cała idea jest słuszna, serial bowiem pokazuje, iż osoby zwierzęce mogą żyć w taki sam sposób jak osoby ludzkie, czyli chodzić do pracy i placówek edukacyjnych, prowadzić pojazdy mechaniczne, oglądać telewizję itd. To godne szacunku promowanie tolerancji i zacieranie granic międzygatunkowych.

Z drugiej jednak strony twórcom zabrakło odwagi w kluczowym momencie i Peppa żyje w tradycyjnej heteronormatywnej rodzinie, gdzie są mama i tata, których imion nie znamy – cele życiowe tych dwóch świnkoosób, nazywanych po prostu mamą świnką i tatą świnką, zostały sprowadzone do prokreacji i odchowania potomstwa, bez poszanowania ich autonomicznych celów, potrzeby samorealizacji itd. Dlatego też całość oceniamy jako mocne 6/10 – jest postęp, jest tolerancja, trochę zabrakło, ale wszystko, jak przypuszczamy, do nadrobienia. @@

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Kiszona kapusta

Adam, ta inflacja to naprawdę spadnie?

Tak mi, Jarku, wyszło z tych tam liczb różnych. I tabelk.

Ty to czytasz?

Jasne, że nie. Przecież jeszcze nie zwariowałem. Ktoś tam czyta i mi potem mówi.

A jakby cię chcieli oszukać?

Ale jak oszukać? Przecież to i tak jest loteria. W sumie to nigdy nic nie wiadomo. Spadnie, nie spadnie, równie dobrze może meteoryt spaść, a gdy północ wybije, kruk czarny zakracze i z wysokiej góry zejdzie lawina kamienna.

Że co?

A nic, ja lubię sobie czasem wiersz napisać, jak tak siedzę smętnie przy biurku.

A tę kiszoną kapustę też z jakiegoś wiersza wzięłeś?

Nie, z woreczka, noszę w kieszeni zawsze i sobie podjadam. Bardzo zdrowa jest. Chcesz trochę? @@

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Klub Lewicy jako jedyna siła polityczna w Sejmie zagłosował przeciwko uchwale o JP II. Duma”.

MACIEJ GDULA, poseł Lewicy, na Twitterze

dwaj panowie g

Nie wiemy, jak spędziliście 8 marca, znaczy Dzień Kobiet, ale my pracowicie. Ktoś musi. Otóż próbowaliśmy dotrzeć do jak największej liczby niewiast z przesłaniem: „Ratuj się kto może!”. Wszystko przez nadchodzące wybory parlamentarne. Panie, do których nie dotarliśmy osobiście, prosimy o refleksję teraz, po lekturze rubryki.

Już wyjaśniamy: rozpoczął się sezon łowiecki na panie. Od PeŁo przez Polskę Płaczącą 2050 aż do wszystkich odcieni lewizny wszyscy mają ten sam pomysł: epatować w kampanii równouprawnieniem na listach wyborczych. Problem w tym, że liczba kandydatek w jakikolwiek sposób nadających się do tego jest raczej ograniczona. Rozpoczęło się więc ich wyrzucanie sobie na wyścigi, łącznie z próbami podkupienia całych organizacji czy stowarzyszeń. Boimy się, że na tym nie koniec, więc kiedy ktoś, miłe panie, podejdzie do was na ulicy, to szybko uciekajcie.

Powyższe wytyczne rozsiarziły szczególnie członków PeŁo niższego szczebla. Tak się bowiem składa, że partia szczycąca się wizerunkiem nowoczesnej, postępowej, europejskiej, młodej i antydyskryminacyjnej w rzeczywistości cierpi na wyraźny przerost podtatusiałych działaczy z andropauzą. Wiele się u nich w tym wieku zmienia, ale nie poli-

tyczne ambicje, a tu nagle trzeba połowę miejsc na listach odstępować koleżankom, których w dodatku za bardzo nie ma. Ale cóż, Tusk każe, działacz musi.

Historia braku tzw. zmiany generacyjnej w PeŁo to wspaniały temat i – jak wszystkie dobre tematy w Polsce – omijany szerokim łukiem przez tzw. media głównego nurtu. Współgra z nim poparcie ze strony tzw. gwiazd, które są równie młode i obiecujące jak sam partyjny establishment. Hołdys, Lis, Stuhr senior, Wojewódzki, Kozidrak. Nie wiemy, czy wiecie, ale ta piątka ma razem grubo ponad 320 lat. Młodzi, wykształceni, z wielkich ośrodków. No i dobrze wychowani. Tak nam się przypomniło z okazji koncertu Kozidraka, na którym skandowano „j...ć PiS”.

Wracając do sekretów samej PeŁo – ciękawce orzeszki przynoszą wiewiórki z okolic wierchuszki partyjnej ustalającej pomysły na kampanię. Otóż panuje tam przekonanie, że należy odpuścić tzw. tematy globalne, bo licytacja na HIMARS-y i spotkania z hamerykańskimi prezydentami skazana jest na przegraną. W związku z tym należy przyjąć zasadę, że bliższa koszula ciału, i skoncentrować się na tym, co dotyka zwykłego szarego człowieka. Nie, nie inflacja. Służba zdrowia oraz symboliczne ośmiorniczki PiS (nachapali się, znaczy kradną). Plus pilne poszukiwanie nowej Sawickiej, bo nic tak nie napędza kampanii jak łzy. To może zostać przy Szymonie?

Àpropos „nachapali się, znaczy kradną”. Sygnał do ataku dadzą za parę tygo-



FOT. ROBERT CARZJŃSKI

dni, a dokładnie 12 kwietnia, posłowie Koalicji Łobywatelskiej, niejaki Joński Dariusz oraz kochany poseł Szczerba. Wtedy to ukaże się ich wspólna książka „Wielkie żniwa. Jak PiS ukradł Polskę”. Próba zbiccia kapitału na wynikach kontroli poselskich nas nie dziwi. Natomiast wciąż dziwi nas, że takie wykwyty firmowane są przez wydawnictwo Znak. Widzicie, wyrosliśmy w czasach, kiedy słowo „Znak” albo wyrażenie „środownsko Znak” coś jednak znaczyły. Dziś, po książkach Grossa, Radka Sikorskiego, „Biblii queer” oraz Jońskim ze Szczerbą, absmak wciąż pozostaje.

Tymczasem z Nowogrodzkiej płyną wieści o szczególnej uwadze, którą należy poświęcić wyborom do Senatu. Bo poprzednio, na własne życzenie, izba refleksji i pamięci zamieniła się w izbę hejtu i glejtu, to znaczy matecznik Eine Totalopposition. O mandaty senatorskie nie będą walczyć osoby, które cztery lata temu niezbyt się starały, uważając, że znane nazwisko i godna fizjonomia załatwiają sprawę. Sam Naczelnik tak zdecydował.

Jeszcze o decyzjach Naczelnika, znanego też jako BSWP (Były Szeregowy Wicepremier). Zauważyliście może dymisję Jacka Żalka ze stanowiska sekretarza stanu w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Cóż, było tak: trzy tygodnie temu Naczelnik BSWP zapytał na wewnętrznym spotkaniu, czy naprawdę PiS musi płacić wizerunkowo za kłótnie wewnątrz obozu republikanów znanych też jako białanowcy. Niestety, żadna ze stron sporu nie zrozumiała aluzji. Aluzja była więc powtarzana przez rozmaitych wysłanników Naczelnika. Aż wreszcie z aluzji zamieniła się w polecenie. Stąd dymisja.

Nawiasem mówiąc, tak, nas też bawi sformułowanie „obóz republikańców”. Może raczej namiot. Nieduży. Namiotik? Typi? Wszak Adam Bieleń wzoruje się na amerykańskich doświadczeniach.

Wracając do troski PiS o Senat. Wiewiórki mówią, że wynika z jeszcze jednej kalkulacji. Gdyby się prawicy nie udało zmontować koalicji

rządzącej, to posiadając większość w Senacie i prezydenta (a Andrzej Sebastian ma posadę zapewnioną do roku 2025), można sprawić, że ewentualny nowy wrogi rząd będzie mógł tyle, co martwa mrówka. Jest zatem o co walczyć.

Apropos prezydenta Andrzeja Sebastiana. Bardzo ciekawa była wizyta osoby naszej głowy państwa na Półwyspie Arabskim. Okazało się, że arabscy politycy znają kilka słów po polsku, ale nie do końca mają pojęcie o stosunkach panujących w Polsce. I tak, ku irytacji naszej delegacji, powtarzali sformułowanie „Yalla Radek”. Co oznacza, że jakby pojawiły się jakieś problemy w stosunkach polsko-arabskich, zawsze mogą uruchomić Radka. W głowę zachodzimy, co to może być za Radek mający tak doskonałe stosunki na Półwyspie Arabskim.

Wracając do Złego Donalda z Sopotu – on tradycyjnie się wściekł. Nie z powodu podróży zagranicznych Andrzeja Sebastiana, lecz z powodu materiału pewnej prywatnej stacji telewizyjnej, która postanowiła zorganizować nagonkę na Jana Pawła II.

O mandaty senatorskie nie będą walczyć osoby, które cztery lata temu niezbyt się starały

Dlaczego się wściekł? Bo sympatie stacji zwanej przez złośliwców Tusk Vision Network sprawiają, że cokolwiek pokażą, to i tak idzie to na konto Donalda. A fakt, że nagle polskiego papieża w obronę wziął sam Tomasz Lis, tylko dowodzi, że przyjaciele Donalda też się wściekli.

Wiecie, jak to jest, nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu. A pewna prywatna stacja telewizyjna już nie może się doczekać jutrzeńki wolności. Ewentualnie w grę wchodzi drugie wytłumaczenie: to Amerykanie, którym zależy na współpracy z rządem wspierającym Ukrainę i NATO, obawiają się, że PiS może mieć za małe poparcie, by wygrać trzecią kadencję z rządu. Więc postanowili wykorzystać swoje kanały i pomóc PiS zdobyć dodatkowe głosy.

Apropos tego, co w kanałach. Znaczący w mediach. Ujawnienie tożsamości ofiary pedofila to skandal – grzmiały opozycyjne media. Cóż, panowie G. mają pamięć słonia. Pamiętają więc sprawę sprzed ponad 10 lat. Chodziło o pewnego krakowskiego celebrytę oskarżonego o pedofilię i kazirodztwo. Dziwnym trafem wówczas rozmaite media głównego nurtu, z telewizjami na czele, nie miały problemu z ujawnianiem tożsamości ofiary, donosząc, że był nią ni mniej, ni więcej tylko syn. Nie miały też najmniejszych skrupułów, by wbić się z kamerą na uroczystość pierwszej komunii ofiary. Historia jest długa i pełna zakrętów, ale jedno jest pewne – syn musiał zmienić nazwisko. Nie mamy słów wystarczająco obelżywych, stwierdziwszy, że podpisy niektórych autorów tamtej nagonki dziś figurują pod protestem w sprawie dziecka posłanki PO.

Jeszcze o dziennikarzach. Jak może wiecie, śledzimy w uwagę dzieje nagrody Amnesty International – Pióro Nadziei. Wciąż bowiem nie możemy się doczekać, kiedy otrzyma ją Radek Sknerus Sikorski albo Tomek Na Żywo Lis. W tym roku też rozczarowanie. Ale za to okazja, by

ogłosić narodziny nowego symetryzmu. Nazwiemy go „ruskim symetryzmem”.

Już tłumaczmy. Wśród nominowanych do nagrody AI jest np. Agnieszka Jędrzejczyk, która oprócz bajed o dyktaturze PiS w OKO.press pisuje też dość trzeźwe i rozsądne teksty o ponurej Rosji Putina. Dla równowagi specje z Amnesty postanowili więc nominować na drugą nożkę niejaką Joannę Klimowicz z „Wyborczej”, która zajmuje się głównie opowieściami z mchu, paproci i Bugu o rzekomych prześladowaniach rzekomych emigrantów z Białorusi. Czyli propaguje narrację ponurej Rosji Putina i wpisuje się w informacyjną wojnę przeciw Polsce. Czy nie łatwiej byłoby po prostu nominować Putina? On też ma jakieś pióro. I wciąż sporo nadziei. ©©

Obronić lasy przed unijną biurokracją



Wiele ostatnio mówi się i pisze o polskich lasach. Zarówno działania komisji ENVI w Parlamencie Europejskim, jak i wyrok TSUE w sprawie lasów mają wspólny mianownik: odebranie polskiemu rządowi możliwości pełnego decydowania o gospodarce leśnej, a tym samym osłabienie silnej pozycji przemysłu drzewnego w naszym kraju

Lasy, które od zawsze były oczkiem w głowie państwa polskiego, spełniały szczególną rolę. Nawet podczas zaborów, gdy były łupione i wycinane bez opamiętania. W spadku po zaborach dostaliśmy lasy zagospodarowane według różnych zasad i modeli administrowania. Ale nawet taki stan rzeczy nie przeszkodził leśnikom uczynić z polskiego leśnictwa europejskiej potęgi, i to w stosunkowo krótkim czasie. A dziś polski model trwale zrównoważonej gospodarki leśnej może być wzorem dla innych państw. Opiera

się na praktykach wypracowanych przez kilka generacji polskich leśników, czerpie z najnowszych osiągnięć nauki i wdraża nowoczesne technologie. Leśnicy nie tylko pozyskują drewno, lecz także odnawiają drzewostany i zalesiają nieużytki, dlatego powierzchnia obszarów leśnych w kraju stale rośnie. Udostępniają przy tym tereny leśne społeczeństwu, co nie jest tak powszechną praktyką w innych państwach europejskich. Co więcej, leśnictwo to kluczowa działalność państwa polskiego. Lasy w Polsce zajmują jedną trzecią powierzchni, w 80 proc. są państwowe

(to niespotykana w Unii Europejskiej sytuacja) i nie poddają się naciskom koncernów i wielkiego biznesu. Nasze lasy są kołem zamachowym polskiej gospodarki. Razem z przemysłem drzewnym odpowiadają za kilka procent krajowego PKB. Polska mebluje Europę, las daje pracę – ok. 400 tys. miejsc zatrudnienia, jest fundamentem polskiej przyrody, a przede wszystkim stanowi ogromną wartość w postaci gruntów o powierzchni trzykrotnie większej niż cała Belgia. Jest zatem o co kruszyć kopie.

Nie ma wątpliwości, że o tak kluczowej dziedzinie powinni decydować Polacy. Tymczasem Komisja Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności (ENVI) w Parlamencie Europejskim przymierza się do przeniesienia leśnictwa z kompetencji krajowych do kompetencji dzielonych z Unią Europejską. Zgodnie



zania ferowane przez Unię Europejską to faktycznie zagrożenie dla Polski i jej przyrody. Wyłączenie lasów z działalności gospodarczej i czynnej ochrony przyrody oznacza załamanie polskiego przemysłu drzewnego, poważne osłabienie całej polskiej gospodarki, skokowy wzrost cen energii i w efekcie – zubożenia społeczeństwa – kwituje dyrektor Kubica.

Co więcej, propozycje UE mogą przyspieszyć zmiany klimatu. Wyłączenie lasów z działalności gospodarczej i czynnej ochrony przyrody spowoduje braki, które trzeba będzie zastąpić drewnem z importu z regionów, gdzie się niszczy lasy tropikalne, innymi surowcami, bardziej energochłonnymi. W efekcie nie powstrzymamy zmian klimatu, a je przyspieszymy – wtrąca Michał Woś, były minister środowiska.

Z kolei Edward Siarka, pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa, idzie o krok dalej w komentarzu na temat unijnych zakusów na polskie lasy: – Polskie leśnictwo to ponad 200 lat doświadczeń, w tym 100 lat doświadczenia Lasów Państwowych. Kierunek, w którym zmierza Unia Europejska, to nokaut, demontaż polskiego modelu leśnictwa.

Zasoby drewna w lasach zarządzanych przez Lasy Państwowe należą do największych w Unii Europejskiej. Organizacja jest głównym dostawcą drewna do polskich przedsiębiorców i odbiorców indywidualnych. Pokrywa ok. 90 proc. krajowego zapotrzebowania na ten surowiec. Co roku kupuje go od Lasów Państwowych siedem tysięcy krajowych firm. Jak by nie patrzeć, wniosek jest jeden: Lasy Państwowe w odpowiedzialny sposób przyczyniają się do rozwoju całej polskiej gospodarki i nie ma co dyskutować z tym faktem.

Drugi z ataków, który Unia Europejska zadała polskim lasom, to wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE. Skarga Komisji Europejskiej, którą uwzględnił TSUE, jest kolejną próbą zablokowania polskiego konkurencyjnego przemysłu drzewnego, co może doprowadzić do jego upadku, a w efekcie do nagłego, skokowego wzrostu bezrobocia na terenach wiejskich i drastycznego wzrostu cen wyrobów drewnianych.

– Wyrok TSUE w sprawie polskich lasów grozi paraliżem gospodarki. Polska nie zgodzi się na wprowadzenie do prawa

krajowego możliwości unieruchomienia gospodarki leśnej – stanowczo stwierdza dyrektor Kubica.

Warto pamiętać, że skarga Komisji Europejskiej, którą uwzględnił TSUE, opiera się na doniesieniach trzech organizacji ekologicznych, zarzucających Polsce brak standardów ochrony przyrody przy prowadzeniu gospodarki leśnej, a także brak prawa do zaskarżania planów urządzenia lasu.

Pierwszy zarzut jest bezprzedmiotowy, ponieważ przepisy, które wzbudziły wątpliwość ekologów, zostały uchylone rok temu, o czym Komisja Europejska była poinformowana, a obowiązujące obecnie prawo chroni przyrodę w stopniu nawet wykraczającym poza standardy unijne.

Polskie prawo nie ogranicza również dostępu społeczeństwa do procedury tworzenia planów urządzenia lasu. Podczas obowiązkowych konsultacji społecznych uwzględnianych jest ponad 90 proc. uwag zgłaszanych przez lokalne społeczności, organizacje pozarządowe czy samorządy – informuje Michał Gzowski, rzecznik prasowy Lasów Państwowych.

Przed sądami cywilnymi toczą się też postępowania dotyczące planów urządzenia lasu, więc także dostęp do sądów jest zapewniony. W obecnym stanie prawnym skarżący muszą wiarygodnie uzasadnić swoje pozwy, wskazując, jakie realne niebezpieczeństwo dla przyrody niesie ze sobą realizacja przyjętego planu urządzenia lasu. Zmiana polskiego prawa zgodnie z wyrokiem TSUE oznaczałaby możliwość zaskarżania planów bez takiego uzasadnienia, co w praktyce doprowadziłoby do paraliżu gospodarki leśnej w całym kraju i w konsekwencji upadku polskiego przemysłu drzewnego.

Niektóre państwa, np. Niemcy i Austria, w ogóle nie mogą skarżyć planów urządzenia lasów do sądów.

Jak deklaruje minister Siarka i dyrektor Kubica, Lasy Państwowe są strażnikami polskiej natury i nie mogą podejmować decyzji, które stanowią zagrożenie dla przyszłych pokoleń Polaków. Dlatego strona polska nie wyrazi zgody na przeniesienie leśnictwa z kompetencji krajowych do kompetencji dzielonych z Unią Europejską i będzie dążyć do blokowania wszelkich inicjatyw wspólnoty godzących w interes polskiej gospodarki i polskich lasów.

z zapisami Traktatu z Lizbony z 2007 r. o leśnictwie decyduje obecnie wyłącznie państwo członkowskie. Komisja ENVI opiniuje jednak projekt zmiany unijnego prawa i przeniesienia leśnictwa z kompetencji krajowych do kompetencji dzielonych z Unią Europejską. Oznacza to, że o polskim leśnictwie – w szczególności o zasadach prowadzenia gospodarki leśnej – będą decydować unijni urzędnicy w Brukseli, a nie polski rząd.

– Nie ma zgody nas, polskich leśników, na takie działanie – mówi Józef Kubica, dyrektor generalny Lasów Państwowych. I kontynuuje: – W naszej ocenie unijny projekt będzie miał negatywne skutki dla polskiej gospodarki i wpłynie na polskie lasy, którymi opiekujemy się na co dzień. A są podstawy do obaw. Już dotychczasowe propozycje Komisji Europejskiej (strategia bioróżnorodności, „Fit for 55”) pokazują, że rozwią-

ZUZANNA DĄBROWSKA: Usłyszał ksiądz diagnozę – rak prostaty. Osobie wierzącej jest łatwiej ułożyć to sobie w głowie?

KS. TADEUSZ ISAKOWICZ-ZALESKI: Łatwiej jest przyjąć do świadomości, że choroba nie zawsze może być wyleczona. A przy nowotworze prawdopodobieństwo wyleczenia jest przecież zazwyczaj jeszcze mniejsze niż przy innych schorzeniach. Lekarze twierdzą, że spotykają się ze skrajnościami – niektórzy popadają w depresję albo w ogóle nie chcą pracować z medykami; druga skrajność to ci, którzy uważają, że diagnoza nie ma dla nich większego znaczenia, i nie współpracują z medykami. Człowiek wierzący ma perspektywę, że życie nie kończy się na ziemi. Trzeba się liczyć, że może nie uda się wygrać z chorobą i nastąpi zgon. Ale ma się zupełnie inne spojrzenie. Wiem, że to nie jest koniec.

Czyli nie boi się ksiądz śmierci?

Każdy boi się śmierci. Każdy boi się cierpienia, szczególnie tego przewlekłego. Tu nie ma bohaterów. Jednak dzięki Bogu wiem, że to jest tylko i aż pewien etap. Co oczywiście łączy się z silną refleksją nad życiem. Nad tym, po co żyję, i nad tym, co jest dalej. Dokonujemy podsumowania. To dotyczy zarówno wierzących, jak i nie. Często łóżko szpitalne to rekolekcje.

Ma ksiądz poczucie, że – cytując św. Pawła – „wystąpił w dobrych zawodach”?

Odpowiem tak: kiedy miałem 55 lat, niespodziewanie trafiłem do szpitala z podejrzeniem tętniaka aorty. Okazało się, że lekarz pierwszego kontaktu, który to wykrył, de facto uratował mi życie. Decydowały godziny. Gdy wtedy wożono mnie na łóżku szpitalnym i oglądałem te białe lampy od dołu, poczułem niesamowitą bezradność i bezsilność. Myślałem, co będzie dalej ze wszystkim, co dotychczas robiłem – co będzie z Fundacją św. Brata Alberta, kto ją dalej poprowadzi. Myślałem o tak prozaicznych rzeczach, że nie zostawiłem hasła do komputera, mam niepodpisane dokumenty, zostawiłem bałagan na biurku.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER





Z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim
rozmawia Zuzanna Dąbrowska

Czy nasz rząd chce wejść w tę wojnę?

W chwilach granicznych przychodzi gwałtowna refleksja, że trzeba być zawsze gotowym. I myśl o tym, czy wszystko, co robiłem, było dobre.

Wydaje się, że im więcej rzeczy, o których przyszłość się martwimy, gdy przychodzi moment próby, tym więcej było dobra w życiu...

Wiem, że nie ma co udawać herosa i trzeba przygotowywać się na odejście. Nie ma ludzi niezastąpionych.

Z perspektywy pacjenta onkologicznego – polska służba zdrowia zdaje egzamin?

W ramach fundacji od dziesiętków lat opiekuję się osobami niepełnosprawnymi intelektualnie, więc styk ze służbą zdrowia jest właściwie permanentny. Niezależnie od reform ta dziedzina w Polsce kuleje. Służba zdrowia sama jest chora.

Dzięki lekarzom społecznikom, którzy pomagają naszym podopiecznym za darmo, jest łatwiej. Natomiast człowiek, który jest sam – statystyczny Kowalski – w zderzeniu z systemem jest kompletnie bezradny. Teraz widzę to szczególnie. Jako jeden z tysięcy pacjentów muszę przebrnąć przez potworną biurokrację i znieczulicę. Godziny spędzane na korytarzu w szpitalu, żeby się zarejestrować. Tłumy ludzi, wielu starszych, chorych. Często nawet nie ma gdzie usiąść. Część z chorych, widząc to wszystko, poddaje się na samym początku. Dobrze, gdy ma się kogoś bliskiego, kto będzie razem z nami w tej drodze. Kolejna sprawa to terminy badań. W teorii są dostępne, bo ważna jest szybka diagnoza, ale terminy są horrendalne. Doświadczam tego na własnej skórze – przy zdiagnozowanym raku złośliwym jestem umawiany na wizytę za półtora miesiąca. A liczy się każdy dzień. Co więcej, pojawia się delikatna sugestia ze strony lekarzy, żeby zgłosić

się do kliniki prywatnej. Co ma zrobić ktoś, kto nie ma pieniędzy i znajomości?

Jakie są rokowania lekarzy w sprawie zdrowia księdza?

Są trudne. Nowotwór wykryto przy okazji innych badań, więc i tak mam szczęście, że zauważono go w miarę wcześniej.

Rozmawiamy o sprawach – i nie przesadzam w tym stwierdzeniu – życia i śmierci. I o tym, jak patrzymy na świat pod wpływem naszych własnych tragedii. A czy reakcja Polaków na tragedię wojny, która choć dzieje za się naszą granicą, to jednak w bezpośredniej bliskości, pokazała prawdę o naszym społeczeństwie?

Pokolenie moich dziadków i rodziców pamiętało drugą wojnę światową i komunizm, więc miało naturalny odruch pomocy ofiarom. Średnie pokolenie to pamięć o stanie wojennym, represjach, przymusowej emigracji, gdzie Polacy też byli uchodźcami. Pokolenie urodzone

po 1990 r. nie ma żadnych odnośników do swoich osobistych doświadczeń, ale ma zakorzeniony pewien kodeks moralny, wynikający z przeżyć ich przodków. W Polsce, która miała bardzo specyficzną sytuację od 1945 r., łatwiej było obudzić wśród ludzi chęć pomocy. Co byśmy nie powiedzieli, nasze społeczeństwo jest przesiąknięte wartościami – i chrześcijańskimi, i tymi płynącymi z dorobku Solidarności. Może to dziwić cudzoziemców, ale w Polsce są pokłady społecznej wrażliwości na ludzkie nieszczęście. Trzeba podkreślić, że organizacje społeczne, takie jak moja fundacja, które od lat działały charytatywnie także na Ukrainie, przygotowały niejako grunt pod zryw społeczny trwający od 24 lutego 2022 r.

Pytanie, jak długo ten zryw potrwa...

Im dłużej trwa wojna, tym trudniej będzie mobilizować ludzi. Jest zrozumiałe, że pierwsze miesiące to spontaniczność, a później przychodzą problemy, i to bardzo poważne.

Z jednej strony należy docenić zaangażowanie i państwa, i obywateli w organizowanie pomocy. Jednak trzeba pytać, czy każdy uchodźca powinien móc otrzymać PESEL i wszystkie przywileje? Uważam, że poszło to za daleko

Skutki wojny odczuwamy ekonomicznie. Z drugiej strony są poczucie „mesjanizmu” i ogólnospołeczna wrażliwość na sąsiada, któremu pali się dom. Nasuwa się pytanie, gdzie nasza pomoc dla Ukrainy powinna mieć granice. A może nie powinna ich mieć?

Te skutki będą odczuwalne coraz mocniej. Obecność uchodźców jest obciążeniem dla budżetu. Z jednej strony należy docenić zaangażowanie i państwa, i obywateli w organizowanie pomocy. Jednak trzeba pytać, czy każdy uchodźca powinien móc otrzymać PESEL i wszystkie przywileje? Uważam, że poszło to za daleko. Po roku dopiero wprowadzono zasadę, że uchodźcy muszą dopłacać do kosztów pobytu w Polsce, a to wywołuje kontrowersje, bo przecież przez rok było za darmo. Niektórzy Ukraińcy wyjeżdżają, bo nie podoba im się, że nie ma już za darmo. Pomagać trzeba mądrze.

A mamy przejaw typowego polskiego hurraoptymizmu i romantyzmu – otwieramy wszystko, przyjmujemy wszystkich. W oderwaniu od rzeczywistości. Jaskrawy przykład – coraz więcej jest w Polsce młodych Ukraińców, którzy powinni być w wojsku. A nie są. Sami uchodźcy pytają, dlaczego pomagamy tym, którzy migają się od służby wojskowej, de facto są dezertierami, przebywając u nas jak na wczasach.

Czy są „prawdziwi uchodźcy” i nieprawdziwi?

Tak i tym faktycznym trzeba absolutnie pomagać, jestem za tym całym sercem. Natomiast nie można przywilejów rozciągnąć na wszystkich. Dziś każdy, kto ma paszport ukraiński, ma w pewnym sensie takie same prawa jak Polak. Wróć do sprawy szpitalnictwa. Stojąc na korytarzach, słyszę, że jest przekonanie, iż służba zdrowia jest tak niewydolna, bo korzystają z niej Ukraińcy. Ja się z tym nie spotkałem, ale jest takie poczucie społeczne. Nasze państwo popełnia błędy. Nie jesteśmy gigantycznym mocarstwem,

mniejszości, niedające się zasymilować. Słyszałem wśród uchodźców takie opinie, że Polacy podbierają obywateli Ukrainy. Przecież to kraj w potworny sposób wyludniony przez wojnę. Ludzie giną w walkach, uciekają. Ukraina jest chętnym państwem, które nie ma obywateli. I to zarzut ze strony samych Ukraińców, że my podkupujemy ludzi, aby nie wrócili do siebie, zostali tu, tutaj rozdzielili dzieci, pracowali. To wtedy już nie są uchodźcy, ale osiedleńcy. Nie wiem, czy to mądra polityka wobec naszego sąsiada.

Do jakiego rodzaju napięć społecznych między Polakami a Ukraińcami może dojść tutaj, w kraju?

Nie jest tak prosto zasymilować jeden milion obcokrajowców czy dwa miliony. Jeden z moich znajomych Ukraińców sam pyta, ile łyżeczek cukru można rozpuścić w jednej szklance. Generalnie ośią sporu może być kwestia gospodarcza. Te wspomniane przywileje. Część Ukraińców jest na socjalu, który przecież muszą wypracować Polacy.

W przestrzeni publicznej rezonuje od pewnego czasu tzw. ruch antywojenny z hasłem „To nie nasza wojna”. Środowisko to podkreśla, że Polska powinna przestać w jakikolwiek sposób angażować się po stronie Ukrainy i zająć się sama sobą.

Niestety, ale to jest nasza wojna. Mówię „niestety”, dlatego że w naszym dobrze pojętym interesie nie jest zaangażowanie się w wojnę u naszych sąsiadów, bo przecież graniczymy nie tylko z Ukrainą, lecz także z Rosją. Niezależnie od tego, jak oceniamy rządy w Kijowie i Moskwie, mieliśmy silne powiązania, przede wszystkim gospodarcze, z oboma tymi państwami. Natomiast wojna uderzyła w nas rykoszetem i dlatego nie można powiedzieć, że to nie jest nasza wojna. Jest oczywiście pytanie, do jakiego stopnia Polska ma się w tę wojnę zaangażować.

No właśnie, do jakiego?

Mam coraz większe przekonanie, że Polska wybiega przed szereg. Choćby sprawa przekazania czołgów. Przekazujemy więcej maszyn niż inne kraje. Dlaczego to Polacy mają być pionierem zaangażowania wojennego? Z przykrością muszę powiedzieć, że odczucie jest

które może rozsypywać złote monety na prawo i lewo. Ci, którzy są młodymi ludźmi, powinni wrócić i walczyć o swój kraj, a nie być beneficjentami opieki społecznej.

Pojawia się pomysł, aby Polska „polonizowała” uchodźców, dzięki czemu, zwłaszcza dzieci i młodzież, zostałyby w naszym kraju, ratując nas z zapaści demograficznej.

To są piękne założenia wymyślone przy zielonym stoliku, które nie przekładają się na rzeczywistość. To kolejne romantyczne przekonanie – że jeśli Polacy będą tacy wspaniali, to wszyscy odpłacą się nam tym samym. Nie da się przyjąć miliona osób i sprawić, że wszyscy będą zachwyceni. Mogą się pojawić duże problemy społeczne, takie jak w krajach, które choć są dużo bogatsze od Polski, mają u siebie liczne

takie, jakby nasz rząd chciał za wszelką cenę wejść w wojnę.

Podziela książkę ten pogląd?

Tak. Słucham wypowiedzi rządzących, które są często absurdalne. Nie mówi się społeczeństwu prawdy o tym, jak bardzo angażujemy się finansowo, co dokładnie przekazujemy Ukrainie i czy mamy dla naszej armii sprzęt zastępczy. Bardzo łatwo jest powiedzieć „oddajemy wszystko”. A my, granicząc z Rosją, z czym zostajemy? Rządzący zachowują się, jakby zapomnieli, że mamy granicę i z Rosją właśnie, i z Białorusią, która przecież nie jest nam życzliwa. Ten optymizm jest niepokojący. Potrzeba rozważań, a nie romantyzmu. Nie zgadzam się, że Polska ma wielką prometejską misję, że jesteśmy „Chrystusem narodów”. To są utopijne hasła. Większość państw NATO i UE na taką skalę w tę wojnę nie wchodzi.

Są tacy, którzy twierdzą, że lepiej, aby polskie czołgi walczyły z Rosją na terytorium Ukrainy niż na naszym.

Pytanie, czy to argument prawdziwy czy publicystyczny. W pewnym momencie możemy się zorientować, że polska armia została rozbrojona, a trwa konflikt, w którym jesteśmy uważani za stronę. Polska nie jest neutralna. Jest zaangażowana po stronie. Gdyby na taką samą skalę pomagały wszystkie kraje NATO, to proszę bardzo. Komentatorzy zagraniczni są niejednokrotnie zadziwieni tym, ile sprzętu wysyłamy Ukrainie. Teraz pojawia się temat przekazania samolotów F-16. Rząd zapewnia, że dla nas będą samoloty z Korei Południowej. Dobrze, ale skąd weźmiemy na to pieniądze? Druga sprawa: pozyskanie nowych maszyn przecież trwa. Trwa także przeszkolenie. Nasze władze ewidentnie żyją mitami usprawiedliwiającymi to, że postępujemy inaczej niż Niemcy czy Holendrzy. Jestem za pomocą wojskową, ale na miarę naszych możliwości i interesów.

Latem ubiegłego roku w Warszawie pokazano wystawę zrównującą zniszczenia stolicy dokonane przez Niemców na przełomie lat 1944 i 1945 i Mariupola dokonane przez Rosję w czasie trwającej wojny. Nie odbieramy sobie moralnego argumentu dotyczącego tego, że to my byliśmy największymi ofiarami totalitaryzmu?

Odczytuję to jako naginanie historii na potrzeby obecnych relacji polsko-ukraińskich. Co mnie nie dziwi. Podczas obchodów 160. rocznicy wybuchu powstania styczniowego prezydent przedstawił heroiczny czyn polskich powstańców jako równoznaczną walkę trzech narodów – polskiego, litewskiego i ukraińskiego przeciw Rosji. Mówienie, że Ukraina, czyli ludność od Bugu do Donu, systemowo walczyła wtedy z Rosjanami, jest kłamstwem.

Może problemem jest to, że brakuje nam sprytu? Jesteśmy w awangardzie pomocy Ukrainie oraz nakładania sankcji na Rosję, ale nie wykorzystaliśmy tego jako argumentu w rozmowach z Kijowem na temat polityki historycznej?

To problem, który moim zdaniem w tym roku, ze względu na 80. rocznicę „krwawej niedzieli”, będącej apogeum ludobójstwa dokonanego na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów, wybuchnie na nowo. Tak jak kłamstwem założycielskim PRL było kłamstwo katyńskie, tak mitem założycielskim III RP jest zaniechanie wołyńskie, na którym to zaniechaniu Polska chce zbudować dobre relacje z Ukrainą. To błąd ciągnący się od roku 1990. Kolejne ekipy rządowe, także te odwołujące się do wartości chrześcijańskich i solidarnościowych, zaniechały rozwiązania tego problemu.

Czego dokładnie nie zrobiono?

Po pierwsze, zaniechano pochówku ofiar. To ewenement na skalę europejską, że tak ogromna liczba obywateli nie została pochowana po tym, jak zostali zamordowani tylko ze względu na swoją narodowość. Po drugie, nie zbudowano odpowiedniego porozumienia z Ukrainą, jeśli chodzi o ocenę tych wydarzeń. Po trzecie, to akceptacja teorii usprawiedliwiających ludobójców. To tak, jakby dziś w Niemczech wyciągano argumenty, że Żydzi byli sami sobie winni. W Polsce niestety pojawia się narracja, że to nasi obywatele sami byli sobie winni, iż Ukraińcy ich wymordowali. To jest ogromny wrzód. Jakikolwiek dotknięcie go wywołuje histeryczną reakcję.

Co ma książka na myśli?

Spotykam się z tym osobiście, szczególnie widzę to po tzw. prawej stronie. Każde wspomnienie, że jest rocznica

ludobójstwa, że trzeba upamiętnić ofiary, wywołuje krzyk. Jestem nazywany „ruską onucą” i „agentem KGB”. Taka reakcja to w mojej ocenie dowód na brak pomysłu, jak wyleczyć tego wrzód. W wywiadach nieżyjący już premier Jan Olszewski, który – przepraszam, że to po- wiem – bredził, że Bandera nie był odpowiedzialny za Wołyń, a Piłsudski polecił zamienić mu karę śmierci na więzienie, choć marszałek już wtedy nie żył. Takich bzdur nie powinni „wypuszczać” do dyskursu ludzie pełniący kiedykolwiek funkcje publiczne.

Głośno było w mediach o ubiegłorocznych uroczystościach na skwerze Wołyńskim w Warszawie.

Po raz pierwszy od ośmiu lat, mimo obietnic, pojawił się tam prezydent Andrzej Duda. Wygłosił straszliwie chaotyczne przemówienie, mieszając wszystkie możliwe wątki. Był kompletnie nieprzygotowany. Emocje, miny, krzyk, a nie realistyczne postawienie sprawy. Mówił o tym, że kocha Zełenskigo. Przepraszam bardzo, to jego prywatna sprawa.

Prezydent Duda często podkreśla przyjaźń łączącą go z prezydentem Ukrainy. Wołodzimierz Zełenski to rosyjskojęzyczny Żyd, który nie jest zależny od elektoratu neobanderowskiego, tak jak miało to miejsce w przypadku jego poprzednika, Petra Poroszenki. Wydaje się, że Andrzej Duda nie wykorzystał tej szansy, aby uzyskać od Zełenskigo konkrety – przeprosiny za Wołyń i potępienie ludobójstwa.

Mogę powiedzieć otwarcie?

Proszę.

Czuje się osobiście okłamany przez prezydenta Andrzeja Dudę. W wyborach prezydenckich w 2015 r. głosowałem na Pawła Kukiza. Później była akcja, aby zwolennicy Kukiza w drugiej turze poparli Dudę. Dzięki temu pokonał Bronisław Komorowski. Między pierwszą a drugą turą wyborów wręczył Andrzejowi Dudzie list, w którym zawarto postulaty związane z ludobójstwem wołyńskim. Zapewniał, że się tym zajmie, że to dla niego ważne. I co się stało? Osiem lat nieróbstwa. Nie pochowano ani jednej ofiary. Wojna na Ukrainie nie jest argumentem, aby tematu nie ruszać, bo przecież trwa ona nieco ponad rok. Od 2015 r. można

było coś z Kijowem ustalić. Zełenski jest prezydentem od 2019 r. Prezydent Duda dokonał totalnego zaniechania. Co więcej, przedłożył swoje osobiste sympatie do przywódcy Ukrainy ponad prawdę historyczną.

Dlatego uważam, że oszukał środowisko kresowe. Nie liczyłem, że tą sprawą zajmą się Komorowski czy lewica. Duda powinien publicznie przeprosić, ale obecnie jest w takim amoku, że może już tylko wszystko popsuć. Już się boję, co będzie opowiadał 11 lipca o miłości do Zełenskigo. A może powie, że to nie UPA, a Żołnierze Wyklęci? Może że ludobójstwa dokonali spadochroniarze zrzućcani przez Sowietów? Andrzej Duda jest de facto grabarzem linii politycznej, która dla rodzin kresowych była nadzieją. Chodziło o uporządkowanie tej kwestii także dla dobrej relacji polsko-ukraińskich. Podczas uroczystości 11 lipca ubiegłego roku usłyszałem od pracowników Kancelarii Prezydenta, że ma rzekomo nastąpić przełom, że prezydent Ukrainy przeprosi za Wołyń. To było tylko kolejne kłamstwo.

Jest jeszcze jeden problem. Ani Warszawa, ani Kijów nie chcą rozmawiać z rodzinami. Tak jak są Żołnierze Wyklęci, tak rodziny kresowe są wyklęte

Coś chyba jednak się zmieniło. Jesienią ubiegłego roku padła deklaracja Ukrainy o odblokowaniu ekshumacji ofiar ludobójstwa na Podolu.

To nie daje nadziei, a jest dowodem, jak wielkie kłamstwo otacza sprawę ludobójstwa na Kresach. Informacja o ekshumacjach dotyczy wsi Puźniki, w całości wymordowanej przez banderowców. Dwanaście kilometrów stamtąd urodził się mój ojciec, który był świadkiem zagłady Podola. Poza efemeryczną wypowiedzią Fundacji Wolność i Demokracja nic na ten temat nie wiadomo. Uważam, że wypuszczono kaczkę dziennikarską, aby uspokoić społeczeństwo. Przecież zakaz pochówku ofiar, wprowadzony przez Poroszenkę, obowiązuje nadal. Zełenski go nie zniósł. Ukraina to jedyne kraj Europy, w którym obowiązuje oficjalny zakaz ekshumacji i pochówku ofiar ludobójstwa.

Wcześniej, w maju, zdjęto w końcu „dykty wstydu” ze lwów na cmentarzu Obrońców Lwowa. Może to dobry znak?

No tak, dajemy np. 300 czołgów, a za to zdejmą dwie płyty z dykty... Poza tym – co do Lwowa – przez osiem lat prezydent bał się tam pojechać, choć to najważniejsze obok Wilna miasto, gdzie jest ogromna mniejszość polska. Jak już pojechał, to powiedział, że Orleńscy Lwowski walczyli przede wszystkim z Sowietami. Po co kłamać? Orleńscy Lwowski walczyli z Ukraińcami, dopiero później z Sowietami.

A może jaskółką nadziei jest niedawna wypowiedź byłego ambasadora Ukrainy w Polsce, Andrija Deszczyci, który powiedział, że władze jego kraju powinny przeprosić Polskę za Wołyń. Wspominał też o propozycji upamiętnienia wszystkich zamordowanych na pograniczu.

Co to daje? Przez kilka lat pełnił funkcję i nie zrobił nic. Jest wielkim bohaterem, kiedy nic już nie może. Pomysł wspólnego pomnika jest idiotyzmem. Nie można stawiać znaku równości między Polakami

i nacjonalistami ukraińskimi, czyli między ofiarami a katami. Czy na granicy polsko-niemieckiej jest taki pomnik? Dlaczego w Babim Jarze może stać pomnik upamiętniający Żydów, a my nie możemy mieć swojego? Jest jeszcze jeden problem. Ani Warszawa, ani Kijów nie chcą rozmawiać z rodzinami. Tak jak są Żołnierze Wyklęci, tak rodziny kresowe są wyklęte.

Czy rząd powinien uzależnić pomoc wojenną od spełnienia postulatów dotyczących ekshumacji, pochówków i upamiętnień?

Nasi politycy, nie tylko prezydent Duda, lecz także premier Morawiecki, odwołują się do spuścizny chrześcijańskiej, ale nie chcą pochować zmarłych. Aż się prosi, aby powiedzieć Ukrainie, że dobrze, przyjmujemy uchodźców, pomagamy, ale przeprowadzamy też ekshuma-

cje. Jednak nikt tak nie mówi. To postawa kamerdynera, który służy, nie otrzymując nic w zamian.

Tymczasem przyspieszyła sprawa postawienia w Domostawie pomnika Ofiar Rzezi Wołyńskiej autorstwa Andrzeja Pityńskiego.

Fakt, że tak długo to trwa, to kolejny dowód na grzech zaniechania, który jest fundamentem III RP. Andrzej Pityński pochodził z województwa lwowskiego. Uważał za swój moralny obowiązek, aby taki monument postawić. Niestety, sprawa blokowania pomnika to kwestia polityczna. Tylko determinacja władz gminy Jarocin i wielu ludzi dobrych woli sprawiła, że po sześciu latach przewieziono monument z odlewni. Zobaczmy, co będzie dalej.

A czy grzechem zaniechania jest nieprzeprowadzenie lustracji w Kościele? Pytam o to, ponieważ trwa już medialna dyskusja na temat ks. kard. Adama Sapiehy i św. Jana Pawła II po publikacji dotyczącej rzekomego molestowania kleryków przez tego pierwszego. Holenderski dziennikarz opisujący tę sprawę powołuje się na zeznania ks. Anatola Boczka, współpracownika UB.

Nieprzeprowadzenie lustracji mści się w okropny sposób. Przez dwa lata jako kleryk byłem w wojsku przy brygadzie saperów i mam zawsze skojarzenie, że archiwa IPN to jest właśnie pole minowe, które trzeba rozbroić, bo inaczej będzie ciągle wybuchać. Kiedy dostałem w 2005 r. swoje akta jako osoba inwigilowana, pokrzywdzona, uważałem, że to trzeba opisać. Reakcja kościelna była taka: krok do przodu, krok do tyłu. Zakazywano mi wypowiedzi, pisanie. W swojej książce, wydanej w końcu w 2007 r. [„Księża wobec bezpieczeństwa na przykładzie archidiecezji krakowskiej” – przyp. red.], opisałem sprawę ks. Boczka. Nikt nie podjął tego dalej. I tutaj jest daleko idąca analogia dotycząca grzechu zaniechania w sprawie ludobójstwa – nie robić nic, a jeśli ktoś zajmie się sprawą, to się go atakuje. Książka Ekkego Overbeeka będzie wstrząsem. Zarówno w sprawie kard. Sapiehy, który – ja nie mam wątpliwości – był niezłomny, ale miał rysy na swojej działalności, jak i wobec Karola Wojtyły. Tak samo niezłomnego, jak posiadającego rysy. To wszystko można było wcześniej „rozbroić”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Zamek Królewski w Warszawie dziękuje fundacjom:

Fundacji Banku Pekao S.A., Fundacji Enea, Fundacji KGHM Polska Miedź, Fundacji PGE, Fundacji Polskiej Grupy Zbrojeniowej, Fundacji PKO Banku Polskiego, Fundacji PZU, Fundacji Tauron, Fundacji Totalizatora Sportowego oraz spółkom skarbu państwa: Grupie Azoty, Bankowi Pekao S.A., Enea S.A., PGE Polskiej Grupie Energetycznej S.A., Polskiej Grupie Zbrojeniowej S.A., Jastrzębskiej Spółce Węglowej S.A., spółce KGHM Polska Miedź S.A., Totalizatorowi Sportowemu Sp. z o.o., Pekao Bankowi Polskiemu, PZU S.A. i Tauron Polska Energia S.A. za sfinansowanie zakupu dzieł sztuki wzbogacających kolekcję muzeum w 2022 roku.



Portret konny królewskiego paza Gintowta,
Bernardo Bellotto zw. Canalettem (1722–1780), Warszawa, 1773

Crème de la crème

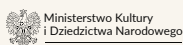
Wystawa wybranych nabytków 2021–2022 • 18 marca – 14 maja • Zamek Królewski w Warszawie

Mecenas

Partner Strategiczny
Jubileuszu

Sponsor

Darczyńcy/partnerzy



Partnerzy Jubileuszu

Partnerzy Zamku Królewskiego

Patroni medialni



„Krew na rękach”

– reaktywacja skryptu



Rafał A. Ziemkiewicz

**Samobójcza śmierć syna posłanki PO jest przez jej partię cynicznie wykorzystywana do politycznej kampanii, która ma na celu...
Właśnie – co właściwie?**



FOT. ADRIAN STOK

Gdyby ktokolwiek zechciał obiektywnie prześledzić i zanalizować, co naprawdę pojawiało się w mediach na temat tragicznie zmarłego syna posłanki Filiks i pedofila, którego ofiarą padł, nie mógłby nie przyznać, że nie odbiegało to od powszechnego w Polsce standardu. Informując o pedofilu z PO, wykorzystującym dzieci partyjnej koleżanki, nad którymi powierzyła mu opiekę, nie podały Radio Szczecin ani media publiczne więcej informacji, niż w analogicznych sprawach pojawiało się w mediach lewicowo-liberalnych. Nawet mniej, bo te ostatnie, zainteresowane pedofilią głównie wtedy, gdy zarzuty padały wobec duchownych, bez skrępowania informowały w stylu: „W parafii w Ruszowie, Dolnośląskie, proboszcz Piotr M. wykorzystywał niepełnosprawną intelektualnie 10-latkę” (jeden z wielu podobnych leadów, ten akurat z gazeta.pl), co zwłaszcza w małych miejscowościach bez wątpienia stygmatyzowało ofiary bardziej niż formuła: „syn jednej ze znanych posełek” (do „syna posłanki PO” zawęził tę identyfikację poseł

PO Piotr Borys, co TVP Info udowodniła po wybuchu sprawy przypomnieniem stosownego nagrania).

Nawet jednak gdyby uznać, że Tomasz Duklanowski z Radia Szczecin w pogoni za pogrążającym PO newsem napisał o kilka słów za dużo, to i tak nie daje to prawa do twierdzenia, że targnięcie się przez chłopca na życie było skutkiem jego niedyskrecji; skądinąd wiadomo, że jego historia w internecie, w którym umieściła go matka, nie była dla nikogo tajemnicą, jak też to, że jeszcze przed publikacjami mediów przeszedł on przez dwie próby samobójcze. Nawet jednak, gdyby uznać, że publikacje owe wiązały się z podjęciem kolejnej, tym razem skutecznej próby, jest cały kosmos różnicy pomiędzy taką przewiną a „nagonką”, „zaszczuwaniem niewinnego dziecka” i „krwią na rękach PiS”, pod którymi to hasłami rozpętały PO i lewicowo-liberalne media histerię nienawiści.

Każde to stwierdzić, że samobójcza śmierć syna posłanki jest przez jej partię cynicznie wykorzystywana do politycz-

nej kampanii, która ma na celu... Właśnie – co właściwie?

TUSK DAŁ SYGNAŁ

W każdym razie pewne jest, że sygnał do kampanii dał osobiście Donald Tusk. O śmierci syna i jego pogrzebie posłanka poinformowała w piątek wieczorem, łącząc to z sugestią, że winę ponoszą „media”. Ta wiadomość została natychmiast rozpowszechniona w opozycyjnej „bańce” przez popularne w niej konta społecznościowe, a już w sobotę, jeszcze przed ósmą rano, Tusk zamieścił niby to zupełnie bez związku „przyrzeczenie”, że rozliczy i pomści „wszystkie ludzkie tragedie”, do których doprowadził PiS. Takich zapewnień złożył już oczywiście Tusk wiele, szczególnie ostatnio, ale wcześniej zapowiadał w nich rozliczanie „złodziejstwa”. O którą to „ludzką tragedię”, za jaką miał odpowiadać PiS, chodziło p.o. przewodniczącemu PO, nie pozostawiała wątpliwości potężna nagonka na Radio Szczecin (nie od rzeczy tu dodać, że jako jej cel wskazano dziennikarza,

który konsekwentnie ujawniał poważne zarzuty korupcyjne ciężące na marszałku Grodzkim, dotąd nierozpatrzone, bo ukrył się on za immunitetem), na TVP, na PiS jako taki i przy okazji na wskazane palcem przez prowadzących kampanii szczególnie niewygodne osoby, jak gospodarz propisowskiego profilu „Oknem Młodych”, student Oskar Szafarowicz.

Cała kampania Platformy i jej mediów (z przykrością odnotujemy tu, że istotną rolę, na prawach wzmożonych moralnie „pożytecznych idiotów”, odegrali w niej nasi byli autorzy: Tomasz Terlikowski i Katarzyna) przebiegała – i do momentu druku tego numeru prawdopodobnie nadal przebiega – według skryptu wykorzystanego już wielokrotnie. Używanie śmierci, nawet osób bliskich, jako politycznego lewara, ma bowiem w III RP długą tradycję, datującą się od kampanii prezydenckiej 1995 r. Wtedy to Aleksander Kwaśniewski wykorzystał śmierć swojej matki w wyborczym klipie, oskarżając o jej „zaszczenie” bliżej nieokreśloną „prawicę”, rozpowszechniającą plotki o domniemanym współudziale w stalinowskich zbrodniach i późniejszej zmianie nazwiska przez ojca polityka. Wcześniej jego partyni koleczy próbowali też powiązać publicznie z „nienawiścią prawicy” do dziś niewyjaśnione morderstwo dokonane na byłym komunistycznym premierze i generale Piotrze Jaroszewiczu oraz jego żonie.

NEKROHEJT PO

Prawdziwym sukcesem była jednak dopiero kampania przeprowadzona po śmierci byłej minister Barbary Blidy, która zastrzeliła się podczas próby zatrzymania i doprowadzenia do prokuratury w związku z tzw. aferą węglową. Wykreowany wtedy obraz „dumnej Ślązaczki”, która wybrała śmierć, bo była „zaszczuwana” przez PiS, pokutuje wśród zwolenników lewicowo-liberalnej opozycji do dziś, chociaż pięć zakończonych prawomocnie postępowań sądowych oraz raport sejmowej komisji (i to mimo że tej ostatniej przewodniczył Ryszard Kalisz) dowiodły faktów całkowicie sprzecznych z tą narracją. Była minister wcale nie popełniła samobójstwa, tylko nieumiejętnie próbowała się okaleczyć, aby zamiast na przesłuchanie trafić do szpitala; akcja ABW była przeprowa-

dzona zgodnie z prawem i procedurami, a posiadane dowody i zeznania dawały prokuraturze pełne prawo postawienia zarzutów i wnioskowania o areszt. Co do „zaszczuwania”, to miało ono miejsce raczej ze strony własnej partii, która za życia Blidy stanowczo się od niej odcinała, bojąc się umoczenia w aferę, a przypominała sobie o byłej minister dopiero wtedy, gdy można ją było wykorzystać w politycznej propagandzie.

Ta ostatnia okoliczność upodabnia sprawę Blidy do najbardziej chyba jak dotąd udanego wykorzystania przez opozycję śmierci – przypisania PiS i TVP odpowiedzialności za zamordowanie Pawła Adamowicza. Choć jego morderca nie wznosił żadnych politycznych okrzyków, a swój czyn motywował osobistą zemstą, i choć finansowe niejasności wokół Adamowicza były powodem, dla którego PO odmówiła mu swojej rekomendacji, a w wyborach – w których wystąpił wbrew partii, przeciw jej kandydatowi Jarosławowi Wałęsie – traktowała jako zdrajcę ze wszystkimi tego konsekwencjami, to dzięki posiadanej sile medialnej zbudowano wokół tej sprawy kłamliwą narrację, równie jak ta o Blidzie żywą do dziś w lewicowo-liberalnej bańce informacyjnej.

Z drugiej strony PO – i jej media – równie bezwzględnie łamała tabu związane ze śmiercią, gdy groziły jej emocje społeczne niekorzystne dla jej interesów. Andrzej Żydek, który podpalił się przed kancelarią premiera Tuska, został określony mianem „zwykłego terrorysty, który wziął za zakładnika samego siebie” (proszę porównać to z ceremoniami ku czci kreowanego na bohatera śp. Piotra Szczęsnego, a cynizmem liberalnej lewicy stanie przed państwem w całej okazałości); do zrelatywizowania zbrodni Ryszarda Cyby, który wprost mówił, że „chciał zabić Kaczyńskiego, tylko miał nóż za krótki”, użyto kłamstw, jakoby morderca chciał tylko zabić „jakiegoś”, któregośkolwiek polityka. Tym, którzy głoszą hasło „PiS, PO, jedno zło”, warto tu zwrócić uwagę, że PiS jednak nigdy nie próbował wykorzystywać tych spraw w sposób jakkolwiek porównywalny z wielokrotnie uruchamianym nekrohejtem PO i michnikowszczyzny. Upowszechnione w anty-PiS przekonanie, że to właśnie „Kaczyński tańczy na trumnach smoleńskich”, jest całkowicie odrwane od faktów – faktów świadczących,

że emocje związane z tragedią w Smoleńsku starał się Tusk na zimno, cynicznie zamieść i zdusić, nie licząc się z niczym, posuwając się do zagrań tak haniebnych, jak urządzenie pełnej nienawiści i agresji manifestacji przeciwko pochówkowi prezydenta i prowokacja z krzyżem na warszawskim Krakowskim Przedmieściu. Dopiero to wywołało kontrreakcję w postaci m.in. zniechęconych przez PO miesięcznik, które stale przywoływane są przez opozycję jako rozgrzeszenie i usprawiedliwienie jej kolejnych kampanii, również tej najnowszej.

RYZYKOWNY RUCH

W polityce oczywiście brak moralności nie przeszkadza, jeśli jest się dzięki niemu skutecznym. Wykorzystanie do rozpętania politycznej nienawiści śmierci Blidy i Adamowicza niewątpliwie się PO opłaciło. W innych wypadkach, jak śmierć nastolatka z Górczyna, kłamliwie przedstawianego jako ofiara „homofobii”, czy wspomniane już samospalenie cierpiącego na depresję „szarego człowieka” – nie za bardzo.

Wykorzystanie do reaktywacji skryptu „PiS ma krew na rękach” samobójstwa syna posłanki Filiks wydaje się pod tym względem ryzykowne. Po pierwszych emocjach, dość łatwych do rozegrania („Świeże groby zawsze wzruszą”, jak śpiewał niegdyś bard opozycji), może się pojawić ciekawość co do szczegółów sprawy. A wtedy zachowanie dotkniętej tragedią matki, jej, delikatnie mówiąc, nieakceptowalne dla większości Polaków metody wychowawczej, a także sposoby, w jakie PO usiłowała ukryć czy przynajmniej zbagatelizować problem pedofila w swych szeregach, mogą rozpętane emocje odwrócić.

Czy zatem opłacało się Tuskowi rozpętywać kolejną histerię? Gdyby chodziło o pozyskanie nowych wyborców – raczej nie. Ale zapewne chodziło o co innego – o ratowanie swego kruszącego się przywództwa w obozie anty-PiS. Wobec ogłoszenia przeciwników „mordercami niewinnych dzieci” (przy jednoczesnym ataku na św. Jana Pawła II i powrocie do emocji związanych z dziećmi niepełnosprawnymi) zastrzeżenia co do skuteczności przywództwa Tuska muszą zejść na dalszy plan, dając mu czas niezbędny do odwojowania wpływów we własnym obozie.

W październiku 2018 r. z kilkorgiem koleżanek i kolegów dziennikarzy odwiedziłem kilka niemieckich miast, a w nich – redakcje najważniejszych niemieckich mediów. Na trasie naszej podróży była Kolonia – jedno z najstarszych i najbardziej historycznych miast Niemiec, którego punktem charakterystycznym jest imponująca katedra z obszernym placem przed głównym wejściem, sąsiadująca z dworcem. Katedrę budowano ok. 600 lat. Zaczęto jeszcze w XIII w., skończono dopiero w wieku XIX.

Podróż pociągiem z Moguncji przebiegała z przygodami. Gdyby nie pożar innego pociągu na głównej trasie i konieczność skierowania naszego przez piękną dolinę Renu, byłibyśmy w Kolonii wcześniej, a wówczas prawdopodobnie nasz pociąg nie mógłby wjechać na dworzec. Tego bowiem dnia doszło tam do tragedii. Imigrant z Syrii wdarł się do jednego z lokali usługowych na dworcu i wziął dwie zakładniczki. Miał przy sobie nóż i łatwopalną substancję. Jedna z zakładniczek, mająca zaledwie 14 lat, uległa poparzeniom, drugą policji udało się odbić niemal bez szwanku. Sprawca miał krzyczeć, że jest członkiem Państwa Islamskiego. Dla Niemców tego typu sprawa była wtedy właściwie codziennością.

Jeszcze w pociągu czytaliśmy informacje na ten temat w Internecie, przy czym ciekawe było to, że narodowość sprawcy najpierw została podana przez media polskie, a dopiero potem niemieckie. Przyznać jednak trzeba, że, owszem, niemieckie media już po kilku godzinach poinformowały, że chodziło o syryjskiego imigranta, który miał też wykrzykiwać islamistyczne hasła.

Być może jeszcze kilka lat wcześniej pochodzenie sprawcy byłoby przez niemieckich dziennikarzy konsekwentnie ukrywane. Tak jak stało się niemal dokładnie trzy lata przed moim pobytem w Kolonii, w 2015 r.: To wtedy na placu przed katedrą, w trakcie sylwestrowej zabawy, doszło do ogromnej liczby molestowań seksualnych, a nawet gwałtów, których ofiarami padły Niemki, sprawcami byli zaś imigranci. W całych Niemczech miało wtedy mieć miejsce nawet tysiąc podobnych przypadków. Działo się to w szczycie sporu o falę imigracji do UE, a jednocześnie praktycznie tuż obok siedziby Westdeut-



Idziemy drogą Niemiec



Łukasz Warzecha

Warto byłoby prześledzić, jaki jest wpływ tej fali ukraińskich uchodźców na różne dziedziny życia społecznego w Polsce. W tym na przestępczość. Polskie służby nie chcą jednak tych danych ujawniać

scher Rundfunk przy Appellhofplatz, trzy minuty piechotą od placu przed katedrą. A jednak ani WDR, ani inne niemieckie media nie poinformowały o wydarzeniach przez kilkadziesiąt kolejnych godzin, a gdy w końcu to nastąpiło, bardzo ociągały się z podaniem narodowości sprawców. W Polsce było to wiadomo znacznie wcześniej. Oburzenie niemieckiej opinii publicznej wywołały wówczas słowa lewicowej burmistrz Kolonii, Henriette Reker (w ubiegłym roku została laureatką Nagrody im. Pawła Adamowicza), która apelowała do Niemek, aby nie „prowokowały” seksualnych zachowań u osób „z innej kultury”.

JAK TO SIĘ STAŁO?

Odwiedzając m.in. redakcję WDR, byliśmy bardzo zainteresowani mechanizmem, jaki tu zadziałał, i indagowaliśmy

o to naszych gospodarzy. Ci wyjaśnili, że niemieckie media miały w zwyczaju postępować bardzo wstrzemięźliwie w kwestii podawania pochodzenia sprawców przestępstw w obawie przed wzbudzeniem niepokojów społecznych. A pamiętać trzeba, że rzecz działa się w apogeum kryzysu migracyjnego oraz sporu o to, jak migrantów traktować. Niemieccy dziennikarze twierdzili, że pochodzenie sprawców przestępstw podawali jedynie wówczas, gdy była pewność, że ma ona jakiś związek z ich czynem. Przyznawali jednak, że po sprawie Kolonii zaczęli nieco zmieniać swoje postępowanie, bo opisane metody doprowadziły do poważnego kryzysu zaufania Niemców wobec oficjalnych mediów, a napędziły odbiorców mediom, by tak rzec, drugiego obiegu.

Wspominam tamten wyjazd nie bez powodu. W tamtym czasie w Polsce nie-



FOT. ADRIAN STOK

Tak duży udział Ukraińców nie był zaskoczeniem, bo też stanowili w Polsce bardzo dużą grupę. W przypadku przestępstw drogowych winni mogli być także ci, którzy w Polsce nie mieszkają, a tylko przez nasz kraj przejeżdżali, ale tej informacji już w danych policyjnych nie było.

Różnica pomiędzy ukraińską imigracją sprzed 24 lutego a uchodźcami napływającymi do Polski po tej dacie jest oczywista. Wcześniej przyjeżdżali ludzie, którzy chcieli w naszym kraju pracować, a więc sami podjęli taką decyzję, a ich celem było zarabianie pieniędzy i przesyłanie ich do domu. Siłą rzeczy silna była ich motywacja, aby nie wejść w konflikt z polskim prawem. Po 24 lutego w Polsce pojawili się przedstawiciele wszystkich grup społecznych, często z musu. W większości kobiety z dziećmi, ale nie tylko. Dane z połowy ubiegłego roku mówiły o blisko pół miliona ukraińskich mężczyzn, w związku z wojną podlegającym zakazowi wyjazdu z kraju i mobilizacji, którzy jednak – zwykle dzięki łapówkom – zdolali Ukrainę opuścić. Pewna część z nich przebywa w Polsce.

Jak duża – nie wiadomo, bo z oczywistych powodów unikali rejestracji.

„ABY NIE POWODOWAĆ PIĘTNOWANIA”

W tej sytuacji warto byłoby prześledzić, jaki jest wpływ tej fali uchodźców na różne dziedziny życia społecznego w Polsce – w tym na przestępczość. Tego jednak już zrobić nie możemy. Okazuje się, że polska policja skopiowała metody rodem z Niemiec. Pytający o narodowość cudzoziemskich sprawców przestępstw portal Kresy.pl otrzymał z Komendy Głównej Policji następującą odpowiedź: „Nie dokonujemy w przekazywanych danych wyszczególnienia na obywatelstwo osób poszukiwanych listami gończymi, z uwagi na stanowisko, prośby i skargi wielu ambasad i urzędów konsularnych, aby nie powodować piętnowania obywateli konkretnego kraju. Jednocześnie zgodnie z ustawą o sprawozdawczości nie ma obowiązku prawnego gromadzenia takich danych”.

Policja nie wyjaśniła, które ambasady zwracały się do niej z taką prośbą. Trudno jednak, w świetle wcześniejszych danych, nie nabrać podejrzeń, że chodzi tu o zamieszczenie pod dywan nieuchronnie narastającego problemu przestępczości ukraińskiej, co mogłoby przyczynić się

do dalszej erozji przyjętej przez rząd linii przymusowego bratania się z Ukraińcami.

Trzeba mieć przy tym świadomość, że ponad dekadę temu w Polsce bardzo aktywne były ukraińskie środowiska przestępcze, których działalność była skierowana w dużej mierze przeciwko innym Ukraińcom. I ten schemat może się teraz powtórzyć. Byłoby to zgodne z doświadczeniami innych krajów z dużymi mniejszościami. Tak jest choćby w Szwecji. W 2019 r. ambasador tego państwa tłumaczył mi, że w ślad za przybywającymi tam Serbami, Albańczykami czy Syryjczykami do tego kraju przyjeżdżali przestępcy z tych krajów, którzy następnie zajmowali się nękaniami i wymuszaniem haraczy od własnych rodaków. Przedstawiony w tamtym roku raport szwedzkiej Krajowej Rady ds. Zapobiegania Przestępczości wskazywał, że ten kraj na przestrzeni 19 lat znalazł się na czele europejskiej statystyki śmiertelnych ofiar strzelanin, przy czym 80 proc. z nich zakwalifikowano jako ofiary należące do grup przestępczych. Mowa tu oczywiście o strzelaninach z broni posiadanej nielegalnie.

Jak widać, z opóźnieniem przerabiamy teraz niemiecką lekcję. Już pięć lat temu przedstawiciele tamtejszych mediów zaczęli rozumieć, że ukrywanie pochodzenia sprawców przestępstw nie tylko nie rozwiązuje problemu, lecz także ma efekt wręcz przeciwny: podważa zaufanie do mediów, polityków, przyczynia się do powstawania „miejskich legend”, kieruje odbiorców ku mniej rzetelnym źródłom informacji, a więc nie zmniejsza, ale zwiększa poziom napięć społecznych, które w sytuacji masowej imigracji do danego kraju są nieuniknione.

Hipokryzja polskich władz w tej sprawie jest porażająca: stosują dzisiaj dokładnie te same wybiegi, które kilka lat wcześniej zażarcie – i słusznie – krytykowali u innych. Skutek również będzie identyczny. Jakkolwiek problemy z ukraińską mniejszością, jak na jej skalę, były i są relatywnie niskie, to jednak są. Manipulowanie, ukrywanie danych, kłamstwa na temat sprawców przestępstw należących do tej grupy niczego jednak nie poprawia. Przeciwnie – będą sprzyjały przekonaniu, że maskowane fakty są znacznie bardziej porażające, niż to może być w rzeczywistości. Porozumienia pomiędzy narodami nie da się budować na fałszu.

mieccy dziennikarze byli za takie postępowanie bardzo mocno krytykowani przez obóz Zjednoczonej Prawicy oraz bliskich mu publicystów. Mowa była o swoistej cenzurze, ukrywaniu prawdy, mamieniu czytelników, widzów i słuchaczy. Polskie media – nie tylko te bliskie władzy – relacjonując różnego rodzaju incydenty z Niemiec, na ogół zresztą nie stroniły od podawania, że sprawcami byli przedstawiciele innych kultur.

W Polsce nie stanowiło to problemu – takie informacje dotyczące przestępczości w naszym kraju były publikowane. Podawała je również policja w formie ogólnych statystyk. „O niemal 40 proc. wzrosła w 2017 r. liczba przestępstw popełnionych przez cudzoziemców” – pisała w marcu 2018 r. „Rzeczpospolita”. Dziennik informował, że liczba przestępstw popełnianych w naszym kraju przez cudzoziemców w ciągu dwóch lat (2015–2017) wzrosła o prawie 80 proc. Takich przestępstw sześć lat temu było 6264 – głównie kradzieże czy przestępstwa narkotykowe. Najczęściej popełnianymi przestępstwami cudzoziemcami byli Ukraińcy – ponad 50 proc., przy czym zdecydowana większość to przestępstwa związane z ruchem drogowym. W sumie było tych przypadków ponad 1,7 tys.



Z Robertem Bąkiewiczem
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Co dokładnie wydarzyło się podczas walnego zgromadzenia stowarzyszenia Marsz Niepodległości 24 lutego? Z informacji, które przekazał do mediów nowy zarząd, wynika, że został pan pozbawiony funkcji i wyrzucony ze stowarzyszenia.

ROBERT BĄKIEWICZ: Po pierwsze, w sensie prawnym nie było żadnego walnego zgromadzenia, to tylko część działaczy związanych partyjnie z Winnickim i Bosakiem tworzy taki przekaz, jakby te wydarzenia były umocowane na gruncie prawa, a nie są. 24 lutego doszło więc do złamania statutu i regulaminu stowarzyszenia. W tym sensie wszystkie podjęte decyzje na tym zebraniu są niewiążące i prawnie wadliwe.

Robert Winnicki twierdzi, że pana odwołanie było skuteczne, ponieważ dokonało się przy wymaganym statucie kworum.

Twierdzenia Winnickiego mają niewiele wspólnego z rzeczywistością. Nie można mówić o kworum w sytuacji, kiedy w walnym zgromadzeniu uniemożliwiono udział uprawnionym do tego członkom stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Uważam, że w świetle statutu nadal jestem prezesem stowarzyszenia.

Co dalej? Sprawa trafi do sądu?

Chciałbym tego uniknąć, ale – jak powiedziałem – nie mogę przyjąć postawy chłopca do bicia i pozwolić na to, żeby ktoś mnie bezkarnie szkalował. To świadczyłoby o tym, że nie mam żadnych argumentów w sporze ze swoimi przeciwnikami.

Pana oponenci twierdzą, że sprzeniewierzył się pan idei i celom stowarzyszenia Marsz Niepodległości, bierze pan pieniądze od PiS i pozostawił pan stowarzyszenie z długami.

To po kolei. Marsz Niepodległości w trakcie mojej kadencji jako prezesa stowarzyszenia umocnił rangę ogólnokrajowego wydarzenia społecznego. Wokół niego udało się po raz pierwszy od 1945 r. zbudować istotne aktywa materialne i medialne. Samą wartość środków trwałych, które są w dyspozycji stowarzyszenia, można obecnie szacować na ok. 2 mln zł. Media Narodowe, które są przekształcane z portalu w telewizję dostępną już w niektórych sieciach kablowych, to też rozwojowy projekt.

Zaorać Marsz Niepodległości



– Nie pozwolę, żeby ktoś bez konsekwencji niszczył ideę Marszu Niepodległości – mówi Robert Bąkiewicz

FOT. OLEG MARUSIĆ/REPORTER

Dodam, że w czasie, kiedy kieruję stowarzyszeniem, jego przychody wzrosły 40-krotnie.

Czy ten wzrost jest skutkiem przyjmowania dotacji od władzy, co zarzuca panu Robert Winnicki?

Nie. Jestem zdania, że nie ma nic złego w korzystaniu z dotacji publicznych przez organizacje takie jak stowarzyszenie Marsz Niepodległości. Czy prawo do korzystania z grantów i dotacji mają mieć tylko grupy i organizacje lewicowe, w tym te najbardziej radykalne? Śmiać mi się chce, kiedy słyszę oskarżenia Winnickiego o to, że dałem się kupić przez PiS. Zapytam go, z jakich pieniędzy został sfinansowany zakup lokalu Kuźnia w Warszawie. Beneficjentami tej wartkiej miliona dotacji były organizacje związane z Ruchem Narodowym i Młodzieżą Wszechpolską. Mamy jeszcze wiele innych dotacji, gdzie ludzie z tego środowiska otrzymali ogromne dotacje, i mainstream o tym milczy. Więc kwestia tematu „dotacji” i uzależnienia od PiS jest tylko narzędziem do ataku na nasze środowisko, a nie faktycznym jego powodem.

Zostawił pan po sobie długi w stowarzyszeniu Marsz Niepodległości?

Jak już powiedziałem, kondycja finansowa stowarzyszenia jest dobra, a w porównaniu z latami, kiedy stowarzyszeniu przewodzili partyjni wysłannicy Winnickiego, nieporównanie lepsza. Te rzekome długi dotyczą zbilansowania ubiegłorocznego Marszu Niepodległości. Rzeczywiście, w tym bilansie jest deficyt na kwotę ok. 150 tys. zł. Koszty organizacji marszu i jego zabezpieczenia wzrosły, a zbiórka funduszy była utrudniona z powodu wymierzonej we mnie kampanii nakręcaniej w mediach przez środowisko Winnickiego i Bosaka, co powodowało dezorientację wielu naszych sympatyków. Mniejsze były też dochody z dorocznej kwesty organizowanej przy okazji marszu. Do tego mamy kryzys ekonomiczny, którego skutki też odczuliśmy.

Pamiętajmy też, że Ruch Narodowy i Młodzież Wszechpolska celowo działały na szkodę stowarzyszenia w trakcie trwania zbiórki na organizację Marszu Niepodległości w 2022 r.

O co właściwie chodzi w sporze w środowisku narodowym? O pieniądze, politykę, osobiste ambicje? Wszystko to razem?

To próba dezawuacji mnie i mojego środowiska jako rywala politycznego. Tak to przynajmniej definiują Ruch Narodowy i Konfederacja. Jest to również zasadniczy spór o charakter Marszu Niepodległości, który w ciągu ponad dekady wyrósł na samoistne „prawdopodobnie najbardziej spektakularne wydarzenia społeczno-polityczne w Polsce”. Środowisko Winnickiego i Bosaka dąży do tego, żeby marsz miał charakter partyjny i był instrumentem politycznym

Wyobrażam sobie życie poza Marszem Niepodległości. Jest jeden warunek: odejdę tylko na sprawiedliwych zasadach, kiedy będę miał możliwość przedstawienia swoich racji

do dyspozycji Ruchu Narodowego czy Konfederacji. Moje środowisko optuje za tym, żeby marsz zachował obecny charakter, otwarty na różne środowiska i grupy społeczne, których wspólnym mianownikiem są patriotyzm i obrona naszej narodowej, opartej na chrześcijaństwie tożsamości. To nas różni. Upartyjnienie marszu, oddanie go Konfederacji czy Ruchowi Narodowemu, mogłoby doprowadzić do nieobliczalnych konsekwencji. Z takim zagrożeniem mieliśmy do czynienia podczas marszu w setną rocznicę odzyskania niepodległości w 2018 r. czy w roku 2021, kiedy na skutek działań prezydenta Warszawy Trzaskowskiego marsz niejako został przejęty przez instytucje państwowe. W 2018 r. Bosak i jego poplecznicy parli do działań, które niechybnie doprowadziłyby do gigantycznych zamieszek, co z ich punktu widzenia, tak sądzić, miało dać im paliwo polityczne. Tak nieodpowiedzialne zachowanie spotkało się ze sprzeciwem części zarządu niegodzącego się na trudne do przewidzenia konsekwencje tego cynicznego „planu”. Innym powodem kampanii podjętej przez liderów Ruchu Narodowego przeciwko mnie może być chęć położenia ręki na aktywach Marszu Niepodległości.

Prawdopodobnie dla większości uczestników i sympatyków Marszu Niepodległości ostry spór w środowisku narodowym, który ma miejsce, jest mało czytelny i gorszący, a jego skutkiem może być rozmięcenie na drobne czy wręcz pogrzebanie marszu. Nie obawia się pan takiego scenariusza?

Tak, to na pewno żenujący i gorszący spór, który kompromituje i osłabia środowisko narodowe. Ubolewam, że do niego doszło. Kampania przeciwko mnie prowadzona jest od lat. Bardzo długo starałem się nie dać się w nią wciągnąć, byłem gotowy do rozmów. Niestety, nie widziałem takiej gotowości z drugiej strony. Powtórzę: brak reakcji z mojej

strony mógł być odczytany w ten sposób, że nie mam odpowiedzi na oskarżenia, które są mi stawiane. Mam nadzieję, że przyjdzie czas na opamiętanie.

Narodowcy dali się skutecznie rozegrać PiS przed wyborami? Poprzez ten manewr partia rządząca pozbyła się zagrożenia z prawej strony? Zwolennicy prawicy, mając do wyboru między PiS a skłóconymi narodowcami, będą mieli ułatwioną decyzję...

Nie mam wiedzy, która pozwalałaby potwierdzić pańskie sugestie. No chyba że przyjmujemy, że w tle stoją jakieś działania ze strony służb, ale nie chcę się wdawać w takie spekulacje. Na pewno faktem jest, że politycznie Prawo i Sprawiedliwość korzysta na podziałach w obozie narodowym.

Ustąpi pan dobrowolnie z funkcji prezesa stowarzyszenia Marsz Niepodległości?

Jak powiedziałem, nie jestem przywiązany do fotela prezesa stowarzyszenia. Wyobrażam sobie życie poza Marszem Niepodległości. Jest jeden warunek: odejdę tylko na sprawiedliwych zasadach, kiedy będę miał możliwość przedstawienia swoich racji. Na pewno nie pozwolę na to, żeby ktoś bez konsekwencji niszczył ideę Marszu Niepodległości oraz moje dobre imię.

© P Wszelkie prawa zastrzeżone

Dywersja

pod okiem lewicowych ekspertów

Miejsce protestu aktywistów z inicjatywy Dzikie Karpaty, którzy blokowali wycinkę lasu i okupowali teren projektowanego „Turnickiego Parku Narodowego” w okolicach Makowej na Podkarpaciu, 26 kwietnia 2021 r. FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Turnicki Park Narodowy nie istnieje i prawdopodobnie istnieć nie będzie, a przynajmniej do momentu, w którym tzw. ekolodzy nie obejmą resortów odpowiedzialnych za ochronę przyrody. W świecie aktywistów spod zielonego sztandaru w Puszczy Karpackiej znajduje się jednak nowy park narodowy. Aby znaleźć rzeczoną instytucję, wystarczy wejść na Facebooka i wpisać frazę „Niewidzialny Turnicki Park Narodowy”. Strona rozpoczęła działalność jesienią 2016 r., czyli w erze rządów śp. ministra Jana Szyszki, swoistej personifikacji wszystkich urojeń ekologów. Obecnie fanpage według informacji FB obserwuje 17 tys. osób, lecz w 2023 r. nie sposób już zweryfikować, ile spośród „polubień” należy do rzeczywistych ludzi, a ile do botów czy kont z Indonezji. Strona dla laika prezentuje się całkiem zachęcająco. Widzimy liczne, piękne fotografie dzikiej fauny i flory. Fanpage udostępnia także posty przekierowujące do... Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze. I to właśnie tutaj zaczyna się ostra jazda, ale do tego wątku wrócimy później. Na razie skupmy



Jakub Zgierski

Bieszczadzkie lasy gospodarce od lat służą polskiemu przemysłowi drzewnemu, lecz nagle znalazł się ktoś, kogo ta branża gospodarki zaczęła kłuć w oczy. Czy to przez banknoty wyemitowane w którymś z zachodnich banków centralnych, nałożone na twarze tych, którzy zawsze wiedzą najlepiej „jak”, „komu” i „za ile”?

się na samej idei – nazwijmy to – rzeczywistości równoległej, którą próbują na siłę urzeczywistnić samozwańczy obrońcy Puszczy Karpackiej.

RZECZYWISTOŚĆ RÓWNOLEGA

Niewidzialny Turnicki Park Narodowy ma być umiejscowiony w regionie, w którym od lat działa już objęty ochroną prawa rezerwat. Można się domyślać, że to właśnie stamtąd pochodzi znaczna część fotografii, którymi aktywiści zasypują niekiedy niczego nieświadomych internautów. Rezerwat to jednak zdaniem

tzw. ekologów jedynie „zmyłka” i zasłona dla niepohamowanej eksploatacji lasów gospodarczych w Puszczy Karpackiej przez Lasy Państwowe. Czy naprawdę jest tak źle, że sytuację może uratować jedynie nowy park narodowy, a najlepiej – wychodząc naprzeciw światłym pomysłom z Brukseli – przekazanie polskich lasów pod zarząd unijny?

W XX w. te obszary były intensywnie użytkowane przez ludzi. W 1946 r. lasy zajmowały tylko 36 proc. powierzchni całkowitej nadleśnictwa, natomiast w 2018 r. ten wskaźnik osiągnął już 62 proc.

Nie można ich zatem uznać za naturalny, dziki wytwór przyrody – to rezultat pracy całych pokoleń leśników. Przykładowo w Nadleśnictwie Bircza na przestrzeni pół wieku średni wiek drzewostanu zwiększył się z 69 do aż 87 lat. Krótko mówiąc – wbrew twierdzeniom tzw. ekologów – te tereny są sukcesywnie zalesiane i rekultywowane, a nie degradowane.

Najcenniejsze obszary lasów Pogórza Przemyskiego, obejmujące stary drzewostan (powierzchnia ok. 1,5 tys. ha), od dawna znajdują się pod ochroną. Wycinka drzew odbywa się wyłącznie w lasach gospodarczych, które zgodnie z przeznaczeniem służą reprodukcji surowca dla sektora drzewnego. Nie da się ukryć, że w ten sposób nie tylko zapewniają mnóstwo miejsc pracy, lecz także przyczyniają się do wzmocnienia polskiej gospodarki i budżetu państwa. I może właśnie to jest solą w oku tych, którzy przyjeżdżają do Puszczy Karpackiej i prowadzą de facto działalność przestępczą?

Zieloni aktywiści mozolnie budowali swoje zaplecze w Internecie i zaczęli brylować w social mediach, wykorzystując powszechny w społeczeństwie wielkomiejskim „bambinizm” (krwiożerczy ludzie i biedne, bezbronne zwierzątka!). Starania przyniosły efekty i ekokomuna otrzymała przyzwolenie społeczne do wyjścia na ulice. Kiedy i tam się wyszumiała, postanowiła pójść krok dalej – dokonać aktów wątpliwych prawnie w regionie lasów gospodarczych Puszczy Karpackiej.

Ekoterror w lasach?

Media wielokrotnie informowały o tym, że w rejonie Puszczy Karpackiej różni lewicowi aktywiści regularnie przeszkadzają w obowiązkach pracownikom Lasów Państwowych. Co istotne, nie chodzi tu wyłącznie o okupowanie lasów z pretensjonalnymi bannerami, ale również o dużo groźniejsze zachowania. Bulwersujący przykład dotyczy Nadleśnictwa Lutowiska, w którym leśnicy znaleźli drzewa z powbijanymi gwoździakami. Aby wybrzmiało to właściwie – gwoździe wbity w drzewo może ranić albo zabić drwa, który będzie pracował piłą spalinową. Nie bez przyczyny rzecznik prasowy Lasów Państwowych Michał Gzowski w rozmowie zamieszczonej na łamach „Do Rzeczy” stwierdził wprost, że nie można w tym przypadku mówić o żadnych aktach

obywatelskiego nieposłuszeństwa. W jego ocenie jest to po prostu „terror, na który w Polsce nie ma przyzwolenia”.

Z kolei dla pisma „Najwyższy Czas!” wypowiedział się nadleśniczy z położonej blisko puszczy miejscowości Bircza. Mężczyzna doskonale zna tereny, za które odpowiada. Wie również, że aby utrzymać ekosystem w równowadze, ochrona przyrody i racjonalna gospodarka leśna z pożytkiem dla człowieka powinny iść ze sobą w parze. Warto w tym miejscu przytoczyć relację nadleśniczego Zbigniewa Kopczaka: „Pseudoekolodzy utrudniają, a w niektórych przypadkach uniemożliwiają wykonywanie zadań gospodarczych, np. przykuwają się do drewna, rzucają się pod ciągniki zrywkowe, które wywożą z lasu drewno; pomimo zakazu wstępu wchodzą na powierzchnie, na których wykonywane są czynności gospodarcze, stwarzając tym samym zagrożenie dla zdrowia swojego, jak i osób postronnych. Dochodzi do spięć oraz sytuacji, gdzie trudno przewidzieć zakończenie. Protestują w lasach gospodarczych, twierdząc, że nie można korzystać z dóbr lasu. Na nas jednak ciąży obowiązek wynikający z nadzoru powierzonego przez Lasy Państwowe. Musimy dbać o las i jego zasoby, co jest zadaniem proekologicznym, połączonym z zapewnieniem społeczeństwu surowców drzewnych, m.in. na opał, do budownictwa czy dla przemysłu meblarskiego. [...] Realizujemy zapisy Planu Urządzenia Lasu, uwzględniając procesy naturalne, prowadzimy gospodarkę opartą na zasadach powszechnej ochrony lasów, trwałości ich utrzymania, ciągłości i zrównoważonego wykorzystania wszystkich funkcji lasów i powiększania zasobów leśnych. Niestety, od wielu już lat aktywiści różnych pseudoekologicznych stowarzyszeń ciągle przeszkadzają w naszej służbie”.

FUNDACJA DZIEDZICTWO PRZYRODNICZE

Twarzą Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze, która mocno promuje ideę „Niewidzialnego Turnickiego Parku Narodowego”, jest dr Antoni Kostka, zajadły krytyk obecnej władzy, z wykształcenia geolog. Często gości na łamach serwisu OKO.press oraz „Gazety Wyborczej”, gdzie występuje jako autorytet na froncie walki o przyrodę. Kostka głosi pogląd, że Lasy Państwowe to „kapitalistyczna korporacja”, zupełnie

jakby pogoń za zarobkiem przez państwo była czymś godnym nagany. Jest również bardzo zaangażowany politycznie – przed laty wspierał m.in. małopolski KOD. Na swoim profilu na Twitterze wykazuje zaskakująco małą jak na naukowca powściągliwość, ponieważ otwarcie nazywa rządzących „debilami”.

Aby zrozumieć, z kim dokładnie mamy do czynienia, trzeba cofnąć się do lutego 2020 r. Wówczas Kostka wraz z grupą „zaangażowanych” spotkał się w Brukseli z komisarzem Fransem Timmermansem, eurokratą odpowiedzialnym za niesławny Europejski Zielony Ład. Kostka oraz pozostali wizytatorzy apelowali do Komisji Europejskiej, żeby ta „uratowała polskie lasy”. Kostka postulował, aby unijne organy wywarły presję na rząd w Warszawie – by obywateli otrzymali dostęp do niezależnego sądownictwa w sprawach dotyczących środowiska naturalnego.

Czy czegoś nam to nie przypomina? W ostatnich tygodniach w mediach zawrzało, gdy wyszło na jaw, że Unia Europejska zmierza do tego, aby decyzje dotyczące leśnictwa odebrać poszczególnym państwom członkowskim i przenieść je na poziom kompetencji wspólnych. Mówiąc wprost, to nie Polska ma decydować o lasach położonych w swoich granicach, ale jacyś urzędnicy z Brukseli. Według postulowanych regulacji ok. 30 proc. powierzchni lasów w każdym kraju Unii Europejskiej miałyby być objętych ochroną, z czego 10 proc. ścisłym nadzorem. Spodziewany efekt? Poważny cios w polską branżę drzewną, a nawet groźba jej upadku. Oczywiście wszystko w imię ochrony przyrody i przeciwdziałania zmianom klimatu.

Jakby tego było mało, w czwartek 2 lutego Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE) orzekł, że pozarządowe organizacje ekologiczne mają prawo do kwestionowania przed sądem planów urządzania lasów w Polsce. Skarga Komisji Europejskiej, którą uwzględnił TSUE, opiera się na doniesieniach trzech organizacji ekologicznych. Co prawda, do tegoż grona nie zalicza się Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze, jednak dr Antoni Kostka z pewnością może być z siebie dumny – w końcu próbował doprowadzić do podobnego scenariusza już kilka lat temu. Prekursor, jak by nie patrzeć.

Brak dzieci w Polsce to kwestia mentalności

Czesi odnoszą sukcesy w kwestii sytuacji demograficznej. Chcemy przeanalizować, na ile to, co się dzieje w Czechach, jest podobne do tego, co dzieje się w Polsce; chcemy czerpać z ich praktyk – mówiła na jesienią ubiegłego roku wiceminister ds. rodziny Barbara Socha. Niestety, polityka demograficzna to gra wieloczynnikowa, w której nie wszystko zależy od mechaniki, którą państwo zbuduje za pomocą narzędzi polityki społecznej. Rozwinięty system wsparcia nie gwarantuje jeszcze sukcesu. Finlandia, która podobnie jak inne państwa skandynawskie charakteryzuje się opiekuńczym podejściem do społeczeństwa, w tym także do rodziny, nie mogła poradzić sobie przez lata z załamaniem wskaźnika urodzeń. Od roku 2010 do roku 2020 spadł on z poziomu 1,87 do 1,37. W roku 2019 było najgorzej: współczynnik dzietności wyniósł 1,35 dziecka na kobietę.

O dziwo, Finom – tak przynajmniej mogłoby się wydawać – pomogła pandemia. W ostatnich dwóch latach doszło do raczej niespodziewanej częściowej odbudowy dzietności w tym kraju. Dobrego wytłumaczenia tej sytuacji nie ma, a te komentarze, które się w tej sprawie pojawiały, ocierały się o banał. Można było przeczytać, że przez reżim pandemiczny małżonkowie więcej spędzali ze sobą czasu i dlatego pojawiły się nowe dzieci. Tyle tylko, że taka



Tomasz Rowiński

Czechom udało się wydobyć z głębokiego kryzysu demograficznego w ciągu ponad dekady. Polscy decydenci twierdzą, że chcieliby podążać podobną drogą. Tylko wcale nie jest łatwo znaleźć to, co doprowadziło do czeskiego sukcesu

sytuacja dotyczyła bardzo wielu krajów, a jednak to właśnie Finlandia stała się wyjątkiem na tle europejskiego otoczenia. Oczywiście trzeba dopowiedzieć, że dzietność w Finlandii dalej pozostaje na bardzo niskim poziomie. Wskaźnik za zeszły rok mówi o 1,46 dziecka na kobietę. To i tak już lepiej niż w Polsce, ale gorzej niż w Czechach.

CZESI BLISKO ZASTĘPOWALNOŚCI POKOLEŃ

W roku 1999 społeczeństwo czeskie osiągnęło prawdziwe demograficzne dno. Współczynnik dzietności wyniósł wtedy 1,13 dziecka na kobietę i był jednym z najniższych na świecie. A jeszcze dziewięć lat wcześniej, czyli w roku 1990, zaraz po wyjściu z komunizmu, wynosił on 1,9. Dziś większość krajów europejskich chciałaby mieć chociaż taki współczynnik. W tym samym czasie

Polska wciąż mogła się poszczycić współczynnikiem na poziomie 2,06, co oznaczało zastępowalność pokoleń. Były to jedne z ostatnich tak dobrych rocznych wyników naszego społeczeństwa.

Do roku 2010 Czechom udało się w pewnym niewielkim stopniu odbudować dzietność i osiągnęli wtedy wynik współczynnika dzietności na poziomie 1,51. Już wtedy były to dane bardziej korzystne od naszych. My zmierzaliśmy w tym czasie w kierunku dna doliny z roku 2013. W 2010 r. współczynnik dzietności wyniósł w Polsce 1,38 dziecka na kobietę. Trzy lata później osunęliśmy się do wartości 1,26. Tymczasem Czesi po jednym słabszym roku (1,43 – 2011 r.) rozpoczęli trwający do dziś marsz w górę, w kierunku odbudowy swojej narodowej demografii. W latach 2013–2017 mogło się wydawać, że także Polacy pójdą tą drogą, ponieważ współ-

czynnik dzietności w ostatnim roku tego okresu wyniósł 1,45. W tym czasie Czesi mogli pochwalić się już wynikiem na poziomie 1,69. Problem polega na tym, że przez ostatnie pięć nasi południowi sąsiedzi już tylko poprawiali swoją dzietność (1,82 w 2021 r.), a u nas nastąpiło kolejne załamanie. Obecnie z wynikiem na poziomie 1,3 zbliżamy się do dramatycznego poziomu dzietności z roku 2013.

Czy można wskazać przyczynę, dla której czeska demografia zmierza w kierunku, który w polskim przypadku może być, na razie, tylko marzeniem? Przypadek krajów skandynawskich pokazuje, że nie ma prostych odpowiedzi, jeśli chodzi o rekonstrukcję trendów demograficznych. Szczególnie tych dobrych. Na początku lat 90. w almanachach politycznych wskazywano, że jednym z powodów niskiej dzietności w Czechach jest wysoki poziom zlaicyzowania społeczeństwa. Od tamtych czasów Czesi nie stali się bardziej religijni, a ich demografia zdążyła przejść rozmaite zakręty, by – na razie – wyjść na prostą.

W ostatnich latach część demografów zmieniła zupełnie zdanie co do tego, jakie przyczyny kształtują czeską dzietność i w jaki sposób. Wskazują oni obecnie, że to właśnie ów czeski laicyzm, liberalizm i pragmatyzm odnośnie do życia społecznego jest przyczyną tego, że w kraju tym rodzi się coraz więcej dzieci. Takie opinie pachną raczej zwycięstwem ideologicznych racjonalizacji niż rzetelną analizą. W obszernym tekście na temat czeskiej demografii z kwietnia 2022 r., który opublikowany został na portalu Onet.pl, za główne przyczyny czeskiego baby boomu uznano niezobowiązujące podejście do instytucji małżeństwa, relatywnie niskie koszty procedury in vitro, a także łatwą dostępność aborcji. Autorka opracowania posunęła się wręcz do gloryfikacji sytuacji, którą wiele kobiet traktuje jako doświadczenie traumatyczne. Chodzi o utrwalony w wielu krajach zwyczaj nieuzasadnionego sugerowania przez ginekologów aborcji. „Już we wczesnej ciąży zupełnie normalne jest pytanie ze strony lekarza, czy kobieta chce tego dziecka. Każdy ma prawo do wyboru. Ogólnie świadomość kobiet jest większa. Tutaj uświadamia się już przedszkolaki, nie ma udawania, że dzieci przynosi bocian” – czytamy w opinii „Polki mieszkającej w Czechach”.

Analogiczne społecznie liberalne stanowisko zaprezentowała cytowana w artykule prof. Irena Kotowska ze Szkoły Głównej Handlowej: „Według danych Eurostatu w 2019 r. 48 proc. dzieci urodzonych w Czechach to dzieci w związkach pozamałżeńskich. U nas ten odsetek to ok. 26 proc. Mało tego – związki partnerskie są uznawane prawnie w Czechach, para może zarejestrować swój związek i korzystać z urlopów i zasiłków rodzicielskich. U nas niemałżeńskie związki są niemal w ogóle niedostrzegane zarówno w statystyce publicznej, jak i w rozwiązaniach polityki społecznej. O tym, ile jest rodzin mających formę związku partnerskiego z dziećmi lub bez nich, dowiadujemy się jedynie ze spisów powszechnych”.

STABILNOŚĆ CZY NIESTABILNOŚĆ?

Czy społeczna niestabilność rzeczywiście sprzyja dzietności? Co innego zdaje się twierdzić Małgorzata Sikorska, badaczka z Uniwersytetu Warszawskiego, w swoim raporcie „Czy zwiększenie dzietności w Polsce jest możliwe?”.

„Podjęcie decyzji o pierwszym dziecku jest odkładane przede wszystkim przez brak poczucia stabilizacji. Chodzi szczególnie o brak stabilnego zatrudnienia obojga partnerów [...] oraz brak stabilnej sytuacji mieszkaniowej. Dla kobiet ważne jest także to, czy są mężatkami. Małżeństwo ułatwia podjęcie decyzji o dziecku, a życie w związku nieformalnym utrudnia” – pisze Sikorska.

Warto zatrzymać się przy nieetycznej metodzie in vitro, która jest szeroko stosowana w Czechach. Z pomocą tej procedury rodzi się u naszych sąsiadów ok. 6 tys. dzieci rocznie. Inna istotna statystyka mówi, że ok. 60 proc. narodzin w grupie kobiet powyżej 35. roku życia właśnie ma miejsce dzięki in vitro. Choć Czeszki zdecydowanie częściej niż Polki rodzą dzieci po 30. roku życia i jest to ważny czynnik dzietności w ich społeczeństwie, to trzeba zapytać, czy aż tak wysoki odsetek kobiet korzystających z in vitro jest rzeczywiście uzasadniony medycznie. Czy kobiety w grupie po 35. roku życia nie urodziłyby dzieci bez dostępności do tej procedury? Bezpłodność na poziomie 60 proc. musiałaby być uznana za zaskakujące zjawisko. Dodajmy, że na koniec 2019 r. liczba

wszystkich urodzeń żywych w Czechach wyniosła ok. 112 tys. dzieci, zatem z in vitro rodzi się tylko ok. 5 proc. dzieci.

Niestety, debata o demografii w Polsce jest silnie uwarunkowana ideologicznie. Bardzo ciekawa i rzetelnie opracowana analiza demograficzna dotycząca Czech, która ukazała się na portalu Obserwator-gospodarczy.pl w styczniu 2022 r., kończy się akapitem zawierającym ewidentne lokowanie ideologii. Nie odnosi się on do żadnych badań, opublikowanych danych, a jedynie podsuwa czytelnikowi sugestię. „Na tak dobry wynik w Czechach wpływa także wiele czynników, które trudno ująć liczbami. Może to być m.in. poczucie bezpieczeństwa. Aborcja w Czechach jest legalna. Może to być jeden z wielu czynników systemowych, który sprawia, że matki nie boją się aż tak potencjalnej ciąży” – czytamy.

Na pewne dane jednak nie zwraca się prawie wcale uwagi. W raporcie Instytutu Pokolenia, który poświęcony jest demografii w Czechach, znaleźć można ciekawe zestawienie porównujące, co Polacy i Czesi uważają za swoje powinności wobec społeczeństwa. Niemal 50 proc. Czechów w wieku do 29 lat uważa, że posiadanie dzieci jest wypełnieniem obowiązku wobec społeczeństwa. W Polsce uważa tak zaledwie nieco ponad 20 proc. młodych dorosłych. Równocześnie ok. 55 proc. Polaków w tym przedziale wiekowym nie zgadza się, że posiadanie dzieci to wypełnianie obowiązku wobec społeczeństwa. Społeczność ludzi młodych w Polsce ogranicza swoje poczucie obowiązku wobec społeczeństwa do życia zawodowego.

Jaki można z tych danych wyciągnąć wnioski? Dość prosty, ale niestety prawdopodobnie komplikujący polską drogę do odbudowy sytuacji demograficznej. Jesteśmy znacznie bardziej od Czechów naznaczeni społecznym egoizmem i indywidualizmem. Nikłe jest też nasze poczucie przynależności do wspólnoty politycznej czy też narodu. Problemy demograficzne, z którymi się borykamy jako społeczeństwo, mogą wynikać ze znacznie bardziej fundamentalnego kryzysu, a nie tylko z niedoskonałego systemu wspierania rodziny. Wygląda na to, że zmiany systemowe musimy zacząć od mentalności, która siedzi w polskich głowach. Jak to jednak zrobić? Na to na razie nie ma chyba pomysłu.



FOT. ANDRZEJ STOK

Przejściowe (nie)porozumienie



Łukasz Zboralski

Lepsze prawo i adekwatne kary dla kierowców spowodowały, że Polska w rok stała się krajem z drogami bezpieczniejszymi niż włoskie czy belgijskie. Teraz potrzeba jeszcze współpracy. Najbardziej tej między pieszymi a kierowcami

To olbrzymi sukces, wręcz awans cywilizacyjny, którym rząd Mateusza Morawieckiego nie bardzo umie się pochwalić. Do 2019 r. (czyli przed czasem pandemii, który wymyka się właściwym ocenom ze względu na ograniczenia i lockdowny) byliśmy

zwykle wśród trzech-czterech krajów UE, w których ginęło najwięcej ludzi w wypadkach drogowych w przeliczeniu na milion mieszkańców. Nasz wskaźnik wynosił 80. Gorzej bywało jedynie w Rumunii czy Bułgarii.

W 2022 r. w Polsce w wypadkach drogowych ginęło 51 osób na milion mieszkańców. To już bardzo blisko średniej europejskiej, która wyniosła 46. Jesteśmy więc dziś pod tym względem przeciętnie niebezpiecznym krajem – na poziomie Słowacji, Francji. Jest u nas mniej zgonów na drogach niż we Włoszech, w Belgii, na Węgrzech.

Dopiero na tle Europy widać dobrane, że to nie stało się „samo”. W wielu krajach poziomy śmierci na drogach zaczęły wracać do tych sprzed pandemii. Tymczasem w Polsce w porównaniu z okresem pandemicznym liczba tracących życie w wypadkach nadal spadała

i była mniejsza o 16 proc. w porównaniu z 2021 r. Mierząc bardziej racjonalnie – do średniej z lat 2016–2019 – zmniejszyliśmy liczbę umierających w wypadkach drogowych o 30 proc. To oznacza rocznie mniej o tysiąc pogrzebów.

Oficjalnie (policja ma już dane w systemie, ale nie opublikowała jeszcze zestawienia) w 2022 r. w wypadkach drogowych w Polsce zginęło 1896 osób.

PRAWO I PIĘŚĆ

Wiemy, dlaczego nagle polskie drogi stały się dużo bezpieczniejsze. Sprawili to dwie zmiany. Pierwszą było urealnienie po 30 latach kar za wykroczenia i przestępstwa drogowe. Za poważne wykroczenia – zagrażające życiu lub zdrowiu – są dziś poważne konsekwencje. I nie chodzi tylko o wysokie grzywny. Zagrażający innym na trasach szybko dziś tracą uprawnienia do kierowania – liczba punk-

tów karnych za poważne wykroczenia jest wysoka i sięga jednorazowo nawet 15 punktów (przy limicie 24). Zniknęły też patologiczne „kursy” w ośrodkach ruchu drogowego, gdzie piraci raz na pół roku za 300 zł odkupywali swoje punkty, udając, że słuchają pogadanek emerytowanych policjantów i egzaminatorów.

Wiadomo też już, że nowelizacja prawa w sprawie pierwszeństwa pieszych, którą torpedowano przez ponad dekadę, również przyniosła spodziewane efekty. Wbrew populistycznemu straszeniu przez niektórych publicystów i działaczy motoryzacyjnych polskie „zebry” nie spłynęły krwią. Krwi jest na nich teraz znacznie mniej.

Gdy przyjrzeć się tylko zdarzeniom na przejściach bez sygnalizacji świetlnej, widać, że ginęło tam w wypadkach mniej ludzi niż nawet podczas pandemii. W 2022 r. odnotowano bowiem 129 zabitych, podczas gdy rok wcześniej było to 132, a w 2020 r. – z okresem lockdownów! – 168 ofiar śmiertelnych. Przed pandemią na „zebrach” bez sygnalizacji ginęło zawsze ponad 200 osób rocznie.

Krótko mówiąc – wystarczyło Polakom dać system, który jasno wytycza, co jest złe i za co grozi kara (a nie mruganie oczkiem, że jest niby tak, ale wszyscy robimy inaczej), dać jasne prawo i nagle okazało się, że zniknął mit o jakiejś naszej narodowej cesze, która czyniła z nas „drogową husarię”.

KOMU USTĘPOWAĆ?

To oczywiście nie świadczy o tym, że nie mamy już nic do zrobienia na drogach w Polsce. Od strony systemu – m.in. niewydolnego automatycznego nadzoru, fatalnego systemu szkolenia i egzaminowania kierowców, leczenia po wypadkach – mamy jeszcze wiele do nadrobienia.

Mamy też jednak do zrobienia sporo pod względem właściwego rozumienia się na drogach – czyli po prostu empatii. I kwestia między pieszymi a kierowcami jest tu najlepszym przykładem.

Dość dobrze bowiem wiadomo już, jak interpretować nowe zapisy nakazujące ustępować pieszym nie tylko będącym na przejściu, lecz także dopiero na nie wchodzącym. Polscy karniści logicznie i spójnie przekonują, że „wchodzący”

pieszy to po prostu człowiek, u którego widać zamiar przejścia przez przejście dla pieszych. Tak sądzą m.in. wykładowcy UJ z Katedry Prawa Karnego – dr Miłkołaj Małecki i dr hab. Szymon Tarapata. Podziela ten pogląd również były sędzia Janusz Wojciechowski. Także karnista prof. Ryszard Stefański, który od dawna zajmuje się ruchem drogowym, w niedawnej analizie wskazał (w czasopiśmie „Paragraf na Drodze”), że wchodzący pieszy to na pewno ten, który jest jeszcze na chodniku – zdaniem profesora znajduje się ok. 1,5 m przed przejściem. Profesor nie napisał wprost, ale także jego opis sugeruje, że to pieszy zmierzający wprost do pasów, widać więc jego intencję.

Taki punkt widzenia znalazł już zresztą odzwierciedlenie w pierwszym wyroku sądowym. Sąd Rejonowy w Piotrkowie Trybunalskim (sygn. akt. VII W 135/22) uznał: „Należy uznać, że każde zachowanie pieszego zdradzające zamiar wejścia na przejście dla pieszych kierujący pojazdem musi odebrać jako sytuację »wchodzenia na przejście«. Kierowca musi więc ustąpić pieszemu, który wchodził na przejście, ale zatrzymał się, by upewnić się, iż może przejść.”

EMPATIA PILNIE POSZUKIWANA

Trzeba jednocześnie zauważyć, że tak poważna zmiana nie została wytłumaczona przez władze, które ją zaproponowały. Nie było żadnej szerokiej kampanii dla Polaków, która tłumaczyłaby, jak piesi i kierowcy mają zachowywać się na przejściach. Ilu kierowców i pieszych przeczyta prawne analizy i orzeczenia sądów i będzie sobie potrafiło wyrobić poglądy na podstawie kształtującego się orzecznictwa?

Tymczasem kierowcy masowo sygnalizują, że do pieszych dotarł tylko jeden komunikat: „macie pierwszeństwo”. Zgłaszają więc, że obserwują dużo więcej zachowań pieszych, którzy niezbyt ostrożnie wkraczają na przejścia. Z jednej strony może tak być dlatego, że dopiero pierwszy raz od dekad musieli zacząć zwracać na nich uwagę. Z drugiej – nie dowiemy się ze statystyk, czy rzeczywiście tak nie jest, bo w raportach policji za 2022 r. przeczytać możemy tylko o przypisaniu winy pieszym w zaledwie kilku wypadkach śmiertelnych (i wszystkie dotyczyły przechodzenia na czerwonym świetle). Jeśli czujniejsi kie-

rowcy powodują, że nawet nieostrożni piesi nie są potrącani, to liczba pochopnych zachowań pozostanie nieznana.

Tutaj nie ma innego dobrego rozwiązania, jak doprowadzić do współpracy na drogach – czyli czegoś, co nam chyba nad Wisłą przychodzi najtrudniej. O co właściwie chodzi? O to, czym zdumiona była przedstawicielka organizacji zajmującej się bezpieczeństwem drogowym w Wielkiej Brytanii, z którą rozmawiałem kilka lat temu w Warszawie. – Brytyjczycy mają dużo większy kontakt wzrokowy z innymi na drodze. Tego w Polsce chyba nie ma. Kiedy rano chodziłam po Warszawie, złapałam się na tym, że przechodząc przez skrzyżowanie, szukałam wzrokiem kierowców, żeby dostrzegli mnie i rozpoznali moje zamiary, ale nic takiego się nie wydarzyło – musiałam stać tam dłuższą chwilę i czekać – mówiła mi wówczas Rebecca Ashton, behawiorystka, ekspertka IAM RoadSmart.

Kierowca dojeżdżający do przejścia powinien więc nie tylko widzieć pieszego, lecz także złapać z nim kontakt wzrokowy, rozpoznać zamiary. Jednak także piesi powinni dać szansę na rozpoznanie własnych zamiarów. Kierowca musi jasno widzieć, że ktoś podchodzi do „zebry” w celu jej przekroczenia, a nie po prostu przechodzi obok (i nagle bez oglądania się skręca przez ramię na pasy). I nie chodzi tu o polskie pomysły, takie jak proponowane przez byłego policjanta Marka Konkolewskiego podnoszenie ręki przez pieszego – taki obowiązek jest tylko w jednym kraju UE, w Bułgarii. I tak się składa, że to kraj z jednym z najmniej bezpieczniejszych dróg. Chodzi o zwykłe danie możliwości dostrzeżenia, że pieszy będzie przechodził przez pasy. Kierowca nie jest jasnowidzem.

Takie rzeczy Polakom trzeba wytłumaczyć. Powinna to zrobić Krajowa Rada Bezpieczeństwa Ruchu drogowego usytuowana w Ministerstwie Infrastruktury. Owszem, to nie będzie kampania łatwa – bo kierowcy w Polsce zły przekaz ochoczo podchwycają jako powrót do sytuacji sprzed zmiany prawa i będą oczekiwali od pieszych myślenia za nich. Ale czy trudne sprawy oznaczają, że nie powinniśmy się z nimi w ogóle mierzyć? Polakom należy się publiczne wyjaśnienie, co i jak mają robić, by wszystko kończyło się szczęśliwie.

Oscary



Piotr Gociek

Czy Akademia Filmowa dziecinnieje? Oczywiście. Czy ulega modom? A jakże! Ale... czy kiedykolwiek było inaczej? Przedstawiamy więc własne rankingi

Pamiętają państwo zasady zabawy? Muszę wskazywać swoich faworytów z grona, które zostało wyróżnione nominacjami przez Akademię Filmową. Nie jest to próba odgadnięcia przyszłości, ale mój subiektywny ranking oscarowy. Tak jak opisałem poniżej, głosowałbym, gdybym miał okazję.

Zacznijmy od matematyki. Tegoroczni przodownicy, jeśli idzie o liczbę nominacji, to filmy „Wszystko wszędzie naraz” (11), „Na zachodzie bez zmian” oraz „Duchy Inisherin” (po 9). „Elvis” (8) i „Fabelmanowie” (7). Przeanalizujmy te przypadki. „Duchy Inisherin” Martina McDonagha zasługują na wyróżnienia, bo to dobry film. „Fabelmanowie” mieli świetne recenzje, Akademia kocha Stevena Spielberga oraz opowieści o tym, jak ważne jest kino. „Na Zachodzie bez zmian” to według mnie film zastępczy – nie chciało się w czasach wojennych nominować świetnego ukraińskiego „Klondike”, to trzeba się zadowolić niemieckim ersatzem, czyli efektowną, acz przekraczającą sens oryginału ekranizacją słynnej powieści Remarque’a. „Elvis” miał nienajlepsze recenzje i jest filmem

nierównym, ale Akademia ma najwyraźniej słabość i do Bazy Luhrmanna, i do Elvise, choć ominęła jeden z najmocniejszych punktów filmu, czyli Toma Hanksa w roli pułkownika Parkera.

„Wszystko wszędzie naraz” to największe zaskoczenie tegorocznego sezonu oscarowego – jak to możliwe, że kolorowy żart, skleiony z motywów kina gatunków i wyglądający jak przeciągnięty epizod serii „Rick i Morty”, otrzymał aż 11 nominacji? (Tyle co „Ojciec chrzestny”, „Szeregowiec Ryan” czy „Amadeusz”). Odpowiem: A jak to możliwe, że tyleż nominacji miał kilka lat temu fatalny „Joker”? Odpowiedź jest prosta: trzeba zrobić film modny albo taki, przy okazji którego członkowie Akademii będą mogli tanim kosztem wkupić się w łaski wpływowych lobby. „Joker” był marksistowskim wywodem na temat złych bogaczy i biednych skrzywdzonych przestępców (film modny). „Wszystko wszędzie naraz” to okazja do nagrodzenia licznych przedstawicieli chińskiej mniejszości w USA, wychwalania girl power (a właściwie woman power) oraz – rzecz niebagatelna – ukłonu w stronę lobby LGBT+. Przesłanie filmu duetu Daniela jest bowiem

następujące: wszechświat przestanie istnieć, jeśli wyrodna matka nie zaakceptuje faktu, że jej córka jest lesbijką (upraszczam, ale niewiele).

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZyczny

Weźmy byka za rogi, tzn. osiołka za uszy. Pograżeni w sporach o to, czy można było czy też nie pokazywać „IO” na festiwalu w Gdyni (i dlaczego film tam zignorowano), możemy nie dostrzegać, jak wielkie wrażenie zrobił film Jerzego Skolimowskiego na świecie. Tak, pamiętamy oklaski z Cannes (no i nagrodę jury), ale umówmy się: to nie od werdyktu z Francji zależy, czy film przebiję się do świadomości widzów z całego świata. Flirt z Oscarem taką możliwość otwiera, a ewentualna statuetka byłaby najsukcesowniejszą reklamą.

Na którą film Skolimowskiego zasługuje, bo wybija się ponad oscarową konkurencję w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny”. Mamy tu jeszcze zdecydowanie przereklamowaną nową ekranizację prozy Remarque’a, czyli niemiecki „Na Zachodzie bez zmian” Edwarda Bergera, mamy manipulujący

subiektywnie



„Tar” to pod względem reżyserii dzieło bezbłędne FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nieuczciwie emocjami dramat belgijski „Blisko”, ogólnie słuszny okrzyk sprzeciwu wobec działań argentyńskiej junty, czyli „Argentyna, 1985”. Ten ostatni film sprawia, że zadaję sobie pytanie: Skoro świat może bić brawo upamiętnieniu wysiłków prawników walczących przeciw zbrodniczym generałom z Buenos Aires, to czy nie mógłby też i tym, którzy w Polsce sprzeciwiali się Jaruzelskiemu i jego poprzednikom? Cóż, takie tematy nie interesują polskich filmowców, gdyż mogliby jeszcze zostać oskarżeni o sprzyjanie PiS i negowanie demokratycznego dorobku komunistów, dziś zasiadających w europarlamencie.

Nagradzając w prywatnym oscarowym rankingu „10”, dostrzegam też kameralny, bardzo poruszający dramat „A Quiet Girl” z Irlandii. Zwróćcie na niego uwagę, gdy trafi do polskich kin.

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

W tej kategorii widzę na horyzoncie katastrofę, którą byłoby wyróżnienie przez Akademię filmu Guillerma del Toro „Pinokio”, który wywraca do góry nogami przesłanie oryginału i nie ma już nic wspólnego z dziecięcą klasyką. Dobrą

prasę ma „To nie wypanda”, bo to i zabawna opowieść o dojrzewaniu młodej dziewczyny, i krok w kierunku wrażliwości na problemy etnicznych mniejszości. „Marcela Muszelki w różowych bucikach” nie widziałem, więc nie będę się wymądrzał. „Morska bestia” z Netflixa niespecjalnie mnie poruszyła. Zaskoczył mnie natomiast i naprawdę wzruszył nowy film o kocie w butach z uniwersum Shrek. „Kot w Butach: Ostatnie życzenie” to jazda bez trzymanki, trochę w anarchicznym duchu „Madagaskaru 3”; w dodatku jazda z niegłupim i całkiem poważnym przesłaniem. Więc ten akurat film ma mój głos, mojego prywatnego Oscara.

Byłoby jednak inaczej, gdyby Akademia dostrzegła „Szczęście Mikołajka”. Tymczasem najlepszego filmu animowanego roku 2022 o dziwo nie ma w ogóle wśród nominowanych tytułów. Trafił niedawno do polskich kin, sami więc możecie sprawdzić, jak niezwykle jest to dokonanie. Film stanowi jednocześnie adaptację zabawnych opowiadań o Mikołajku, historię powstania bohatera i otaczającej go ferajny oraz opowieść o przyjaźni Sempého i Goscinnego – twórców tego kulturowego, eksportowe-

go fenomenu, na którym wychowało się kilka pokoleń dzieci.

NAJLEPSZE ZDJĘCIA

W piątce nominowanych wyróżnia się zdecydowanie dwóch twórców. Roger Deakins, ceniony i nagradzany (Oscary za zdjęcia do „1917” i „Blade Runner 2049”), wznosi swym kunsztem na wyżyny film przeciętny, czyli „Imperium światła” Sama Mendesa. Z kolei największym zaskoczeniem jest maestria, z jaką kadry konstruuje Florian Hoffmeister w dramacie „Tar”. Jak wymierzyć, kto zasługuje bardziej? Jako że Deakinsa już nagradzano, przyznam mojego Oscara za zdjęcia Hoffmeisterowi, który właśnie wkracza na nowy poziom: dotąd był sprawnym rzemieślnikiem w kinie gatunków (od horroru i SF do komedii), teraz stał się artystą.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Chyba najslabiej obsadzona w tym roku kategoria. Dokonania niezłe, ale nie wybitne. Czyli: Jamie Lee Curtis i Stephanie Hsu za role we „Wszystko wszędzie naraz”, Hong Chau za „Wieloryba”, Angela Bassett za powtórkę z rozrywki, czyli powrót do roli królowej Ramondy w filmie „Czarna Pantera: Wakanda w moim sercu”. Film nudny i kuriozalny, nawet jak na uniwersum Marvela. Angela Bassett może i najlepsza na planie, ale tylko na zasadzie „wśród ślepców jednooki jest królem”. Mam więc tę nominację za absurdalną, ale przed ceremonią wiewiórki z Hollywood opowiadały, że może ona zamienić się w statuetkę. Ja wyróżniłbym Kerry Condon za występ w „Duchach Inisherin”, ale tylko, gdybym musiał. Bo nikt w tym roku z wymienionej piątki nie wybija się wyraźnie.

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Wśród panów z drugiego planu sytuacja podobna: sporo dobrej solidnej roboty, ale brak fajerwerków. Tutaj „Duchy Inisherin” mają podwójną szansę, bo nominowano zarówno weterana Brendan Gleesona, jak i młodego Barry’ego Keoghana. Oprócz nich Judd Hirsch za rolę w „Fabelmanach” (moim zdaniem na wyrost i raczej za dawne zasługi), Brian Tyree Henry za „Most” oraz

■ Ke Huy Quan za „Wszystko wszędzie naraz”. Ten ostatni to sympatyczny Short Round z filmu „Indiana Jones i Świątynia Zagłady”. Zdążył w minionych dekadach zrobić karierę aktorską, porzucił karierę aktorską, zmienić zainteresowania na producenckie i dwa lata temu powrócić do aktorstwa. Słowo „sympatyczny” jest tu kluczowe – himalajów sztuki aktorskiej nie osiąga, ma za to uśmiech młodego Jackie Chana. Ale to moim zdaniem za mało na Oscara.

Gdybym był członkiem Akademii Filmowej, wahałbym się między Brianem Tyree Henrym (który stworzył w „Moście” ciekawą postać u boku Jennifer Lawrence) a Barrym Keoghanem, który miał trudne zadanie w „Duchach Inisherin” – błysnąć na tle Gleesona i Colina Farrella. Udało mu się, więc pewnie dostałby ode mnie Oscara.

NAJLEPSZA AKTORKA

W tej kategorii wybór mógł być niesłychanie trudny, bo na pięć nominacji dostajemy przynajmniej trzy znaczące kreacje. Za taką mam zarówno rolę Any de Armas jako Marilyn Monroe w „Blondynce”, Michelle Williams w „Fabelmanach”, jak i Michelle Yeoh w „Wszystko wszędzie teraz” (film nie budzi mego entuzjazmu, ale rola Yeoh jest bardzo dobra). Nie trafił jeszcze do Polski film „To Leslie”, w którym za występ chwala jest Andrea Riseborough.

Wszystko to jednak zdaje mi się nieistotne, bo ponad wszystkie te dokonania wzlatuje fenomenalna Cate Blanchett kreacją w filmie „Tar” Todda Fielda. Jest to opowieść wielowarstwowa: o cenie i granicach geniuszu, o pułapkach współczesnej kultury woke, o bezgranicznej miłości do sztuki i bezrefleksyjnym zagubieniu w prywatnym życiu. Opowieść o kimś, kto wydaje się postacią półboską. Cate Blanchett zdołała to oddać, jej Lydia Tar wydaje się istotą nie z tego świata, a zarazem głęboko ludzką. Brawo.

NAJLEPSZY AKTOR

Nie Austin Butler za „Elvisa”, nie Brendan Fraser za „Wieloryba”, nie Colin Farrell w „Duchach Inisherin”. Największe wrażenie wśród panów robią w zestawie nominowanych aktorskich dokonań Bill Nighy w „Living” Olivera Hermanusa oraz młody (27 lat) Paul Mescal w „Aftersun”.

Mam ochotę ponownie obejrzeć „Duchy Inisherin”. To mój Oscar dla najlepszego filmu

Ta ostatnia produkcja to także, według mnie, jeden z tytułów niesłusznie nieobecnych w kategorii „najlepszy film”. Mescal, który zaczynał od sukcesów w teatrze, jest jednym z najbardziej utalentowanych aktorów irlandzkich. A jego rola w debiucie Charlotte Wells jest głęboko poruszająca. Tu pozwolę sobie na chwyt, z którego słynie amerykańska Akademia, kalkuluje czasem, kto już sobie wypracował Oscara długą karierą, a kto ma jeszcze czas. I odpowiem: mojego Oscara wzięłby Bill Nighy, którego cenię od wielu lat. Jeszcze żadnego nie dostał, a nie wiem, czy będzie jeszcze miał szansę. Paul Mescal jeszcze swoje zdąży zgarnąć.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

Dwie nominacje są w tym roku nie na miejscu: dla „Glass Onion” i „Top Gun: Maverick” – to po prostu nie ta liga, za wysokie progi. Adaptacja Remarque’a w „Na Zachodzie bez zmian” też zawodzi, bo powieść o bezsensie wojny zamienia się w przypowieść o cierpieniach dobrych Niemców prześladowanych przez złych Francuzów. Nie oglądałem „Woman Talking”, więc wstrzymam się z oceną. Ale doskonałą robotę wykonał Kazuo Ishiguro w filmie „Living”, przerabiając scenariusz filmu Kurosawy „Ikuro” (1952), który z kolei był inspirowany „Śmiercią Iwana Iljicza” Tołstoja. Ishiguro ma już Nobla. Czemu nie miałby dostać Oscara? Ode mnie otrzymuje. Ale jedna uwaga – wśród nominowanych nie znalazł się Noah Baumbach, który wykonał, moim zdaniem, mistrzowską robotę, adaptując powieść Dona DeLillo. Gdyby był nominowany, to on miałby mój głos.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

Tutaj kłopot, bo zarówno „Tar”, jak i „Duchy Inisherin” to dokonania wybitne („Fabelmanowie” to tytuł mniej godny

uwagi, „Wszystko wszędzie naraz” to rzecz efektowna, ale w istocie miętka, a „W trójkącie” Rubena Ostlunda to politigramota). Po długim namyśle daję swojego Oscara Martinowi McDonaghowi za „Duchy Inisherin”, bo „Tar” docenię w kolejnej kategorii...

NAJLEPSZY REŻYSER

... czyli ogłaszając, że w moim subiektywnym rankingu na statuetkę za reżyserię zasługuje Todd Field. „Tar” to pod tym względem dzieło bezbłędne. Po prostu.

NAJLEPSZY FILM

Wielki tłok w tej kategorii, tłok niepotrzebny. Wielkie widowiska (nowy „Avatar” i „Top Gun”) miesza się z kinem intymnym („Fabelmanowie”, „Women Talking”), ekstrawagancje („Wszystko wszędzie naraz”, „Elvis”) stoją obok dzieł sztuki („Duchy Inisherin”, „Tar”). Myślę, że najlepsze są te dwa ostatnie tytuły. Odważniejszy jest „Tar”. Ale mam ochotę ponownie obejrzeć „Duchy Inisherin”. To mój Oscar dla najlepszego filmu.

ZAGINIENI W AKCJI

Czas na narzekania: grad nominacji (i obawiam się, że także nagród) dla „Wszystko wszędzie teraz” pokazuje, że Akademia dzieciennieje. Tak samo skomentowałbym statuetki dla nowej „Czarnej Pantery”. Bardziej jednak zastanawia mnie brak wśród nominowanych kilku tytułów naprawdę nietuzinkowych. Wielkim pominięciem jest „Podejrzana” Park Chan-wooka (nagroda za najlepszą reżyserię w Cannes). Podobnie „Biały szum” Noaha Baumbacha, który powinien liczyć się w przynajmniej dwóch kategoriach (scenariusz adaptowany i rola Adama Drivera). Emma Thompson zasługiwała na nominację z rolą w „Powodzenia, Leo Grande”. Gdzie są „Zbrodnie przyszłości” Davida Cronenberga – jeden z najmocniejszych i prowokujących filmów 2022 r.? Wśród filmów dokumentalnych szansę dostał przeciętny „Nawalny”, a pominięto imponujący „Moonage Daydream” o Davidzie Bowie.

To była moja lista zachwytów i sarkauzów; szanowni czytelnicy znają już werdykt Akademii Filmowej, więc mogą pracować nad własną. A ja wracam do kina. Najlepsze filmy 2023 r. same się nie obejrzą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Program autorski dziennikarza śledczego Piotra Nisztor.
W każdym odcinku redaktor rozmawia z zaproszonymi gośćmi – ekspertami ze świata polityki, obronności, sportu czy publicystyki. Dementuje fakenewsy, tropi nieścisłości. To, co dla większości jest „ściśle tajne” – w „Rozmowie ściśle jawnej” zostaje odtajnione.



rozmowa ściśle jawna

piątek
19:25

zaprasza **Piotr Nisztor**



RepublikaTV



@RepublikaTV

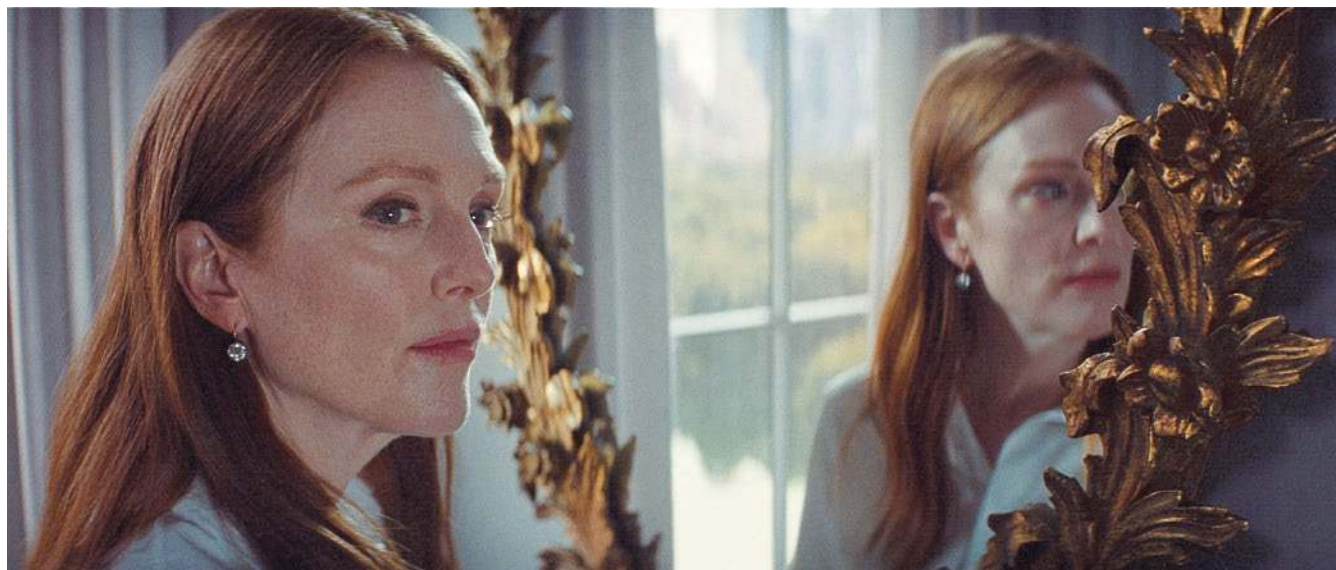


Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Parada oszustów



★★★★★
REŻ. BENJAMIN CARON
„OSZUSTWO” („SHARPER”)
USA 2023

wyst. Julianne Moore, Sebastian Stan, John Lithgow

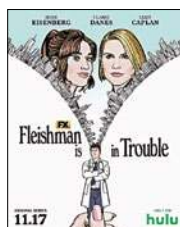
Nie da się oszukać uczciwego człowieka – naucza Max, specjalista od grubych przekrętów. „Nie żałuj ofiary” – dodaje, przysposabiając do nowego życia młodą dziewczynę pogrążoną w kłopotach. Max wyrwie Sandy ze szponów odpychającej pracowniczki opieki społecznej, oderwie od narkotyków, dokształci (Tołstojem, Dickensem i prasą finansową), zamieniając Kopciuszką w pewnego siebie, bezlitosnego drapieżnika. Klucz do udanych oszustw to pewność siebie, doskonałe przygotowanie, a także – kiedy trzeba – elastyczność i umiejętność improwizacji. Trzeba więc o wszystkim wiedzieć mniej więcej tyle, by bez problemu wpasować się w dowolną rolę i społeczny kontekst. Pobieżna

znajomość literatury (najlepiej po znanych cytatach) mocno ułatwi sprawę.

Film Benjamin Carona przywołuje na myśl klasyki kina kryminalnego, od „Żądła” George’a Roya Hilla do „Domu gry” Davida Mameta. Wiele zawdzięcza przede wszystkim temu ostatniemu, choć Mamet nie ograniczył się do pokazania na ekranie genialnego przekrętu, bardziej interesowało go to, skąd w ludziach bierze się skłonność do przekraczania granic strefy komfortu, wielka ochota na igranie z ciemnością. U Carona historia jest prostsza – winą bogacza jest fakt, że jest bogaczem (strzeżcie się, właściciele funduszy hedgingowych!). Poza scenariuszem kryjącym wielopiętrową pułapkę (i pułapki w pułapce) najciekawszy jest tu rytm opowie-

ści, całą intrygę poznajemy w serii ok. 20-minutowych epizodów, koncentrujących się na poczynaniach poszczególnych osób dramatu.

Choć reżyser znany jest głównie z dokonań telewizyjnych (epizody „The Crown”, „Sherlocka”, „Andora” czy „Wallandera”), to w „Oszustwie” zamówionym przez Apple TV+ tego nie widać, warstwa wizualna filmu i narracja bardziej przywołują na myśl wspomnianego Mameta czy dokonania Paula Schradera. Tego pierwszego interesowała psychologia, tego drugiego – moralitet. W porównaniu jest więc dzieło Carona raczej puste – bardzo zgrabna zabawa dla przyjemności zabawy. Jednak nakręcone jest to wyśmienicie, z ciekawą aktorską obsadą, w której wyróżniają się nie najbardziej znani (Moore i Lithgow), lecz najmłodszy – Brianna Middleton jako Sandy i Justice Smith jako Tom. Ostatecznie obiektem krytyki nie jest bogactwo, lecz chciwość, a podziwu – prawdziwa miłość. Oby zawsze wygrywała z chciwością. ©©



NOWE SERIALE: „ROZTERKI FLEISHMANA”

Serial na podstawie powieści Taffy Brodeser-Akner, która sama przygotowała wersję telewizyjną. Produkcja kanału FX trafia do Polski za pośrednictwem serwisu Disney+. Książka ukazała się u nas jako „Pan i pani Fleishman”. Trochę satyra, trochę dramat – rozwiedzionemu Tobiemu (dobra rola

Jessego Eisenberga”) świat zdaje się leżeć u stóp. Może umawiać się na randki, może budować nowe życie, tyle że... nie potrafi przestać myśleć o byłej żonie, a i dzieci domagają się uwagi. ©©

Piotr Gociek
 • miniserial „Rozterki Fleishmana” („Fleishman Is in Trouble”), USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Cień i kość” („Shadow and Bone”), USA 2023
- reż. Matt Ruskin „The Boston Strangler”, USA 2023
- comedy special „Marlon Wayans: Bóg mnie kocha” („Marlon Wayans: God Loves Me”), USA 2023



Inna Sissy

KINO

Chcieliście, to macie. Cesarzowa Elżbieta wróciła. Protoplastka błękitnokrwistych celebrytów, obnoszących się ze swoim nieprzystosowaniem, wymuszających na otoczeniu uwielbienie oraz współczucie. Rozkapryszona neurasteniczka miota się w złotej klatce, ignorując to, że nie jest w niej sama. Cały austriacki dwór, Wiedeń, Europa, mężczyźni i kobiety – wszyscy są więźniami konwenansów. Wciskają się w gorset, nim stawia czoła światu. Franciszek Józef, który poważnie traktował obowiązki głowy państwa, robi tutaj za przyziemnego obłudnika z fałszywymi bokobrodami, cichego terrorystę odmawiającego żonie prawa wtrącania się do polityki. Związek jest w stanie

rozkładu, lecz rozwód nie wchodzi w grę. Dzieci trzymają stronę ojca.

Sissy, ikona mody, obsesyjnie dba o kondycję i figurę, boi się nadchodzącej starości, ma słabość do blichtru i kocha zwierzęta (jak wszyscy, którzy nie lubią ludzi). Osaczona przez patriariat traci kolejne punkty oparcia. Finał zaskoczy tych, którzy znają biografię cesarzowej, lecz tak właśnie powinna zakończyć jej historia – nieprzypadkową śmiercią z ręki włoskiego anarchisty. Okazuje się, że nawet feministka może nakręcić film stylowy, zabawny i dający do myślenia, choć walka z landrynkowym wizerunkiem Elżbiety jest skazana na porażkę. „Ten czar nigdy nie minie”. © ©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. MARIE KREUTZER
„W GORSECIE” („CORSAGE”)
AUSTRIA/NIEMCY/FRANCJA 2022

wyst. Vicky Krieps, Florian Teichtmeister, Katharina Lorenz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „WILD HEARTS”

Dawno, dawno temu, w przypominającej feudalną Japonię krainie Azuma, ludzie i wielkie bestie Kemono żyły w idealnej harmonii. To już przeszłość. Jakiś czas temu bestie zaczęły być coraz bardziej agresywne, a dziś sięją prawdziwe spustoszenie.

I tu wkracza gracz w roli jednego z bohaterów, którzy posługując się prastarą technologią Karakuri, są jedyną nadzieją na przywrócenie ładu i porządku. Naciągane? No pewnie, ale tu – podobnie jak w serii „Monster Hunter”, do której trudno tej gry

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



nie porównywać – chodzi o walkę. Tytuł dla fanów wymagających strać i... grindu. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** akcji, TPP
• **Platforma:** XSX, PS5, PC
• **Producent, dystrybutor:** Koei Tecmo; Electronic Arts

W MIEŚCIE NUDA

► NINATEKA



★★★★★
REŻ. CZESŁAW PETELSKI
„BAZA LUDZI UMARŁYCH”
POLSKA 1958

Niewiele zabrakło, by Emil Karewicz świętował dzisiaj setne urodziny. Szkoda, że do historii przejdzie jako esesman Brunner i Jagiello spod Grunwaldu, bo miał na koncie więcej wyrazistych kreacji. Jedną z nich można podziwiać w „Bazie ludzi umarłych”. Aktor rodem z Wilna gra tu warszawiaka, twardego odpornego na wdzięki femme fatale, próbującego rozbić kolektyw kierowców desperatów, od których umiejętności zależy sukces gospodarki leśnej Polski Ludowej. Scenarzysta Marek Hłasko popełnił apoteozę męskiej przyjaźni, cementowanej wódką, pokerem i miłością do samochodów (nawet jeśli są zdezelowane ciężarówki). Sudety udają Bieszczady, by z ekranu mogła paść informacja, że „znowu banderowcy spalili jakąś wieś”. A jednak dzięki Karewiczowi i spółce tudzież zdjęciom Kurta Weбера ów noir w socrealistycznym opakowaniu wciąż nadaje się do konsumpcji. Tylko młody Łomnicki jest jakiś nie w sosie. © ©

wyst. Zygmunt Kęstowicz, Leon Niemczyk, Teresa Iżewska

MOMENTY BYŁY

KINO



★★★★★
REŻ. DAWID GRAL
„POKOLENIE IKEA”
POLSKA 2023

Warszawski korpuludek nie ma czasu na życie uczuciowe. Zalicza więc chętne panie, dorabiając do tych podbojów ideologię seksualnej rewolucji. Stać go również na inne fanaberie: słucha muzyki z winyli, pichci posiłki, kontempluje nadwiślański Manhattan z balkonu kawalerki albo gna przez miasto ponad 200 km/h. Do czasu, gdy szczęście się od Piotra hedonisty odwróci. W kategoriach warsztatowych reżyser debiutant nie dał plamy. Mógł jednak znaleźć lepiej rokujący materiał niż blog, który wywołał szum, ale dobre kilkanaście lat temu. Próbie ponownego zmonetyzowania zwietrzałego skandalu (wersja książkowa rozeszła się w sporym nakładzie) nie wróży sukcesu. Trzeba było, wzorem Anglosasów, najpierw poświntuszyć, a potem prosić o azyl w królestwie romantycznej komedii zamiast w księstwie psychodramy. Michalina Olszańska w ubraniu? Toż to szczyt perwersji. © ©

wyst. Bartosz Gelner, Michalina Olszańska, Paweł Małaszyński

Wiesław Chelminiak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Czas nas uczy pogody

W „Osiemdziesiąt plus minus” o swoim życiu opowiedział, w pewien sposób podsumowując je, Tomasz Łubieński, wnuk hrabiego Tadeusza Łubieńskiego, syn Konstantego Łubieńskiego, w PRL katolickiego pośła, prozaik, eseista, dramaturg, tłumacz.

W latach okupacji bawił się ołowianymi żołnierzami, zapamiętał też przyjaźnie uśmiechających się Niemców, którzy chcieli go poczęstować cukierkami, ale – jak wspomina – kuzynka Terenia, kilka lat starsza, odciągała go, nie bardzo wiedział dlaczego. Sowietów też byli sympatyczni, „żołnierze radzieccy wieczorami śpiewali i grali na harmonii, a ja, na mundurowych kolanach, słuchałem ich z wielką przyjemnością”. Urodził się w roku 1938, co wiele tłumaczy, choć chyba nie wszystko. Tak czy inaczej w ostatnim zdaniu książki życie wszystkim szczęśliwego dzieciństwa, młodości górnej, owocnej dojrzałości i wreszcie łagodnej starości. Czyli tego, co stało się jego udziałem, na co mimo wszechobecnej w „Osiemdziesiąt plus minus” ironii przedstawił stosowną, nawet ilustrowaną dokumentację.

W swoim twórczym życiu pozował na outsidera, jakoś tak się jednak złożyło, że mimochodem kierował Oddziałem Warszawskim Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, przez wiele lat był naczelnym „Nowych Książek”, wykazywał się w Polskim PEN Clubie, robił jeszcze wiele innych rzeczy, no ale przede wszystkim pisał. Naturalnie, jak utrzymuje, też od niechęci, ale bywało – ciekawie, a nawet – jak to się stało po publikacji „Bić się czy nie bić?” (1976) – wywołując szerszą debatę publiczną. Osobiście podobały mi się też jego „Norwid wraca do Paryża” (1989) i „M jak

Mickiewicz” (1999), a ze zgoła innych powodów „Wszystko w rodzinie” (2004), w której to książce opowiedział o tym, jak swego czasu wraz z poślubioną żoną w posagu otrzymał szwagra, donosiciela KGB – historia miała bowiem aspekt międzynarodowy.

Odnosiłem jednak wrażenie, że autorowi „Osiemdziesiąt plus minus” szczególnie zależało na pisaniu dla teatru, co czynił uparcie, acz bez większego powodzenia. Właściwie jedynie „Koczowisko” wbiło mi się bardziej w pamięć, tak że bez zbytniego entuzjazmu przedzieram się teraz przez opisy kolejnych przedstawień, z czego najbardziej interesujące wydały mi się zakulisowe anegdoty. Zwracam też czytelnikom uwagę na strony poświęcone Ignacemu Gogolewskiemu, może ostatniemu wielkiemu aktorowi polskiej sceny. Tej, gdzie stołecznym teatrom nie dyrektorowały jeszcze indywidua w rodzaju Moniki Strzępki, a we wrocławskim Teatrze Polskim Konrad nie siusiał na scenie. Choć i ja, podobnie jak Łubieński będąc w celi Konrada w Wilnie, stwierdziłem, że rzeczywiście było tam chłodno.

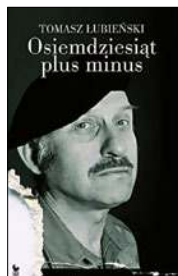
Na temat tatenniczych wycieczek Tomasza Łubieńskiego w ogóle zamilczę, informując tylko, że góry w tej wspomnieniowej książce odgrywają doniosłą rolę i komu są one drogie, ten będzie usatysfakcjonowany lekturą. Zdecydowanie za to ucieszyło mnie, że autor wydobył z otchłani niepamięci kogoś takiego jak Ryszard Zengel, swego czasu ważny, a dziś kompletnie nieznany poeta.

Od polityki Łubieński, jeśli mu wierzyć, zawsze starał się dystansować, co do końca mu się nie udało. I tak 13 grudnia 1981 r. został nawet internowany, na krótko wprawdzie, ale zawsze wystarcza-

jaco do tego, by po latach bardzo plastycznie przedstawić scenę, w której komendant Białoleki popija wódkę ze służbowych kieliszków z internowanym Maciejem Zembą, wprowadzającym go w nastrój dźwiękami gitary i śpiewem „Murki Odesitki”.

Ukończył autor żoliborskie Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Limanowskiego, popularną „jedynekę”, podówczas TPD-owską, co dziś nie mówi niczego, a wtedy mówiło wszystko. „Etos szkoły – czytamy – obejmował również wiarę, że »idzie przez świat wyrozumiałość, ciętaczna siostra tolerancji«, jak śpiewał później Jacek Kleyff”. Jest to równie prawdziwe jak twierdzenie, że WSM-owski Żoliborz był „tradycyjnie lewicowy i inteligentki”. Ta dzielnica to nie był wyłącznie WSM, a rodziny, w których chodziło się do kościoła, szkoły firmowane przez Towarzystwo Przyjaciół Dzieci omijały szerokim łukiem. W tej sytuacji pisanie przez nastoletniego Tomka na wewnętrznej stronie okładki każdego zeszytu „W imię Boże” nie mogło być – jak się okazuje – tolerowane przez „jedynekowych” nauczycieli, owych mistrzów tolerancji z komunistycznego nadania. Ale o tym, jak pobyt w tej szkole musiał być dla niego ważny, świadczy to, że dominantą jednego z ostatnich rozdziałów książki jest, po prostu, lista klasowa, spis nazwisk licealnych koleżanek i kolegów autora.

Z wyraźną nostalgią – bo jakżeby inaczej – snuje Tomasz Łubieński te wspomnienia z młodości, ale zastanawia się też głęboko nad swoją obecną kondycją, dochodząc do jakże zasadnego i słusznego wniosku, że już nikogo nie dogoni i przed nikim nie ucieknie. ©©



★★★★★
**TOMASZ
ŁUBIEŃSKI**
**„OSIEMDZIESIĄT
PLUS MINUS”**
ISKRY,
WARSZAWA 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Starał się

Nie cierpię ludzi, którym jakoś nie wyszło” – pisał w jednym ze wczesnych wierszy Podsiadło. Nie chodziło tu o jakąś szczególną wrogość do outsiderów (sam nim był), ale o słowo „jakoś”. Ci, którzy zwykli mawiać zrezygnowanym tonem: „A, jakoś tak nie wyszło”, wini są ciężkiego grzechu: nie starali się. Marnowali to, co od losu dostali.

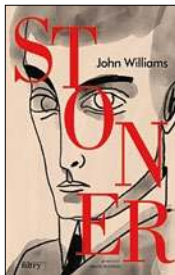
Czy Williamowi Stonerowi wyszło czy nie wyszło? Bohater powieści Johna Williama (przemilczanej w latach 60., odkrytej ponownie kilka dekad później) sam wydzwiga się z biedy. Najpierw studiuje, ciężko jednocześnie pracując za wikt i opierunek, potem zdradza sen ojca i zamiast agronomem zostaje uniwersyteckim badaczem literatury. Literatura to bowiem okrutna i zaborcza pani; na kogo raz zagnie parol, tego już ze swoich objęć nie wypuści.

Dzieje życia Stonera, pisane krytycznie czystym, chłodnym stylem, są kroniką zwykłego życia, które mogłoby być... No właśnie: inne, pełniejsze, lepsze? Ale co decyduje o tym, że życie jest lepsze? To, co po sobie zostawimy? „Gdy Stoner umarł, koledzy z pracy, żeby uczcić jego

pamięć, podarowali średniowieczny manuskrypt biblioteczny uczelnianej” – pisze Williams. Manuskrypt z inskrypcją „pamięci doktora Williama Stonera z Instytutu Anglistyki. Kole-dzy”. Ot, wszystko.

Nie jest to jednak powieść o człowieku bez właściwości, targanym bezwzględnie przez wichry historii. Stoner kocha, nosi w sobie nadzieję, zmagając się z rozczarowaniem, jak każdy z nas. Są w jego życiu żona i córka, jest w pewnym momencie i kochanka. Wyborów dokonuje sam, choć często nie są nadmierne śmiałe. Jego historia to dzieje kogoś, kto z raczej stoickim spokojem przyjmuje wyzwania losu: jest, jak jest, trzeba się z tym pogodzić i próbować jakoś żyć. W tym przypadku słowo „jakoś” jest synonimem zwykłego, codziennego trudu, a nie zaniechań. Wskazywali niektórzy krytycy na ton jak

z książek Alberta Camusa: tak, bohater Williama nie poddaje się, choć do końca nie wiemy w imię czego. On pewnie też tego nie wie. Trzeba żyć. Na jego nagrobku można wykuć napis znany z jednej z powieści Vonneguta: „Urodził się pewnego dnia, umarł pewnego dnia. Starał się”. ©©



★★★★★
JOHN WILLIAMS
„STONER”
WYDAWNICTWO
FILTRY 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zbiór esejów geniusza węgierskiej literatury. Objęty zakazem druku po wojnie, wiodący żywot pracownika fizycznego pozostawił po sobie wspaniałą imponującą spuściznę. Oto jej fragment.



BÉLA HAMVAS
„KSIĘGA GAJU
OLIWNEGO”
WYDAWNICTWO
PRÓBY

Gruziński historyk proponuje szersze spojrzenie: historia globalna, czyli jak epoka zmagania i ambicji Bonapartego zamieniła się także w rywalizację mocarstw na innych kontynentach.



ALEXANDER
MIKABERIDZE
„WOJNY
NAPEOLEŃSKIE”,
T. 1
REBIS

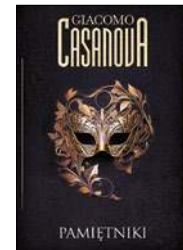
Rękopisy, drzeworyty, pocztówki, wizerunki świętych i duchownych – imponujący i pięknie ilustrowany zbiór poloników z Państwowego Muzeum Historii Religii w Petersburgu.



TOMASZ
JAKUBOWSKI
„POLONIKA
W KOLEKCJI PMHR
W PETERSBURGU”
INSTYTUT
POLONIKA

O pamięć o sobie zadbał sam – legendzie Casanovy najlepiej przysłużyły się wspomnienia, które napisał u kresu życia, a które, jak deklaruje, ocaliły go przed szaleństwem. Barwne dokumenty życia w XVIII w.

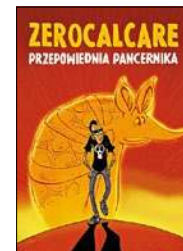
recenzuje Piotr Gociek



GIACOMO
CASANOVA
„PAMIĘTNIKI”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „PRZEPowiednia PANCERNIKA”

Jeden z największych przebojów włoskiego komiksu, dzieło rysownika i scenarzysty Michele Recha kryjącego się pod pseudonimem Zerocalcare. Wiadomość o śmierci dziewczyny, którą za młodu kochał na zabój, staje się okazją do nostalgicznej i zabawnej, nieco surrealistycznej opowieści



ZEROCALCARE
„PRZEPowiednia
PANCERNIKA”
WYDAWNICTWO
MANDIOCA 2023

o dojrzywaniu i przemijaniu. A zarazem pokoleniową spowiedzią generacji wchodzącej w życie w latach 90. XX w.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Pozdrowienia ze Lwowa

Dotychczas w tej rubryce nie opuszczałem granic Polski, ale dziś zrobię wyjątek. Po pierwsze dlatego, że do Wilna nie jest znowu aż tak daleko – z Warszawy pojedziemy trochę dłużej niż np. w głębokie Bieszczady. Po drugie, bo wystawa ta łączy dwa jakże polskie, mimo że nieleżące w granicach RP, miasta.

„Lwów pozdrawia Wilno. Arcydzieła malarstwa europejskiego z Narodowej Galerii Sztuki im. Borysa Woźnickiego we Lwowie” to

wystawa z okazji 700-lecia Wilna. Do Pałacu Wielkich Książąt Litewskich przyjechały 33 malarskie arcydzieła z Narodowej Galerii Sztuki im. Borysa Woźnickiego we Lwowie. Te „pozdrowienia” ze Lwowa są z jednej strony ukłonem w kierunku Wilna, z drugiej – sposobem na ochronę cennych płócien mistrzów włoskich, niemieckich, flamandzkich, hiszpańskich, austriackich i polskich z XV–XX w. „W czasach pokoju, kiedy dziedzictwo kulturowe nie jest zagrożone przez nikogo, taka kolekcja nie byłaby wywieziona ze Lwowa, ponieważ sale muzeów pozostałyby w połowie puste” – czytamy w komunikacie prasowym. ©©

GDZIE? Wilno, Pałac Wielkich Książąt Litewskich
KIEDY? do 28 maja



FOT. PAŁAC WIELKICH KSIĄŻĄT LITEWSKICH W WILNIE



FOT. MUZEUM PÓŁNOCNO-MAZOWIECKIE W ŁOMŻY

PORA NA JAĆWINGÓW

Ostatnio o nich jakby głośniej. Powstała książka fantasy „Narodziny Królowej Jaćwingów”, jest i wystawa rozwijająca nieco mgłą tajemnicy wokół tego ludu zamieszkującego m.in. dzisiejszą Suwalszczyznę. „Do tej pory wiedzieliśmy na ich temat tyle, ile napisał krzyżacki kronikarz Piotr z Dusburga – piszą organizatorzy. – Wystawa odsłania (sensacyjne wręcz) okoliczności odkrycia jaćwieskiego cmentarzyska”. ©©

GDZIE? Łomża, Muzeum Północno-Mazowieckie
KIEDY? do 7 maja

NA SŁUCH

V.S.O.P.



GRZEGORZ BRZozowicz

Album „Burnin’” jest jedną z najbardziej czczonych przez miłośników bluesa pozycji w katalogu Johna Lee Hookera. Amerykanin po raz pierwszy wszedł do studia z zespołem elektrycznym i sekcją dętą. Wcześniej akompaniował sobie na gitarze i przytupywał nogą lub występował w duetach, z drugim gitarzystą lub harmonijkarzem.

„Burnin’” został nagrany w ciągu jednego dnia w listopadzie 1961 r. w Chicago. W Ameryce płyta przeszła, jak większość nagrań czarnoskórych bluesmanów, bez echa. Natomiast w Anglii miała bezpośredni wpływ na wybuch brytyjskiej sceny bluesowej. Animalsi mieli przebój z utworem „Boom Boom”, który stał się standardem.

Jednenaście lat temu piosenka pojawiła się w wersji Hookera w filmie „Skyfall” o przygodach Jamesa Bonda.

Zrekonstruowane z taśmy matki nagrania brzmią rewelacyjnie. Siła piosenek Hookera polegała na połączeniu chicagowskiego „walkling” bluesa z nowoorleańskim boogie. Dawało to taneczną mieszankę, czego najlepszym przykładem jest zamykający całość „What Do You Say?” łączący jump bluesa i rock’n’rolla. Nie przypadkiem kompozycje Johna Lee Hookera miały w swoim repertuarze grupy The Yardbirds, Canned Heat czy Jimi Hendrix.

Jubileuszowa wersja „Burnin’” zawiera album w wersji stereo i mono oraz nagrania demo. ©©



★★★★★
JOHN LEE HOOKER
„BURNIN’” [60TH ANNIVERSARY]
CRAFT



★★★★★
GODSMACK
„LIGHTING UP THE SKY”
BMG

Ośmy studyjny album hardrockowej formacji. „Album opowiada historię życiowej podróży pewnego człowieka” – mówi lider Sully Erna. Muzycznie bez zmian. Ponoć to ostatnia płyta studyjna bostończyków, którzy sprzedali dotąd 20 mln albumów.



★★★★★
YO LA TENGO
„THIS STUPID WORLD”
MATADOR

Na amerykańskiej scenie niezależnej działają od czterech dekad. Jednak dopiero 19. album grupy w pełni mnie przekonuje. To chłodno-leśniwe jamowanie ma hipnotyczny klimat. Beznamiętny wokół, rzeżąca gitara, twardy bas, dudniące bębny, a mimo to trudno oderwać się od tej muzyki.



Krzysztof Masłowski

W „M jak miłość” porzucony przez żonę emerytowany ordynator Argasiński i – jak przystało na chwackiego 75-latkę, bo tyle lat ma aktor grający tę rolę – zabrał się do młodszego modelu, pozytywnie odpowiadając na awanse pielęgniarki Laury, odtwarzanej przez 29-latkę. W tym samym serialu obiektem westchnień wszystkich mężczyzn jest najbardziej znana z reklamy Positivum Małgorzata Pieńkowska, rzeczywiście urodziwa, do tego zaledwie 57-letnia, a to w telewizyjnych tasiemcach wiek zgoła juniorski. W takim „Klanie” np. ci, którym nie stuknęła siedemdziesiątka, robią za niepełnoletnich. Dlatego też w kobietach przebiera tam Krzysztof Tyniec (67 lat), którego jako czołowego amanta Rzeczypospolitej obsadzono również w „M jak miłość”, gdzie musi sprostać nienasyconemu apetytowi seksualnemu softys Kisielowej (72 lata). Odgonić mu się od niej trudno, bo to jego serialowa małżonka.

Wbrew pozorom wszystko to nie jest wcale śmieszne. Wprawdzie śpiewa się, na ludową nutę, o tym, że „umarł Maciej, umarł i leży na desce / gdyby mu zagrali, podskoczyłby jeszcze”, ale już prześmiewca Boy był zgoła innego zdania, oznajmiając z żalem: „Umarł Maciek, umarł i już się nie rucha / choćby go najtęższa wabiła dziewczucha”. Biorąc to pod uwagę, zalecałbym ostrożność w, nomen omen, pogłębianiu męsko-damskich relacji, bo trzeba pamiętać o zdrowiu, a ono – jak powszechnie wiadomo – jest najważniejsze. I tu – przynajmniej – podziękować



W „M jak miłość” obiektem westchnień wszystkich mężczyzn jest najbardziej znana z reklamy Positivum Małgorzata Pieńkowska FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pochwała starości

należy telewizji, która dobrze wiedząc, co jest nam potrzebne najbardziej, co chwilę przypomina o lekarstwach, a to na zaburzenia erekcji, a to na zapalenie pochwy, to znów na nietrzymanie moczu. Reklama tych ostatnich spowodowała jednak, że od pewnego czasu posiłki jadam w sypialni, gdzie nie mam telewizora, bowiem co tylko nabierałem łyżkę strawy, pokazywał mi się na szklanym ekranie facet i prezentował swoje krocze wypchane wkładką Tena Men, podobno znakomicie chroniącą właśnie przed nietrzymaniem moczu – kropelkowym i lekkim. Zapewne tak, ponieważ jednak groziło mi ciężkie zapalenie opon mózgowych, zrobiłem, co zrobiłem.

Podobne sytuacje mogą się zdarzać, niemniej z satysfakcją stwierdzam, że aktywna polityka państwa wobec senio-

rów przekłada się na ofertę telewizyjną, w której roi się o programów w rodzaju „Sanatorium miłości” czy „The Voice Senior”, i to na wszystkich antenach, choć palma pierwszeństwa przypada, jakżeby inaczej, telewizji publicznej. Jej osiągnięcia pod tym względem, zwłaszcza w dziedzinie rozrywki, są nadzwyczajne. Na przykład gwiazdami nadawanego codziennie teleturnieju „Jaka to melodia” są ostatnio Danuta Błajczczyk i Krystyna Giżowska, podobnie jak ich estradowy kolega, także niedający o sobie zapomnieć, Andrzej Rybiński – nie liczące godzin ni lat. Na wszelki wypadek usłudze przypomnę, że skądinąd powszechnie lubiany „Ryba” ma tych lat 73. Ale mając w pamięci stosunkowo niedawny benefis Andrzeja Rosiewicza (lat 78), wszystko jeszcze przed nim. O Janie

Pietrzaku (85 lat) rozwodzić się nie będę, bo to instytucja narodowa.

Na tle TVP taki TVN prezentuje się wręcz młodzieńczo. Pierwsza gwiazda rozrywki z ulicy Wiercniczej – Kayah – ma dopiero 55 lat, a w popisowym serialu tej stacji „Na Wspólnej” generalnie grają osoby w wieku produkcyjnym, co samo w sobie mogłoby być wydarzeniem, gdyby nie jakość ich produkcji pozwalająca domniemywać, że przed kamery trafili prosto z pośredniaka. Nie inaczej jest w Polsatowej „Pierwszej miłości”.

Tak czy inaczej, telewizja dba o seniorów. Bo i o kogo ma dbać, skoro małolaty przesuwały się na platformy streamingowe, gdzie durniej do kwadratu, co nie przeszkadza im robić beki z, ich zdaniem, neandertalczyków kurczowo dzierżących w dłoniach piloty i wpatrzonych jak nie w TVP Info, to w TVN24. A tam też licytacja: kto młody, a kto stary. Na Wiercniczej utrzymują, że dajmy na to strasznymsz dziadunim jest 73-letni Jarosław Kaczyński, a obiecującym młodzianem Donald Tusk. Mający wiosen 65, w sam raz na Młodzieżówkę PO. Nic dziwnego, że gołowas Kosiński-Kamysz (lat 41) zapuścił brodę, bo prezentował się całkiem niepoważnie, nie tylko jak na PSL-owskie standardy.

Cóż, od wielu lat ponawiane apele: „Żyjmy dłużej” odniosły skutek, bo rzeczywiście żyjemy dłużej, co może jednak zawdzięczamy innym czynnikom niż propagandowe. Marek Grechuta śpiewał przed laty, że co prawda „piękny jest kraj, gdzie wszystko wszystkim wydaje się najmłodsze”, ale może ważniejsze jest to, że „piękny jest kraj, gdzie wszystko wszystkim wydaje się jeszcze złe”. A piosenka ta nosiła tytuł „Jeszcze pożyjemy”. Oby. ©



Z Ołeksijem Arestowyczem,
byłym doradcą szefa biura
prezydenta Ukrainy
rozmawia Maciej Pieczyński

Nawet atak jądrowy nie złamie Ukraińców

MACIEJ PIECZYŃSKI: W jednym z wywiadów powiedział pan: „Gdyby nie Polska, nie byłoby już nas wśród żywych. Polska uratowała Ukrainę”. Co w zamian może uzyskać Warszawa?

OŁEKSIJ ARESTOWYCZ: Polska powinna wspierać Ukrainę, żeby sama nie stać się Ukrainą. Gdybyśmy przegrali, to Rosja w ciągu pięciu lat stałaby się znacznie potężniejsza niż obecnie. W szeregach armii rosyjskiej znalazłyby się tysiące Ukraińców, zwerbowanych pod przymusem lub po uprzednim wypraniu mózgów. A teraz pytanie: Kto byłby następną ofiarą?

Myśli pan, że Rosja odważyłaby się napaść na kraj NATO?

Nie wiadomo, w jakim nastroju byłaby po podboju Ukrainy. Być może nie doszłoby do pełnowymiarowej inwazji na Polskę. Uderzałaby poprzez cyberatak, presję dyplomatyczną, działania służb specjalnych i propagandy. Groziłaby agresją militarną i już samo to potencjalne zagrożenie mocno by Polskę zaszkodziło. Musielibyście wydawać

coraz więcej na zbrojenia, przestawiać gospodarkę na wojenne tryby...

Putin twierdzi, że Rosjanie i Ukraińcy to jeden naród. Nigdy nie powiedział, że Rosjanie i Polacy to jeden naród. Nie wydaje się, by miał w planach podbój Polski.

Wystarczy, że uznałby Polskę za swoją strefę wpływów. Przypominam, od czego zaczęła się ta wojna. Kreml zażądał, żeby NATO wycofało swoje wojska z państw, które weszły do paktu po 1997 r. W tym z Polski.

A czy Warszawa może odnieść jakieś korzyści gospodarcze ze wspierania Kijowa? Nasze firmy otrzymają kontrakty na odbudowę Ukrainy? Czy może jednak dostaną je Niemcy?

Jeśli jakieś konkurencji powinniście się obawiać, to nie ze strony Niemców, tylko Amerykanów. Ale jestem pewien, że polski biznes otrzyma korzystne kontrakty na Ukrainie. Zbyt bliskie i obiektywnie ważne są relacje Kijowa z Warszawą. Nieprzypadkowo obywatele polscy otrzy-

mali takie same prawa i przywileje jak Ukraińcy w Polsce.

To prawda, ale Polaków jest mniej na Ukrainie niż Ukraińców w Polsce, więc nie jest to aż tak korzystny przywilej.

Po wojnie Polacy będą mogli przyjeżdżać masowo na Ukrainę i tutaj inwestować. Nie widzę innej możliwości odbudowy ukraińskiego przemysłu zbrojeniowego jak tylko we współpracy z Warszawą. Część przedsiębiorstw ze względów bezpieczeństwa mogłaby przenieść się na terytorium Polski. Wierzę też w potencjał sojuszu polsko-ukraińskiego, który zmonopolizowałby tranzyt między Azją a Europą, Morzem Czarnym a Bałtykiem.

Jakiś czas temu publicznie powiedział pan: „Polacy zgodzili się zapomnieć o tzw. rzezi wołyńskiej w imię dobrych relacji z Ukrainą”. Skąd pan to wie? Kto konkretnie i w jakiej formie się zgodził?

Usłyszałem nieoficjalne zapewnienie, że Polska zapomni albo przynajmniej przez jakiś czas przestanie przypominać



– Po 24 lutego pracowałem z Zełenskim po 12 godzin dziennie. Widziałem, jak odkrywa siebie na nowo, jak zyskuje polityczną, symboliczną wagę – mówi Ołeksij Arestowycz (na zdjęciu)

FOT. YEVHEN LIUBIMOV/EAST NEWS

o rzezi wołyńskiej. Brzmiało to mniej więcej tak: „Mamy teraz idealną szansę, aby przestać żyć przeszłością i zacząć myśleć o przyszłości. Przyszłe korzyści z sojuszu są ważniejsze od dawnych krzywd”. To była prywatna rozmowa z przedstawicielami polskich władz, dla tego nie mogę zdradzić szczegółów.

A czy strona polska kiedykolwiek próbowała wpływać na Zełenskiego, żeby przeprosił za rzeź wołyńską albo żeby wykonał jakikolwiek gest wobec Polaków w rocznicę tego wydarzenia?

Nie słyszałem o niczym takim.

Zełenski, jako rosyjskojęzyczny Żyd, nigdy nie był apologetą Bandery i nie musiał oglądać się na nacjonalistyczny elektorat. Może więc wykonałby jakiś gest w sprawie Wołynia, gdyby Polacy o to stanowczo poprosili?

Nie należę już do ekipy Zełenskiego, więc nie mogę wypowiadać się w jego imieniu. Ale gdyby to ode mnie zależało, zaproponowałbym następujące rozwiązanie problemu: wzajemne przeprosiny

za zbrodnie popełnione przez Ukraińców na Polakach i odwrotnie, postawienie pomników tragicznych wydarzeń, a także coroczne uroczystości, podczas których polski prezydent składałby kwiaty na grobach pomordowanych Ukraińców, a ukraiński prezydent – na grobach pomordowanych Polaków.

Ale między nami nie ma symetrii win. Ukraińcy wymordowali o wiele więcej Polaków niż odwrotnie. Rzeź wołyńska została oficjalnie uznana przez Sejm za ludobójstwo. Kijów zgodziłby się na takie postawienie sprawy?

Najpierw należałoby zwołać polsko-ukraińską komisję, której celem byłoby wspólne ustalenie prawdy historycznej. I dopiero na tej podstawie podejmować decyzje polityczne.

Trudno będzie coś wspólnie ustalić, jeśli polscy historycy mówią o planowej akcji antypolskiej i ludobójstwie, a ukraińscy historycy, tacy jak Wołodmyr Wiatrowycz, twierdzą, że Wołyń to tak naprawdę wojna polsko-ukraińska, w której winy

rozłożone są po równo, ze wskazaniem na polską odpowiedzialność.

Wiatrowycz jest dziś politykiem, nie historykiem. Pracuje na niszowy, radykalny elektorat. Takich ludzi nie widziałbym w składzie komisji. Ponadto w jej pracach mogliby pośredniczyć przedstawiciele państw trzecich. Powiedzmy, ustalamy, że zginęło 100 tys. Polaków i tylko 50 tys. Ukraińców. Czy to oznacza, że polski pomnik powinien być dwa razy wyższy od ukraińskiego? To niepoważne. Jeśli naukowcy ustalą, że Ukraińcy są bardziej winni, to ukraiński prezydent może dorzucić parę dodatkowych słów przeprosin do swojego przemówienia.

W tym roku minie 80 lat od zbrodni wołyńskiej. Jest pan w stanie sobie wyobrazić, że Zełenski, za namową Polaków, po prostu przeprosza za tę rzeź?

Nie wiem, ale uważam, że to byłby bardzo mocny i dojrzały krok.

Jak silny jest dziś kult Bandery i Szuchewycza na Ukrainie? Jaka byłaby reakcja, gdyby Polska zażądała od Kijowa potępienia tych postaci?

O Szuchewyczu mało się mówi. Bandera jest symbolem walki z agresją rosyjską. Używamy go do trollowania Rosjan. Nie pamiętam, żeby po wybuchu wojny ktokolwiek na Ukrainie wspominał o Banderze w antypolskim kontekście. Jego kult nie ma na Ukrainie charakteru państwowego. Ludziom nie można zakazać czczenia swoich bohaterów. Ewentualne potępienie Bandery na poziomie państwowym wywołałoby protesty społeczne. Najlepiej, żeby władze nic o nim nie mówiły – ani dobrze, ani źle. A na pytanie o jego ocenę oficjalną odpowiedź powinna brzmieć: „To bardzo złożona postać, poczekajmy na ustalenia historyków”.

Czy dzięki wojnie rosną nowi bohaterowie Ukrainy, którzy mogą zająć miejsce starych?

Osobiście jestem zwolennikiem kultu bohaterów, którzy łączą ponad podziałami. Takich jak Hryhorij Skoworoda [ukraiński XVIII-wieczny filozof i pisarz – przyp. red.], Koroliow (sowiecki konstruktor statków kosmicznych, urodzony na Ukrainie), gen. Żałużny albo ukraiński jeniec, rozstrzelany niedawno przez Rosjan za słowa „sława Ukrainie”. Uważam, że jeśli między narodami jest otwarta rana, to należy ją zamknąć tak, aby obie

strony były zadowolone na tyle, na ile to możliwe. Pełnego porozumienia nie da się osiągnąć. Musi być jakiś kompromis. Myślmy o przyszłości. Na pewno trzeba odebrać argumenty tym, którzy po obu stronach próbują wykorzystywać temat Wołynia politycznie.

A może chociaż Kijów powinien znieść zakaz ekshumacji polskich ofiar Wołynia?

Zdecydowanie. Każdy człowiek zasługuje na godny pochówek. Powinien powstać specjalny instytut zajmujący się ekshumacjami, ustalaniem liczby ofiar zarówno polskich, jak i ukraińskich.

Proponuje pan zmianę nazwy Ukrainy na „Ruś-Ukraina”. Chodzi o to, żeby Kijów symbolicznie odebrał Moskwie prawo do spuścizny po dawnej Rusi Kijowskiej. Za jej jedynego następcę uważa się dziś Rosja, podczas gdy w rzeczywistości z tego dawnego korzenia wyrosły wszystkie trzy wschodniosłowiańskie narody. Pańskim zdaniem władze w Kijowie powinny przekonywać świat, że jedynym spadkobiercą Rusi jest Ukraina, podczas gdy Rosja tak naprawdę jest kontynuacją imperium mongolsko-tatarskiego. Czyli dziką azjatycką despotią, która 24 lutego 2022 r. zrobiła dokładnie to samo, co jej średniowieczni poprzednicy w XIII w. – czyli napadła na Ruś. Po co to wszystko?

Putin, uzasadniając agresję na Ukrainę, mówił praktycznie wyłącznie o historii, o tym, że Ukraińcy są rzekomo częścią narodu rosyjskiego. Nazywając się Rusią, obalamy całą argumentację Kremla. Państwo ukraińskie powstało nie w 1991 r., ale w 988 r., gdy książę ruski Włodzimierz Wielki przyjął chrzest. Spuścizna Rusi Kijowskiej to ogromny kapitał, który może pomóc zjednoczyć naród pod wspólną symboliką. Nazwa „Ruś” kojarzy się z Rosją, więc wpadnie w ucho Ukraińca z południa czy wschodu kraju. Ukraińcy patrioci z Galicji też się nie obrażą, bo w nazwie pozostanie słowo „Ukraina”. Jeśli uda nam się odzyskać miano „Rusi”, odbierzemy w ten sposób Rosji ważną część jej kapitału symbolicznego i pozabawimy ją argumentów, uzasadniających wielkomocarstwowe ambicje.

Wtedy też możecie powiedzieć Rosjanom: „Wasza stolica to Kijów, nie Moskwa. Zostawcie nas w spokoju, a najlepiej to się do nas przyłączcie”. Brzmiałoby trochę jak ukraiński imperializm.

Nie, to raczej walka o pierwotność. Mówimy im tym samym, że to my jesteśmy

prawdziwymi ruskimi [russkij po rosyjsku to zarówno mieszkańiec Rusi, jak i etniczny Rosjanin – przyp. red.] i że nie powinni napadać na kolebkę swojej własnej państwowości. Ponadto trzeba im uświadaczać, że język dawnej Rusi bardziej przypomina współczesny ukraiński niż współczesny rosyjski. A zatem to właśnie ukraiński jest prawdziwie ruski! I to Rosjanie są młodszymi braćmi Ukraińców, nie odwrotnie. Za pomocą takiej argumentacji można przeciągać Rosjan na stronę Kijowa i w ten sposób osłabiać imperializm Moskwy. Zresztą jeśli Rosja kiedyś się rozpadnie, ktoś będzie musiał zarządzać jej europejską częścią... Kto, jeśli nie prawdziwi ruscy?

Współpracuje pan z wieloma rosyjskimi liberałami. Wierzy pan, że kiedyś Rosja stanie się pokojową, prozachodnią demokracją bez ambicji imperialnych?

Osobiście nie wierzę w sukces Rosji liberalnej, ale trzeba dać jej szansę. Zrobił to Joe Biden. Podczas przemówienia w Warszawie zwrócił się do Rosjan, mówiąc, że to nie jest ich wojna, tylko wojna Putina, że Zachód nie uważa całego narodu rosyjskiego za wroga. Podzielał ten pogląd.

Ale większość Rosjan popiera inwazję.

Tak, ale pamiętajmy, że są ogłupieni putinowską propagandą. Trzeba pomóc rosyjskim liberałom przejąć władzę. Jeśli to się nie uda, to trzeba dążyć do rozbioru Rosji.

Jaką widzi pan przyszłość Rosji?

Putin prędzej czy później zostanie obalony w rezultacie przewrotu pałacowego, przeprowadzonego przez siłowników we współpracy z prokremlowskimi liberałami. Rządzić zacznie jakiś kolektywny organ władzy, który całą winę za wojnę zrzuci na Putina. Rosja zacznie negocjacje z Zachodem w sprawie zniesienia sankcji.

Co wtedy z Ukrainą?

Po obaleniu Putina Rosja odda nam Krym.

Mało prawdopodobne. Krym jest zbyt ważny dla Rosjan.

Planujemy odbić Krym drogą militarną. Jeśli jednak Rosja po obaleniu Putina będzie chciała wrócić do normalnych relacji z Zachodem, to będzie musiała oddać półwysep bez walki.

Jest pan przeciwnikiem przymusowej ukraińzacji, zakazywania języka rosyjskiego czy walki z Ukraińską Cerkwią Prawosławną Patriarchatu Moskiewskiego. Ale jak inaczej Kijów ma zwalczać agenturę Kremla?

Język ukraiński jest jedynym językiem państwowym. Ale problem języka rosyjskiego na Ukrainie nie jest kwestią języka, tylko kwestią wolności. Bilingwalność można rozpatrywać jako zaletę. Musimy zapewnić Ukraińcom znajomość języka angielskiego, a na poziomie życia codziennego wszystkim pozostałym pozostawiłbym wolność wyboru. Jeśli zaś chodzi o Cerkiew, to karać należy poszczególnych księży kolaborujących z okupantem. Represje wobec całej Cerkwi tylko zniechęcą tych jej wyznawców, którzy są po naszej stronie.

Były jakieś szanse, żeby uniknąć inwazji? Gdyby Zachód zgodził się na żądania Moskwy z grudnia 2021 r. albo gdyby Ukraina zadeklarowała, że nigdy nie wejdzie do NATO – Rosja i tak by uderzyła?

Wszystko zostało już dawno przesądzone. Decyzja o inwazji zapadła w lipcu 2005 r. Byłem wtedy w Moskwie i rozmawiałem z ludźmi zajmującymi się kierunkiem ukraińskim. Mogę pana zapewnić, że już wtedy byli zdecydowani na wojnę. Już wtedy zaczęli przygotowania do inwazji. A my zachowywaliśmy się jak jedzenie na rosyjskim talerzu. Robiliśmy wszystko, żeby na nas napadli. Trzeba było o wiele poważniej zająć się przygotowaniem sił zbrojnych do obrony. Powinniśmy zbudować taką potęgę militarną, żeby wróg w ogóle nie brał pod uwagę najazdu.

Jakie są pańskie prognozy rozwoju sytuacji na froncie?

Będziemy trzymać front na wschodzie dopóty, dopóki nie wyschnie ziemia na południu. Potem ruszymy z kontrofensywą na Krym i Melitopol. Gdy zaczniemy ostrzeliwać obiekty wojskowe na półwyspie, a cywile zaczną masowo uciekać, ostateczna klęska Rosji stanie się oczywista. Putinowi pozostanie już tylko broń jądrowa. Wątpię, by jej użył, bo przeciwko byłyby Chiny i Indie. Pojedynczy atak jądrowy nic mu nie da, a zmasowany groziłby skażeniem radioaktywnym połowy Europy. Zachód na to nie pozwoli. Amerykanie już zapowiedzieli, że w reakcji na użycie broni atomowej zniszczą całe zgrupowanie wojsk rosyjskich na Ukrainie. To by oznaczało koniec Rosji jako imperium. Dwa miesiące

temu Waszyngton oświadczył, że Krym jest ukraiński. W związku z tym możemy spokojnie planować jego odzyskanie. A gdy już uderzymy na Krym, perłę w koronie Putina, będzie on miał tylko dwa wyjścia: albo pełna deeskalacja, albo pełna eskalacja. Skoro Amerykanie pozwalają nam walczyć o półwysep, to znaczy, że gotowi są na scenariusz eskalacyjny.

Założmy, że ruszacie na Krym, a Putin w odpowiedzi zrzuci bombę atomową na Kijów. I co wtedy?

Zginie 300 tys., może 500 tys. ludzi. Ukraina nie zaprzestanie walki. Będzie kontynuować kontrofensywę. Według sondaży 89 proc. Ukraińców nie zamierza się poddać nawet po ataku jądrowym. Mariupol wygląda jak uderzeniu 10 taktycznych głowic jądrowych. I co – poddaliśmy się z tego powodu?

Polska jest głównym centrum pomocy Ukrainie. Nam też grozi atak jądrowy?

Nierealny scenariusz. Facet, który robi manicure, lifting i przyjmuje gości, siedząc na drugim końcu stołu, nie spali świata w atomowej apokalipsie.

Rozważmy mniej optymistyczne warianty. Bardzo możliwe, że kiedyś trzeba będzie usiąść do rozmów pokojowych i zawrzeć kompromis. Na jakie ustępstwa może sobie pozwolić Zełenski, żeby go potem nie obalił nowy Majdan?

Nikt na Ukrainie nie jest gotowy do jakichkolwiek ustępstw. 89 proc. Ukraińców opowiada się za wyzwoleniem całego terytorium kraju. Tylko 4 proc. jest gotowych potargować się o Krym. Jeśli Zełenski pójdzie na jakiekolwiek ustępstwo terytorialne, to w ciągu 20 minut budynek biura prezydenta zostanie zdemolowany. On zresztą sam nie chce ustępować. Nie po to odmówił ewakuacji w pierwszych dniach inwazji.

Podczas ostatnich wyborów prezydenckich powiedział pan, że „głosować na Zełenskiego mogły tylko po.eby” oraz że „trzeba był skończonym krety-nem, żeby w kraju, który prowadzi wojnę, wybierać człowieka, który mówi, że nie lubi wojny i chce ją zakończyć”. Wiele się zmieniło od tamtego czasu.

Zełenski generalnie woli pokojowe rozwiązania. Chciał dogadać się z Putinem, ponieważ nie rozumiał jego logiki i motywacji. Nie oznacza to jednak, że brakuje mu siły woli i charakteru. Jeszcze jako młody komik popadł w konflikt z Aleksan-

drem Masliakowem [szefem KWN, czyli rosyjskiej ligi kabaretowej, w której Zełenski brał udział – przyp. red.]. Nie chciał grać zgodnie z jego regułami, więc wraz ze swoją ekipą odszedł z cieszącego się ogromną popularnością projektu, jakim był KWN. Wróżyło mu koniec kariery. Ale on wrócił na Ukrainę, założył własny kabaret i odniósł wielki komercyjny sukces, stając się dla KWN poważną konkurencją nawet w samej Rosji. Putin powinien przed decyzją o inwazji przeanalizować tę historię. Wtedy zrozumiałby, że Zełenski się tak łatwo nie podda. Byłem jedną z trzech osób, które w pierwszych dniach

będzie i kiedy będzie, chciałem iść do wojska, ale Andrij Jermak wezwał mnie telefonicznie z powrotem do biura prezydenta. Myślałem, że na Kijów nie uderzą, bo z wojskowego punktu widzenia to nie miało sensu. Żeby zdobyć stolicę, potrzebowali nie mniej niż 100 tys. żołnierzy, a oni zgromadzili na kierunku kijowskim 30–40 tys. Przewidywałem, że ruszą spod Charkowa na Dniepr, żeby otoczyć nasze zgrupowanie w Donbasie. Wtedy byśmy przegrali. Błędem Rosjan było rozproszenie sił i jednoczesne uderzenie w zbyt wielu kierunkach.

Założmy, że ruszacie na Krym, a Putin w odpowiedzi zrzuci bombę atomową na Kijów. I co wtedy?

Zginie 300 tys., może 500 tys. ludzi. Ukraina nie zaprzestanie walki. Będzie kontynuować kontrofensywę. Według sondaży 89 proc. Ukraińców nie zamierza się poddać nawet po ataku jądrowym. Mariupol wygląda jak po uderzeniu 10 taktycznych głowic jądrowych. I co – poddaliśmy się z tego powodu?

wojny proponowały mu ewakuację z Kijowa. Przekonywałem, że powinien rozważyć wyjazd w bardziej bezpieczne miejsce, by stamtąd dalej kierować obro-ną kraju. Usłyszałem wtedy: „Ostatni raz słyszę tę propozycję. Jeśli chce pan ze mną dalej pracować, to proszę nigdy więcej tego tematu nie poruszać”. Po 24 lutego pracowałem z Zełenskim po 12 godzin dziennie. Widziałem, jak odkrywa siebie na nowo, jak zyskuje polityczną, symboliczną wagę. Podejmowałem decyzje z coraz większym przekonaniem. Początkowo jeszcze dużo było w tym gry aktorskiej, ale po pewnym czasie tak się zmęczył, że zaczął po prostu rządzić, bez aktorstwa.

Co pan wie o próbach zamachu na Zełenskiego?

Przychodziły sygnały od służb specjalnych o przygotowaniach do zamachu. Ostatni zaminowany samochód pod budynkiem biura prezydenta znaleziono w maju. Miesiąc po wycofaniu się Rosjan spod Kijowa. Niektóre grupy dywersyjne przyjechały do stolicy już rok przed inwazją.

Jak wspomina pan pierwszy dzień wojny?

Z kilkudniowym wyprzedzeniem dokładnie wiedziałem, że wojna

Ukraińska opozycja zarzuca Zełenskiemu, że zbyt późno zaczął przygotowania do wojny...

Zełenski miał dylemat. Proszę sobie wyobrazić. Ogłaszamy mobilizację. Wybuchają panika, uciekają inwestorzy. Sześć milionów uchodźców wyjeżdża do Europy, a pozostali nie wierzą w wojnę i nazywają nas idiotami. Zmobilizowane wojsko zajmuje pozycje. A Rosja nie napada. Zyskuje też argument na rzecz tezy, że to Ukraina ma agresywne zamiary, bo to przecież Kijów ogłosił pierwszy mobilizację. Wojsko stoi miesiąc w polu, a wojny jak nie było, tak nie ma. Naród śmieje się z Zełenskiego. W końcu źli i zmęczeni czekaniem żołnierze wracają do koszar. I w tym momencie Rosja rozpoczyna inwazję. Zełenski miał więc do wyboru opcję bardzo złą albo bardzo, bardzo złą.

Będzie pan kandydować w wyborach na prezydenta Ukrainy?

Dopóki trwa wojna, dopóty nie chcę odpowiadać na to pytanie. W tej chwili staram się wspierać obecnego prezydenta. A w przyszłości chciałbym, żeby Ukraina stała się krajem prawdziwej wolności gospodarczej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rosjanie uwielbiają narzekać, że cudzoziemcy lubią się wypowiadać na ich temat, a jak twierdzą, „wcale ich nie znają”. Piotr Skwieceński jeszcze rok temu był szefem Instytutu Polskiego w Moskwie. Po wybuchu nowej fazy wojny rosyjsko-ukraińskiej został wydany z Federacji Rosyjskiej w ramach represji dyplomatycznej. Ale wcześniej miał czas, aby poczytać rosyjskich ideologów nacjonalistycznych epoki Putina i spróbować wszystko to pisać. I tak powstała książka „Koniec ruskiego miru? O ideowych myślach rosyjskiej agresji”, którą wydała zaśluzona Krytyka Polityczna.

Skwieceński zaczyna od przypomnienia postaci zapomnianego już niemieckiego filozofa kultury i religii Waltera Schubarta. Ten zachwycił się kulturą rosyjską, a dziś jest idolem rosyjskich nacjonalistów. Często cytuje go ponoć ulubiony filozof patriarchy Cyryla – Siergiej Pierewiezenecw.

Skwieceński cytuje Schubarta: „Przez 1000 lat Rosja jako samodzielna cywilizacja przygotowywała się tylko do jednego, za to najważniejszego czynu: do bitwy z Antychrystem”. Pierewiezenecw dodaje: „Rosja była gotowa nawet sama zginąć, ale ocalić słuszną sprawę i w ten sposób zyskać zmartwychwstanie i wieczne zbawienie. I w tym zawiera się sens istnienia Rosji”. Pierewiezenecw daje do zrozumienia, że to, co robią wojska rosyjskie w Donbasie, to element ostatniej bitwy z Antychrystem. To jest przesłanie tej książki, której cel Skwieceński opisuje tak: „Chciałem zwrócić uwagę na to, na co rzadko ostatnio zwraca się uwagę – na głębsze podstawy, na źródło zachowania rosyjskiego teraz, na intelektualne źródła buty”.

ODWRÓT OD PIOTRA WIELKIEGO

Proces, który dzieje się na naszych oczach od ponad dekady, w opinii Piotra Skwieceńskiego jest kolejnym wcieleniem skłonności rosyjskich myślicieli do odrzucania zachodniego dziedzictwa. Jak pisze autor: „Idzie – ni mniej, ni więcej – o coś, co Rosjanie nazywają odwrótem od Piotra. O zakwestionowanie wyboru Piotra Wielkiego. O cofnięcie Rosji do czasów sprzed jego reform. Oczywiście nie w sensie technologii, tylko ideologii”.

Polacy nie bardzo rozumieją te hasła. Są przekonani, że Rosjanie przyjmując zachodnie wzorce, popełniali świadome polityczne oszustwo mające na celu oszukanie

Zachodu, by przestał widzieć w Rosji obcą, groźną bestię. Rosjanie patrzą na Piotra Wielkiego zupełnie inaczej. Ci, którzy są prozachodni, chwalą go jako władcę, który zmierzył się z rosyjską gnuśnością. Ale ci, którzy zachowują wobec Zachodu głęboką nieufność, krzywią się na Piotra jako na despotycznego władcę zrywającego z niemal tysiącletnim dziedzictwem Rusi. To jest dzisiaj modne spojrzenie, biorąc pod uwagę, że Rosja skłócona z Zachodem zwraca swoje oblicze w kierunku Chin.

Skwieceński w błyskotliwym stylu pokazuje, że Polacy i Rosjanie zupełnie inaczej postrzegają petersburski pomnik Piotra Wielkiego znany jako Miedziany Jeździec. Polacy widzą w statui cara furiata,

inie: „Winni są nasi wrogowie, którzy przez lata narzucali nam zachodni styl myślenia, wygłaszali o tym wykłady i wydawali książki”. Temu ubolewaniu towarzyszy zjadliwa uwaga: „Rosja długo pragnęła wpisać się w Europę, gdzie daleko nie wszyscy byli jej radzi”.

Ale nie wszyscy wśród rosyjskich ideologów putinizmu są tak surowi wobec Piotra Wielkiego. Bo odrzucenie cara rewolucjonisty, choć kuszące z powodu jego antyzachodnich ciągów, jest jednocześnie odrzuceniem tego, co kojarzy się z jego imperium – poczuciem mocy. Jest zerwaniem z pamięcią Rosjan o tym, że imperator pozostawił ich kraj wielokrotnie potężniejszym niż w momencie, kiedy przejął

Pocztówka z zaczarowanej planety



Piotr Semka

„Koniec ruskiego miru” to obowiązkowa lektura dla wszystkich tych, którzy chcą zrozumieć ideologiczne założenia państwa Putina

kogoś, kto rozpusza rumaka do dzikiego cwału, który musi skończyć się upadkiem. Rosjanie zaś zupełnie inaczej interpretują sylwetkę monumentu. W ich oczach imperator z potworną siłą zatrzymuje konia, ciągnąc za uzdę, demonstrując, jak bardzo brutalnie potrafi nad nim zapanować.

To zerwanie z Piotrem jest dziś ulubionym motywem rozważań zagorzałych nacjonalistów i „imperców” (określenie na rosyjskich imperialistów). Do niedawna byli oni w opozycji wobec Putina, ale dziś widzą okazję do trwałego przesunięcia Rosji w kierunku Azji i zdobycia wpływów. Skwieceński opisuje poglądy filozofa z rosyjskiej Akademii Nauk Anatolija Czerniajewa, który tak oto wyjaśnia konieczność przeprowadzenia „specoperacji” na Ukra-

władzę. A te czynniki zawsze są najważniejszym kryterium spośród tych, za których pomocą oceniają oni swoich władców.

Towarzyszy temu coś, co nazwać można rosyjskim fetyszyzmem terytorialnym. Rosjanie uważają za coś oczywistego, że ich państwo musi ciągle przesuwac swoje granice, choć przecież nie jest w stanie zagospodarować sporej części swojego dotychczasowego terytorium. Jak pisze Skwieceński, najważniejsze dla Rosjan jest to, żeby państwo było takie, aby nikt nie zagroził mu teraz, w danym momencie, ale w którym wręcz nie ma możliwości, by ktośkolwiek zagroził mu kiedykolwiek. A tego Piotr Wielki mimo starań nie zapewnił. I dlatego powoli traci na znaczeniu w pantheonie rosyjskich bohaterów.

A kto pojawia się w jego miejsce? Na przykład Aleksander Newski, rosyjski książę z XIII w., który pokornie zginał kark przed wysłannikami Złotej Ordy, ale wyczulony był na zagrożenie z zachodu. Oczywiście co bardziej trzeźwi historycy wskazują po cichu, że jest to jakiś absurd. Bo azjatyccy nadzorcy drenowali Rosję z jej dóbr, utrzymując ją w stanie prymitywizmu, a Krzyżacy, których rozbił Aleksander Newski na lodzie jeziora Pejpus, raz jeden wyruszyli na Rosję, wcale nie planując żadnego podboju. Ich wyprawa na wschód, która zakończyła się klęską, była tylko pojedynczym wybrykiem jednego z komturów.

Dzisiejsza Azja jest tak wspaniała, bo Zachód jest tak bardzo straszny. I dlatego w 2021 r. właśnie Aleksander Newski został wybrany przez władze jako postać, której pomnik ma zostać wzniesiony przed siedzibą Federalnej Służby Bezpieczeństwa na Łubiance, gdzie wcześniej, do 1991 r., stał pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Jak pisze Skwieciński: „Dzierżyński jako twórca Czeki uznawany jest, owszem, za ojca założyciela rosyjskich służb specjalnych i do dziś bywa w nich czczony, ale jednak był internacjonalistą. A Aleksander Newski – a właściwie nie ten realny średniowieczny książę, tylko jego wirtualny wizerunek, wykreowany przez obecną państwową narrację – to prekursor idei zachodnich, a nawet euroazjatyckich. I oto wiadomość z ostatniej chwili: Cerkiew uznała Aleksandra Newskiego za patrona rosyjskiej służby dyplomatycznej”.

Skwieciński w typowym dla siebie beznamiętnym, ale precyzyjnym stylu opisuje rozmaite dziwactwa obecnej polityki historycznej Kremla. W budowaniu panteonu bohaterów podstawową zasadą jest generowanie chwały tych, którzy dbali, by Rosja nie została cywilizacyjnie skolonizowana przez tych, których Putin dziś nazywa „Kolektywnym Zachodem”.

Ilustracją nowych trendów jest Aleja Rządzących Rosją moskiewskiej dzielnicy Kitajgorod. Jest to kilka rzędów popiersi kolejnych wielkich książąt, carów i generalnych sekretarzy partii komunistycznej. Ten „obiekt memorialny” zbudowano pod patronatem wpływowego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego, którego szef Siergiej Naryszkin jest zarazem szefem służby wywiadu Federacji Rosyjskiej. Przy budowaniu tego przedziwnego panteonu konsekwentnie trzymano się zasady

ciągłości i kontynuacji. Są wszyscy – od księcia Ruryka do Borysa Jelcyna. Jak pisze Skwieciński: „Jest Iwan Groźny, którego XIX-wieczni carowie (przecież żadne tam łagodne misie) wstydziło się, uważali za oszalałego zbrodniarza i nie umieścili na zbudowanym wtedy monumentalnym pomniku 1000-lecia Rosji. Tu, w Alei Rządzących, Iwan stoi sobie spokojnie. Wręcz wydaje się szczególnie ceniony przez Towarzystwo Wojskowo-Historyczne, bo oprócz popiersia wśród innych władców ma, jako jedyny, większy, „całościowy” pomnik przy wejściu. Nie Piotr Wielki czy Katarzyna, którzy – cokolwiek by o nich mówić – bardzo wzmocnili Rosję. Nawet nie Stalin. Tylko Groźny, ten, który doprowadził państwo do wielkiej smuty [okresu wewnętrznych walk na przełomie XVI i XVII w. – przyp. P.S.]. Ale smuta nieważna, ważne, że stał się symbolem walki z Zachodem”.

Dlatego Skwieciński nie dziwi się, że obok siebie stoją tu popiersia Mikołaja II, premierów rządu tymczasowego, księcia Lwowa i Kiereńskiego, a dalej stoi Lenin.

TO NIE JEST POWRÓT DO ZSR

Skwieciński wskazuje, że wielu ludzi w Polsce intuicyjnie kojarzy współczesną Rosję i konkretnie Putina z komunizmem. Wynika to oczywiście z przeszłości obecnego niekorowanego władcy kremla. Ale – jak pisze autor książki – „jest to spojrzenie błędne i bardziej prowadzące na poznawcze manowce niż trafne”. Może ono zaowocować tak kuriozalnymi sytuacjami, w której znani polscy publicyści zdumieni są tym, że w kręconych aktualnie filmach o wojnie domowej z lat 1917–1922 bolszewicy przedstawieni są negatywnie.

Sprawa nie jest tak prosta. Bardzo wpływowa dziś w Rosji Cerkiew robi stosunkowo dużo na rzecz upamiętnienia ofiar komunizmu. Duża część tzw. Książki pamięci ofiar represji została stworzona w ramach cerkiewnych poszukiwań świadectw dotyczących tzw. nowomęczenników, czyli prawosławnych, w większości kapłanów, zamordowanych za wiarę. Ale ci, którzy w Rosji dostrzegają recydywę pamięci o komunizmie, nie są bez słuszności. Bo oto ta sama Cerkiew nie jest zbyt chętna do jasnego określania, kim byli



PIOTR SKWIECIŃSKI
„KONIEC RUSKIEGO MIRU? O IDEOWYCH ŹRÓDŁACH ROSYJSKIEJ AGRESJI”
TEOLOGIA POLITYCZNA, WARSZAWA 2022

ich kaci i rozkazodawcy tych katów. Najczęściej określa się te zbrodnie ogólnikowym mianem „działania szatana”, a jeszcze częściej bezpieczną, jeszcze bardziej enigmatyczną i niezwykle rosyjską formułą: „Przyszło na wszystkich nieszczęście”. Studzy Cerkwi traktują bolszewizm jako narodowe nieszczęście, które dotknęło wyłącznie Rosjan. Przy okazji przemilczając zło, które sowiecka Rosja uczyniła innym narodom.

A teraz jeszcze inny łamaniec historiozoficzny. Oto patriarcha Cyryl w swoim nauczaniu łączy, niejako stapia ze sobą,

ofiara nowomęczenników i tych, którzy polegli w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Jak głosi patriarcha Rosji: „To swego rodzaju wspólny czyn i być może bez pierwszego nie byłoby drugiego”. Czyli gdyby nowomęczennicy wyrzekli się wiary, gdyby dołączyli do bluźnierców, to być może narodowi nie wystarczyłoby duchowych sił dla przeciwstawienia się wrogowi w latach 1941–1945. Cyryl wzywa, by dostrzec, że w okresie rewolucyjnym i sowieckim „była nie tylko krew i nie tylko wpływ obcych ośrodków, i nie tylko narzucanie Rosji obcego jej wtedy wzorca życia, ale również dążenie ludzi do sprawiedliwości i solidarności, czego przykładem ma być zbudowana przez komsomolców Bajkałsko-Amurska Magistrała Kolejowa”.

„Koniec ruskiego miru” to obowiązkowa lektura dla wszystkich tych, którzy chcą zrozumieć ideologiczne założenia państwa Putina. Dla polskiego czytelnika to trochę jak zwiedzanie terrarium z dziwnymi i przerażającymi gatunkami pajaków. Ale trzymając się tej metafory, musimy zrozumieć, że większość Rosjan w tych pajakach nie widzi nic strasznego lub też boi się ich na tyle, by o swoim lęku nie mówić na głos. I to jest być może najbardziej przerażająca refleksja po lekturze tego dzieła. Chyba nie będzie przesadą, jeśli książkę „Koniec ruskiego miru” postawimy na półce obok „Listów z Rosji” markiza Astolphe de Custine’a. Francuski podróżnik – jak wierzę – z ogromnym zainteresowaniem przeczytałby książkę Skwiecińskiego o tym, w jakim kierunku podąża Rosja ponad 150 lat od czasu jego wizyty.

Bardzo niepokojące zjawisko pojawiło się ostatnio w polskiej debacie publicznej. Media roją się od oskarżeń o propagowanie antypolskich narracji i sprzyjanie interesom obcych potęg. Zdążyliśmy przywyknąć do tego, że dyskusje w mediach społecznościowych zdominowane zostały przez rozemocjonowanych krzykaczy. Gorzej, kiedy propagowanie „wrogich Polsce narracji” zarzucają swoim krytykom urzędnicy państwowi, czyli osoby zobowiązane do starannego ważenia słów. Trudno nie zauważyć, że zjawisko to przybiera na sile. Jeśli nie postawimy mu tamy, to skutki mogą być dla nas wszystkich fatalne. Opisał je już przed laty Józef Mackiewicz – żarliwy polski patriota i znakomity pisarz.

Rok 2022 obchodzony był jako rok Józefa Mackiewicza. Chciałbym przy tej okazji przypomnieć jedną z jego powieści, dotyczącą wydarzeń, które dla większości Polaków są już raczej nieznane i trudne do zrozumienia. Mowa o dotyczącej pierwszej wojny światowej „Sprawie pułkownika Miasojedowa”. Historia pułkownika Miasojedowa (była to bowiem postać autentyczna) powinna współczesnego czytelnika zainteresować i skłonić do jak najbardziej współczesnych refleksji.

SPRAWA PUŁKOWNIKA MIASOJEDOWA

W roku 1915 pierwsza wojna światowa zaczęła przybierać dla Rosji obrót zdecydowanie niekorzystny. Serię przegranych starć zapoczątkowała stoczona w lutym, w Puszczy Augustowskiej, druga (zimowa) bitwa na jeziorach mazurskich. Pod względem wojskowym była to jedynie dotkliwa porażka carskich wojsk. Dla rosyjskiej opinii publicznej rzecz miała się inaczej. Uznano ją za klęskę dowodzącą katastrofalnego stanu armii. Prasa i zasiadający w Dumie politycy domagali się radykalnych reform.

Armia rosyjska, podobnie jak całe społeczeństwo, znajdowała się w stanie permanentnego konfliktu wewnętrznego. W wojsku ścierały się frakcje (choć słowo sitwy wydaje się tu równie właściwe) ministra wojny gen. Władimira Suchomlinowa i naczelnego wodza księcia Mikołaja Mikołajewicza. Suchomlinow był sybarytą, sprytnym dworakiem

Czemu ruskie onuce nosi „partia niemiecka”?



Dariusz Wieroniejczyk

Czy nabierająca dziś w Polsce rozpędu kampania amatorskiego demaskowania „obcych narracji” nie paraliżuje przypadkiem naszej debaty publicznej?



Generał Władimir Suchomlinow, rosyjski minister wojny FOT. DOMENA PUBLICZNA

i zręcznym łapówkarzem – niczym się więc w swoich kręgach nie wyróżniał. Otaczał się jednak grupą oficerów niekoniernie wysoko urodzonych, natomiast dobrze wykształconych w szkole sztabu generalnego. Z kolei kamaryla księcia Mikołaja Mikołajewicza to sitwa arystokratycznych bufonów, z góry patrzących na robiących karierę wojskową plebejuszy. Obie grupy bezwzględnie walczyły o wpływy, awanse, i obsadę najważniejszych stanowisk. O rezultatach wzajemnych konfliktów i intryg decydował car, osoba niewielu talentów i chwiejnego charakteru. Walka o dostęp do ucha władcy stała się równie zacięta, jak wiele prawdziwych bitew.

W roku 1915 zmorą armii rosyjskiej stały się dotkliwe braki broni i amunicji. Armia carska była do długiej wojny kompletnie nieprzygotowana. Podobne słowa można wprawdzie powiedzieć o wszystkich stronach konfliktu, jednak słabość rosyjskiego przemysłu i kłopoty ze sprowadzeniem zaopatrzenia z zagranicy czyniły kryzys amunicyjny szczególnie dotkliwym. Armia nie miała czym walczyć. Opozycjoni wobec caratu politycy Dumy uznali to za znakomitą okazję do wywalczenia sobie wpływów i władzy.

Liderem zawiązującej się intrygi został wyjątkowo cyniczny osobnik, były przewodniczący Dumy, Aleksandr Guczkow. Awanturnik i łowca przygód, którego rodzina dorobiła się w Moskwie ogromnego majątku, był niewątpliwie osobą barwną. Ambitny intrygant pozbawiony skrupułów, dla osiągnięcia swych celów nie wahał się iść dosłownie – po trupach. Guczkow postanowił pozbyć się niepopularnego ulubieńca cara, ministra Suchomlinowa. Ten nie zamierzał jednak ustępować bez walki.

Guczkow rozpoczął atak kłamliwą, dobrane zorkiestrowaną w prasie kampanią oszczerstw wymierzoną w tytułowego bohatera powieści Józefa Mackiewicza, pułkownika Sergiusza Miasojedowa – zaufanego współpracownika ministra Suchomlinowa. Obaj panowie mieli ze sobą od dawna na pieńku, pojedynkowali się jeszcze przed wojną, w roku 1912. Oskarżenie pułkownika o szpiegostwo na rzecz Niemiec było zabójczym ciosem, wymierzonym pośrednio w jego wysoko postawionego protektora.

Miasojedow z różnych powodów doskonale nadawał się na kozła ofiarnego, na którego zrzucono winę za niepowodzenia na froncie. Historia tej intrygi przypomina rozrywający przed laty Francję proces Dreyfusa, skończyła się jednak gorzej i bardziej krwawo. Sfingowany, toczony naprędce proces odbył się przed sądem specjalnym w Warszawie w marcu 1915 r. Była to, w zgodnej opinii historyków, parodia wymiaru sprawiedliwości. Dowody działalności szpiegowskiej pułkownika były prymitywnym fałszerstwem, o czym doskonale wiedział nawet oskarżający go prokurator. Niewinnego Miasojedowa skazano na śmierć i w wyjątkowo paskudnych okolicznościach powieszono. Na nieszczęsnego oficera zrzucono odpowiedzialność za nieudolność, głupotę i zaniechania najwyższych rosyjskich dowódców. Proces miał też uspokoić wzburzoną kłeskami frontowymi opinię publiczną. Przy okazji jednak uwolniono demony, które okazały się zabójcze dla całego imperium.

Sprawa domniemanego szpiega stała się głośna w Rosji i w Europie, elektryzując czytelników ówczesnej prasy. Śmierć kozła ofiarnego niczego jednak nie zakończyła. Eserowski krzykacz, demagog i wysoko postawiony mason, Aleksander Kiereński, w szeroko kolportowanym publicznie liście szukał już kolejnych ofiar. „W zaciszu Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwarta grupa prawdziwych zdrajców działa cicho i niezawodnie” – pisał. Prasa i opozycjoni wobec dworu politycy wzywali do usunięcia Niemców zatrudnionych w administracji, gospodarce i w przemyśle obronnym. Zaczęto rozpowszechniać wyssane z palca plotki dotyczące carycy Aleksandry, z pochodzenia Niemki, a także jej najbliższego otoczenia. Wszystko to boleśnie uderzyło w autorytet rządu, armii i dworu, czyniąc to w najgorszym dla caratu momencie.

W maju 1915 r. doszło do antyniemieckich pogromów na ulicach Moskwy. Obrabowano i spalono setki sklepów, fabryk i biur, pijany tłum, składający się z „materiału rewolucyjnego” – kryminalistów i lumpów, atakował osoby narodowości niemieckiej. Były liczne ofiary śmiertelne, dziesiątki rannych, poza Niemcami atakowano też przypadkowych obcokrajowców – głównie

Holendrów i Szwedów. Straty poniesione przez obywateli pochodzenia niemieckiego wyniosły ok. 40 mln rubli, kilkuset rosyjskich kupców i przedsiębiorców straciło majątek o podobnej wartości. Kilkudniowa orgia przemocy i rabunków stała się zapowiedzią wydarzeń rewolucji rosyjskiej. Wezwane po kilku dniach wojsko zdołało wprawdzie stłumić zamieszki, ale życie straciło przy tym co najmniej siedmiu żołnierzy, wielu zostało rannych.

Sprawa Miasojedowa i wywołana dla osiągnięcia doraźnych celów politycznych histeria szpiegomanii przyniosła toczącej wojnę Rosji ogromne szkody. Rozkręcający ją w prasie politycy nie zdawali sobie zapewne sprawy, że gołosłownymi oskarżeniami niszczą kruchą tkankę społeczną swojego kraju, polaryzują i tak niebezpiecznie podzielone społeczeństwo i przyuczają je do aktów rewolucyjnego bezprawia. W następnej kolejności oczerniać zaczęto carycę Aleksandrę i całą rodzinę carską, zarzucając jej konszachty z „mrocznymi siłami” – przez co rozumiano Rasputina i otaczających go rzekomo niemieckich agentów. Karuzelle absurdalnych oskarżeń nie dało się już później zatrzymać.

Wysocy dowódcy wojskowi dążyli jedynie do odwrócenia uwagi prasy od własnych zaniedbań i błędów, a zadali ojczyźnie potężny cios. Liberalni politycy zamierzali wymienić ministra wojny (Suchomlinow w czerwcu usunięty został ze stanowiska), a poważnie osłabili autorytet całej władzy państwowej. Szpiegomania i rozliczanie „partii niemieckiej” zdecydowanie nie wyszły Rosji na zdrowie.

AUSTRIACKA SZPIEGOMANIA

Podobne konsekwencje miało polowanie na nielojalnych poddanych u schyłku monarchii Habsburgów. Historia austriackiej szpiegomanii zaskakująco rymuje się z rosyjską. W geriatrycznym, arystokratycznym i zdecydowanie niekompetentnym dowództwie armii austro-węgierskiej można się było doszukać prawdziwych szpiegów. Jednym z najbardziej szkodliwych, nazywanym „katem armii austriackiej”, był zdemaskowany w roku 1913 płk Alfred Redl. Zwerbowany za pomocą szantażu homoseksualista płk

Redl pełnił funkcję szefa wojskowego kontrwywiadu. Sprawę zamieciono pod dywan, winnemu pozwolono popełnić samobójstwo, nie ustalając nawet rozmiarów spowodowanych przez niego szkód. Wiadomo jednak, że dostarczył on Rosjanom najnowsze plany mobilizacyjne i projekty cesarsko-królewskich fortec. Uzasadnione podejrzenia o działalność szpiegowską dotyczyły nawet syna austro-węgierskiego szefa sztabu, Conrada von Hötzendorfa. Śledztwo wyciszono w imię ratowania „honoru armii”. Niebawem w Sarajewie huknęły strzały.

W pierwszych miesiącach wojny armia Habsburgów biła się zaskakująco odważnie, dając imponujące dowody żołnierskiej odwagi. Zaskoczeni brawurą przeciwników Rosjanie przyznawali, że tak straszących ataków nie widzieli nawet w wykonaniu Japończyków. Poświęcenie żołnierzy poszło jednak na marne. Jakość najwyższego dowództwa była w cesarsko-królewskim wojsku fatalna i to ono odpowiadało za spektakularne porażki na froncie. Gubernator Bośni, podstarzały faworyt dworu, Oskar Potiorek ponosi nie tylko winę za fatalnie przygotowaną wizytę arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie (co skończyło się śmiercią następcy tronu), lecz także za krwawe klęski w kampaniach serbskich, będących popisem dowódczej nieudolności. Całe pułki żołnierzy prowadzono tam w zwartych kolumnach pod szrapnele i karabiny maszynowe.

I znowu – im bardziej kompromitowali się politycy i generałowie, tym większa była potrzeba znalezienia kozłów ofiarnych. Szybko wybrano na nie słowiańskich obywateli imperium Habsburgów – głównie Rusinów i Czechów. To na żołnierzy czeskich usiłowano zrzucić winę za skandaliczne porażki w Serbii, choć wojskowe archiwa wskazują, że pierwsze odznaczenia za odwagę otrzymywali w Serbii właśnie oni. Historycy nie mają wątpliwości, że w starciu fatalnie dowodzonych, niedoświadczonych wojsk austriackich z zaprawionymi w wojnach bałkańskich serbskimi weteranami zwykli żołnierze, w przeciwieństwie do generałów, spisali się całkiem dobrze. Bez żadnych większych problemów

przebiegała też początkowo mobilizacja poborowych na ziemiach czeskich.

Dopiero agresywna, prostacka kampania propagandowa, skierowana przeciw „niełojalnym czeskim rusofilom”, a także nieprzemyślane szykany administracyjne wymierzone w Czechów, zamiast zdusić tłące się niezadowolenie – szybko je rozpały. Tam, gdzie należało zastosować umiejętną perswazję – zastosowano groźby i publiczną nagonkę. Nic dziwnego, że poborowi znad Wełtawy miewali wątpliwości, w imię czego każe się im umierać nad Driną.

Tylko w roku 1914 w Czechach aresztowanych zostało 950 „sympatyków Rosji”, z czego na śmierć skazano 18 osób. Na sąsiednich Morawach aresztowano



Aleksander Guczkow, maj 1917 r.

FOT. KARL BULLA CC BY 4.0

500 tzw. przestępców politycznych, skazano na śmierć siedmiu. W populacji liczącej sobie 6,5 mln osób nie są to może liczby duże, jednak ich wpływ na nastroje rozgoryczenia wśród Czechów był ogromny.

Zbrodnie, popełnione przez walczące w Galicji wojska austriackie na „słowianofilskich” Rusinach nie tylko uniemożliwiły skuteczne wykorzystanie tej mniejszości w antycarskiej dywersji (czego Rosjanie bardzo się obawiali),

lecz także osłabiły dyscyplinę i spójność wewnętrzną armii. Nie ma dziś wątpliwości, że krzykliwa nagonka na niełojalnych rzekomo słowiańskich poddanych wyrządziła Austro-Węgrom ogromne szkody. Jej absurdalność ilustruje to, że najbardziej charyzmatyczny i autentycznie popularny wśród żołnierzy generał c.k. armii, „nasz Sveto” – Svetozar Borojević, jako żywo nie należał do niemieckiego „trzonu” monarchii.

WYCIĄGNIEMY WNIOSKI?

Z przedstawionych historii pora wyciągnąć wnioski. Dla walczących w Wielkiej Wojnie państw rozniecana przez polityków, gazetowa szpiegomania okazała się wyjątkowo szkodliwa. Czy nabierająca dziś w Polsce rozpędu kampania amatorskiego demaskowania „obcych narracji” nie paraliżuje przypadkiem naszej debaty publicznej? Łowieniem obcych agentów zajmować się powinny wyspecjalizowane służby, czyniąc to skutecznie, a co za tym idzie – profesjonalnie i dyskretnie. Podrostki i wzmożone emocjonalnie damy piętnujące „ruskie onuce” w internetowych pyskówkach do absurdu sprowadzają zasługujące na poważną debatę kwestie. Rozliczni harcownicy polskiego sporu politycznego, mobilizując wyborców wzajemnymi oskarżeniami, nie pomnażają, z pewnością, tak potrzebnego w czasach kryzysu kapitału społecznego zaufania. Przeciwnie, utrudniają nam wszystkim racjonalną debatę publiczną, paraliżują też konieczną wymianę poglądów w łonie samej elity politycznej.

Co gorsza, w lawinie gromkich, acz gołosłownych zarzutów niezauważone mogą pozostać działania rzeczywiście niebezpieczne. Pamiętajmy, że plotki o niemieckich konszachtach carcy Aleksandry rozpowszechniali gorliwie ci sami bolszewicy, których agenturalne powiązania uchodziły jakoś uwadze zajętej ściganiem fantomów i rozemocjonowanej seksualnymi przygodami Rasputina rosyjskiej opinii publicznej. Mechanizmy celowego „mącenia wody” pozostają w naszych czasach podobne jak dawniej. Także z tego powodu rozważania Józefa Mackiewicza wydają się warte przypomnienia i gruntownego namysłu.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 20 marca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Władysław Tyrański

„Mała Polska” pomyślana była od początku jako podziemna, prasowa spółka akcyjna

Przed 40 laty, 2 lutego 1983 r., ukazał się w Krakowie pierwszy numer podziemnej gazetki „Mała Polska” jako dodatek do pisma „Dzień” wydawanego przez podziemną Solidarność na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Nic nadzwyczajnego, bo w Polsce Jaruzelskiego tzw. bibuła fabrykowana była naprawdę na wielką skalę. Z biegiem czasu jednak „Mała Polska” stała się jednym z kilku podziemnych pism w kraju ukazujących się regularnie i najdłużej wydawanych, a tym samym o najwyższej numeracji bieżącej – po wrocławskim „Z Dnia na Dzień” oraz warszawskich „Wiadomościach” i „Woli”.

W latach 1983–1989 wyszło 291 numerów „MP”. Dla porównania: warszawski „Tygodnik Mazowsze”, największe ówczesne pismo podziemnej Solidarności, wydał „tylko” 290 numerów. Przytaczam ten fakt z uśmiechem, bo porównanie „MP” z „TM” to jak porównanie mrówki ze słoniem, ale jakaż to radość dla mrówki, gdy nadeptnie na odcisk słoniowi.

Przed laty na łamach „Do Rzeczy” wspominał tamte czasy prof. Marek M. Kamiński, doświadczony wydawca konspirator („Do Rzeczy” nr 33/2016), mówiąc, że była to działalność pro publico bono. „Dzisiaj myślę jednak – powiedział – że podchodziłem do tego zbyt idealistycznie i pryncypialnie. Wielu moich współpracowników nie było w stanie zaangażować się w działalność wydawniczą na sto procent, bo musiało gdzieś zarabiać na życie. Myślę,



FOT. ARCHIWUM WŁADYSŁAWA TYRAŃSKIEGO

„Mała Polska”



Władysław Maśłowski, który wymyślił firmę „Mała Polska” FOT. ARCHIWUM WŁADYSŁAWA TYRAŃSKIEGO



Ewa Ryłko, współtwórczyni „Małej Polski” FOT. ARCHIWUM WŁADYSŁAWA TYRAŃSKIEGO

że model zarobkowy byłby dużo sensowniejszy. Można byłoby robić to wszystko na większą skalę i bardziej profesjonalnie. Żałuję, że miałem opory przed bardziej rynkowym podejściem”.

Wydawcy „MP” nie mieli takich oporów. Wręcz przeciwnie. „Mała Polska” pomyślana była od początku jako podziemna, prasowa spółka akcyjna. Byłem jednym z dwóch jej założycieli.

Firmę wymyślił Władysław Maśłowski, krakowski dziennikarz, prasoznawca i ceniony stenograf, który w latach 1976–1981 był moim szefem w Pracowni Analizy i Zawartości Prasy w Ośrodku Badań Prasoznawczych w Krakowie. Po pozbawieniu go po 13 grudnia 1981 r. stanowiska kierownika pracowni pracowaliśmy razem w OBP (do 1984 r., kiedy zostałem z OBP zwolniony).

Dziś mogę powiedzieć, że formuła rynkowa „MP” wpłynęła zasadniczo na dobry rezultat końcowy przedsięwzięcia, wątpliwy w formule pro publico bono realizowanej przez Kamińskiego. Formuła rynkowa MP ukształtowała zarówno jej profil, jak i strukturę organizacyjną. Ponadto przesądziła o tym, że nasza podziemna firma nie została namierzona przez Służbę Bezpieczeństwa. Zadecydował o tym – jak dziś wiadomo z dokumentów IPN – brak bezpośrednich powiązań personalnych z podziemnymi strukturami Solidarności nafaszerowanymi esbecką agenturą. A takie powiązania dominowałyby w formule pro publico bono. Przez sześć lat działalności nie zaliczyliśmy żadnej wsypy, oprócz paru nieistotnych incydentów.

MASŁOWSKIEGO MIŁOŚĆ DO KAPITALIZMU

Z Maśłowskim różniliśmy się tym, że moja miłość do kapitalizmu była platońska, a jego, powiedziałbym, wręcz małżeńska. Kiedy ja uczyłem się naprędce drukowania i werbowałem do knucia pierwszą załogę „MP”, bez oglądania się na strategię działania, on z powodzeniem zaspokajał swoją miłość do kapitalizmu i tęsknotę za nim. Jego ojciec był przedwojennym bankierem zamordowanym przez Sowietów w Starobielsku, a dziadek właścicielem apteki i krakowskim kamienicznikiem. Ja zaś, robotnicze dziecko, podziwiałem to dziedzictwo, ale z dystansem podchodziłem do kontynuowania go w warunkach realnego socjalizmu, traktując wyrozumiale fanaberie współnika. I, okazało się, niesłusznie. Niemniej jednak i ja, i on podzielaliśmy miłość do zachodniego kapitalizmu jako najwyższego wcielenia rozumu w społeczeństwie w porównaniu z głupotą realnego PRL-owskiego socjalizmu.

Maśłowski wypuścił regularne „akcje” jak dla normalnej spółki akcyjnej. Na nowiotkich banknotach 10-złotowych z podobizną generała Bema odbił pieczętkę z nazwą wydawnictwa PAP oraz wartością „akcji”. Sprzedawał je znajomym, obiecując wypłacanie corocznej dywidendy. Niewiele się tym interesowałem, traktując sprawę z przymrużeniem oka, i sam żadnej akcji nie wykupiłem. A kiedy wyraziłem taki zamiar, dowiedziałem się, że wszystkie się już rozeszły i nikt

nie zamierza się ich pozbywać. Boleję nad tym do dzisiaj.

Biznesplan podziemnej spółki był następujący: 80 proc. przychodów przeznaczamy na koszty własne, na które składały się: zapłata za wszystkie prace wykonane dla firmy, a więc pisanie tekstów, redagowanie, przepisywanie, drukowanie, cięcie nakładu i rozwojenie go po mieście. Dochodziło do tego koszty zakupu papieru, utrzymanie samochodu firmowego oraz zapłata za konspiracyjne lokale. Dalsze 10 proc. szło na wypłatę dywidend dla właścicieli akcji „MP”, a ostatnie 10 proc. miało być przeznaczane na cele „społeczne”. Darowizny na rzecz „Małej Polski”, potwierdzone na łamach, szły na tzw. fundusz bhp, na wypadek spodziewanych kłopotów z SB. Poza tym „fundusz bhp” miał udzielać w razie potrzeby oprocentowanych pożyczek innym firmom podziemnym. Bo Masłowskiemu zamarzyło się, by zgodnie z zasadami kapitalistycznej ekonomiki „fundusz bhp” mógł się powiększać sam, żeby te pieniądze, jak to się mówi dzisiaj, pracowały. Wyobrażał sobie, że mogą rodzić się podziemne inicjatywy – jak choćby nasza – które potrzebują kapitału do uruchomienia i które chętnie wzięłyby pożyczkę na odpowiedni procent. Ostatecznie jednak jego podziemny „bank” udzielał pożyczek ludziom „MP”, i to nie na jakieś inwestycje, ale po prostu na życie.

ŻEBY KIEROWAĆ, MUSIAŁEM ZORGANIZOWAĆ

Od wiosny 1983 r. byłem po Masłowskim drugim człowiekiem w „MP”. Trzecim człowiekiem w naszej firmie stała się od czerwca 1983 r. Ewa Ryłko, którą przyprowadził do firmy Masłowski. Ewa była wtedy studentką psychologii na UJ, a dodatkowo uczyła się stenografii na nadobowiązkowym lektoracie prowadzonym przez Masłowskiego.

Tak narodziła się firma „Mała Polska”. Bo do wydawania każdej gazety, a zwłaszcza podziemnej, niezbędne są redakcja, druk i kolportaż. My od biedy mieliśmy tylko redakcję, którą tworzyli Masłowski i Ryłko. Należało dopełnić ją o drukarnię i kolportaż. Wziąłem to na siebie. Uznałem, że redaktorski talent Masłowskiego rozkwitnie najpełniej, gdy



Pierwszy numer „Małej Polski” (wygląd po reedycji) FOT. ARCHIWUM WŁADYSŁAWA TRYBICKIEGO

będzie miał możliwość używania go w sposób najbardziej efektywny. Tak się też stało.

Kierowałem drukiem i kolportażem „Małej Polski”. Ale najpierw musiałem je zorganizować. W kilka miesięcy doprowadziłem się do dwóch kompletów własnego sprzętu drukarskiego, kilku lokali do następnych raz w tygodniu na druk i cięcie oraz kilkunastu mieszkań skrzynek niezbędnych do sprawnego rozprowadzania go w Krakowie „Małej Polski”, a przez pewien czas także drugiego naszego tytułu – „Archiwum Współczesności”.

KŁOPOT Z KONSPIRATORAMI „DARMOWYMI”

Z konspiratorami „darmowymi” było z reguły więcej kłopotów niż z tymi, którzy robiąc coś dla „MP”, chcieli po prostu zarobić. „Darmowi” często się oburzali: „Jak to, za pracę dla ojczyzny mam brać pieniądze?”. Proponując im to, stawałem się dla nich moralnie podejrzany, bo wcale nie kryłem, że konspiracyjne zajęcia są źródłem moich dochodów. Oni nie chcieli zaś kalcać wyższych ideałów marną mamoną.

To był problem. Oni – jak zauważa też Kamiński – z reguły musieli dorabiać poza etatem, więc zupełnie nie mieli czasu. Kiedy jednak proponowałem takiemu: „Po co masz dorabiać u komunistów, dorabiaj u nas, zapłacimy ci tyle samo”,

on odpowiadał: „E, coś ty, za pracę w konspiracji mam brać pieniądze? Nieee”. Wtedy mówiłem: „To zrób coś za darmo”. Odpowiadał: „Nie mogę, muszę dorabiać”. Wobec konieczności dorabiania i niechęci brania pieniędzy za pracę dla ojczyzny taki człowiek z czystym sumieniem mógł nie robić dla niej nic.

Z konspiratorami „darmowymi” był też inny kłopot. Z reguły deklarowali na początku o wiele więcej, niż byli w stanie wykonać. Ja proponowałem im pracę przez dwie-trzy godziny tygodniowo, ale – jak sobie żartowałem – przez najbliższe pięć-dziesięć lat bez przerwy. Oni obrzucaли się, że dwie-trzy godziny to mogą pracować choćby codziennie. Odrzucałem od razu takie nierealne propozycje. I zwykle, pracując dwie-trzy godziny tygodniowo, wytrzymywali miesiąc. Potem słyszałem: „Przepraszam, nie mogę, muszę dorabiać, bo nie przeżyję”.

Dziś mogę ujawnić, że moja praca dla „Małej Polski” dawała mi średnią płacę miesięczną w gospodarce społeczno-nej. Pracowałem tak, jak lubię: na pełny zegar i z absolutną wiarą w to, co robię.

U progu stanu wojennego, na fali hurraoptymizmu, wszystko dla podziem-ia robiło się bez pieniędzy. Panowało przekonanie, że dla ojczyzny pracuje się za darmo, a branie pieniędzy za knucie uważane było niemal za świętokradztwo. Życie pokazało jednak, że konspiracja bez pieniędzy jest tylko jakimś hobby dla entuzjastów, dziecięcą zabawą w chowanego, która się kończy, gdy trzeba się zająć poważniejszymi sprawami, np. zarabianiem na chleb.

SZŁO NAM CAŁKIEM NIEŻLE

„Mała Polska” była na początku dodatkiem do innego podziemnego tytułu, ale po krótkim czasie usamodzieliła się, przyjmując nadtytuł „Pismo Niezależne” i umieszczając w swoim podtytule tekst: „Wydawca PAP – Polowe Archiwum Prasowe, Kraków, Małopolska” oraz rzymską maksymę – dewizę Uniwersytetu Jagiellońskiego: „Plus ratio quam vis – raczej rozumem niż siłą”. W numerze 23 z 5 września 1983 r. ogłoszona została formuła działania PAP – to „niezależna spółka akcyjna wydająca nieocenzurowane pisma”.

Średni nakład jednorazowy „Małej Polski” osiągał 1–2 tys. egzemplarzy, a nakłady najwyższe – ponad 3 tys. egzemplarzy – jesienią 1984 r. po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki.

Od jesieni 1983 r. pismo ukazywało się co tydzień. Wydawane były numery pojedyncze (dwustronnie zadrukowana kartka A4) oraz co jakiś czas numery podwójne (cztery strony A4, drukowane na arkuszu A3).

W czerwcu 1983 r., w czasie drugiej papieskiej pielgrzymki do Polski, „MP” wychodziła codziennie. Podczas trzeciej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1987 r. „MP” ponownie stała się dziennikiem. Numery wydane podczas tej pielgrzymki poprzedzone zostały podwójnym numerem wydrukowanym na kartonie – stanowił on okładkę dla kompletu siedmiu numerów „papieskich”.

W maju 1988 r. „Mała Polska” po raz trzeci wychodziła częściej niż raz w tygodniu. W czasie kwietniowych strajków w Hucie im. Lenina „MP” wydała dwa specjalne numery strajkowe datowane na 3 i 5 maja 1988 r.

Od września 1988 r. „MP” stała się dwutygodnikiem o objętości czterech stron formatu A4. Od października 1988 r. drukowana była techniką naświetlania „sita” z klisz fotograficznych, co zdecydowanie poprawiło jakość druku.

FORMUŁA SIĘ WYCZERPAŁA

Przez pierwsze trzy lata ściśle kierownictwo firmy tworzyły trzy osoby: Masłowski, Ewa Ryłko i ja. W kwietniu 1986 r. zmarł nagle na zawał serca Masłowski. Wtedy postanowiliśmy z Ewą kontynuować działalność, co trwało kolejne dwa i pół roku – do grudnia 1988 r. Wtedy Ewa zaszła w ciążę i postanowiła zakończyć działalność w „MP”.

Przez ostatnie trzy miesiące – do marca 1989 r. – „Małą Polską” zawiadywałem sam. Zespół się kurczył, nowych ludzi nie przybywało. Redagowałem i pisałem teksty, kierowałem drukiem i kolportażem. Aby poprawić jakość druku, nawiązałem współpracę z drukarzami innego krakowskiego podziemnego pisma – „Promieniści”. Równolegle założyłem wydawniczą firmę „naziemną”, która miała być przykrywką dla firmy podziemnej. Tak powstała spółka z ograniczoną odpowiedzialnością „Głos”, powołana przeze mnie



Władysław Tyrański w 1988 r.

FOT. ARCHIWUM WŁADYSŁAWA TYRAŃSKIEGO

na fali przedsiębiorczości wznieconej przez słynną ustawę Wilczka.

Ostatni numer „MP” ukazał się z datą 27 lutego 1989 r. Był antydatowany, na co wskazuje zamieszczony w nim tekst odredakcyjny, mówiący o zakończeniu wydawania „Małej Polski”, datowany na 3 marca 1989 r.

Wiosną 1989 r., w czasie obrad Okrągłego Stołu, zadawałem sobie pytanie, czy „Mała Polska” mogłaby utrzymać się na rynku jako „naziemny”, lokalny tygodnik miejski, wywodzący się z podziemia i kupowany przez ludzi czytających go wtedy. Na to jednak nie było szans bez Masłowskiego.

W końcu formuła „Małej Polski”, jak to się mówi dzisiaj, się wyczerpała. Pismo było za małe, żeby sprostać nowym warunkom. Narastała konkurencja, pisma podziemne, choć nadal nielegalne, działały półjawnie i trzeba było za nie płacić, druk offsetowy był coraz łatwiej dostępny, a autorzy zaczęli podpisywać swoje teksty prawdziwymi nazwiskami, uchodząc za rzeczników wolnej Polski. My zaś zgodnie z zasadami konspiracji konsekwentnie pozostawaliśmy anonimowi.

COŚ JEDNAK Z PODZIEMIA WYNIOSŁEM

Podziemna firma „Mała Polska” zakończyła działalność. Zgodnie z zamysłem jej twórcy majątek po niej podzieliliśmy z Ewą Ryłko między znanych nam udziałowców. Majątkiem tym było kilka starych maszyn do pisania i zdezelowany fiat 126p, który sprzedaliśmy. Mnie przypadł dodatkowo cały sprzęt drukarski. Zadołowałem go w swojej piwnicy, pocieszając się w złych chwilach, że jednak coś z podziemia

wyniosłem. Od wiosny 1989 r. do końca lat 90. cała drukarnia „MP” przeleżała w mojej piwnicy, skąd trafiła do Fundacji Centrum Czynu Niepodległościowego w Krakowie, gdzie jest eksponowana, służąc również do pokazów druku bibuły z lat 80.

Moi koledzy po fachu, dziennikarze z PRL-owskiej prasy reżimowej, nieparający się w latach 80. fabrykowaniem „bibuły”, stali się wkrótce współwłaścicielami trzech gazet codziennych wychodzących w Krakowie („Gazeta Krakowska”, „Dziennik Polski” i „Echo Krakowa”) zgodnie z decyzją Komisji Likwidacyjnej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”. Niektórzy z nich zaczęli jeździć wkrótce nowymi, szykowymi jak na owe siermieżne czasy, samochodami marki Hyundai. Wtedy pamiętam jeszcze w Krakowie, że po 13 grudnia 1981 r. wojskowa władza scalała czasowo wymienione wyżej trzy tytuły w jeden, a prosty lud krakowski od pierwszych słów każdego tytułu ukuł skrót, który przyjął się na mieście: „Gadzie Echo”.

„MAŁEJ POLSKI” ŻYCIE PO ŻYCIU

„Mała Polska” nie umarła jednak całkiem. W 2009 r., na 20-lecie zamknięcia pisma, ukazała się papierowa reedycja „MP”. To książka formatu A4 o objętości 798 stron wydrukowana w nakładzie 200 egzemplarzy. Nie jest to typowy reprint, ponieważ proste przeskanowanie oryginalnych numerów „MP” nie dałoby zadowalającej dzisiaj czytelności wydruku finalnego ze względu na mizerną jakość druku oryginału. Koncepcja reedycji, a nie reprintu, oznaczała konieczność wpisania tekstu wszystkich numerów „MP” do komputera, a następnie złożenie ich komputerowo na wzór oryginału. Do przepisania było 1,7 tys. stron maszynopisu znormalizowanego (po 1,8 tys. znaków na stronie). Duża część nakładu trafiła do najważniejszych bibliotek w kraju, resztę dostali ludzie „MP” i znani im z podziemia czytelnicy „MP”.

Powstał też 26-minutowy telewizyjny film dokumentalny o „MP”, zrealizowany przez Dariusza Walusiaka na zamówienie TVP Historia, wyemitowany w TVP po raz pierwszy w styczniu 2009 r., a później wielokrotnie powtarzany. Zarówno film, jak i elektroniczna reedycja MP dostępne są w Internecie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Traktat ryski

Zakończeniem wojny polsko-bolszewickiej 1919–1921 był traktat ryski, podpisany 18 marca 1921 r. Regulował on przede wszystkim sprawę naszej granicy wschodniej. W jego wyniku Polska nie odzyskała terenów I RP (na to nie było szans), ale i tak w naszych granicach mniejszości narodowe liczyły ok. jednej trzeciej mieszkańców.

Do dziś toczone są spory, czy Polska mogła uzyskać więcej i kto ponosi „winę” za wschodnią linię graniczną, pozostawiającą znaczną mniejszość polską po stronie sowieckiej. Na ogół odpowiedzialnością obarcza się skład delegacji na rokowania pokojowe, w którym dominującą pozycję mieli „endecy”. Czy tak było naprawdę?

W skład delegacji wchodził posłowie: Jan Dąbski (wiceminister spraw zagranicznych), przedstawiciel Stronnictwa Ludowego, jako przewodniczący, oraz Norbert Barlicki z Polskiej Partii Socjalistycznej, Stanisław Grabski ze Związku Ludowo-Narodowego, Adam Mieczkowski z Narodowego Zjednoczenia Ludowego, Michał Wichliński jako przedstawiciel chrześcijańskiej demokracji, Ludwik Waszkiewicz z Narodowej Partii Robotniczej oraz Leon Wasilewski z PPS (bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego), Witold Kamieniecki, gen. Mieczysław Kuliński i Aleksander Ładoś.

Ostatecznie traktat został podpisany ze strony polskiej

przez Jana Dąbskiego, Stanisława Kauzika, Edwarda Lechowicza, Henryka Strasburgera i Leona Wasilewskiego. Wbrew obiegowym opiniom to nie stanowisko „endeków” przeważało w sprawie granicy. 16 kwietnia 1921 r. traktat został ratyfikowany przez Józefa Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa. Koncepcja federacyjna Piłsudskiego, aby tworzyć załączki państwowości ukraińskiej i białoruskiej w ramach II RP, całkowicie upadła. Wcześniejsze koncepcje Romana Dmowskiego (z 1919 r.), prezentowane w Waszyngtonie i Paryżu, aby w skład Polski weszły pokątne tereny pogranicza z liczącą się mniejszością polską (aż do Mińska, Kamieńca Podolskiego i Płoskirowa), całkowicie upadły, spotkały się bowiem z co najmniej chłodnym przyjęciem ze strony USA i przede wszystkim Wielkiej Brytanii. A to nie my byliśmy przecież panami sytuacji.

Poza wynegocjonowaną linią graniczną pozostało ok. 1,5 mln Polaków. Ale należy pamiętać, że na tych terenach mieszkali też miliony Ukraińców i Białorusinów (w większości z rozmytą świadomością narodową) oraz Żydów, na ogół bardzo wrogo nastawionych do polskiej państwowości. Czas pokazał, że nie udało się ułożyć w nowym państwie choćby neutralnych stosunków z mniejszościami, które zajmowały wobec Polski zdecydowanie wrogie stanowisko. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

List 34

Odwiłż popaździejnikowa nie trwała jednak długo. W 1959 r. prezesem Związku Literatów Polskich został Iwaszkiewicz, a jego poprzednik, Antoni Słonimski, coraz bardziej krytycznie oceniał działania władz. Miejszem jego politycznych dyskusji stała się kawiarnia PIW na Foksal, nazywana w stołecznym środowisku Café Snob.

Tam też narodził się pomysł listu protestacyjnego skierowanego przeciwko cenzurze. Dyskutowano na ten temat przez kilka tygodni, aż wreszcie pan Antoni przyniósł gotowy tekst petycji (dwa zdania), którą później nazwano „Listem 34”.

Słonimski decydował, komu zaproponować podpis pod listem, był jednak otwarty na propozycje. Jednak kategorycznie postanowił, że pod petycją muszą się znaleźć nazwiska wyłącznie osób wybitnych, ludzi w szluznym wieku, tak aby list nie sprawiał wrażenia młodzieżowego buntu. Nie wszyscy przyłączyli się do protestu – Kazimiera Hłakowiczówna odmówiła złożenia podpisu, twierdząc, że nie wierzy w skuteczność podobnych działań. Natomiast Melchior Wańkowicz uznał, że listy do władz powinny być bardziej obszerne, a Paweł Hertz twierdził, iż petycja jest zbyt mądra jak na możliwości percepcji polskich komunistów.

Większość podpisów zebrano w kawiarni PIW, dokąd Słonimski telefonicznie zwoływał znajomych. Oni zaś

po zapoznaniu się z tekstem podpisywali ten list bez oporów, uznając, że działają w stanie wyższej konieczności.

Ostatecznie list podpisały 34 osoby, a nad jego dalszymi losami czuwał sam pan Antoni. Osobiście złożył go 14 marca 1964 r. w kancelarii premiera Cyrankiewicza, biorąc przy tym odpowiednie pokwitowanie: „Ograniczenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostreżenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez konstytucję państwa polskiego i zgodnych z dobrem narodu”.

Gdy treść listu ogłoszono na falach Radia Wolna Europa, aresztowano Jana Józefa Lipskiego, który wskutek głośnych protestów Słonimskiego, Marii Dąbrowskiej i mecenas Anieli Steinsbergowej został zwolniony po upływie 24 godzin. Jednocześnie organizacja partyjna Związku Literatów Polskich sformułowała odpowiedni kontrlist (nazywany złośliwie volkslistą), który podpisało aż 600 autorów. Zaledwie kilka osób oficjalnie odmówiło aprobaty tego dokumentu, władze jednak potrafiły skutecznie zastraszyć ludzi kultury PRL... ©©



WYMAZYWANIE ROLI Kobiet Z KONSTYTUCJI

W irlandzkiej konstytucji jest dziś artykuł 41.2, w którym przeczytać można, że „poprzez aktywność w domu kobieta wspiera państwo w sposób, bez którego dobro wspólne nie może być osiągnięte”. Jest też zapis mówiący o tym, że „matka nie powinna być zmuszona przez ekonomiczną konieczność do pracy i zaniedbania swoich obowiązków w domu”. Zgromadzenie Obywatelskie zarekomendowało usunięcie tych dwóch odniesień do kobiet. Rząd zapowiedział w tej sprawie referendum.

FOT. ADRIEN STUCK

ŁOPATY ZAMIAST KARABINÓW

Brytyjski resort obrony narodowej w raporcie o wojnie na Ukrainie napisał, że rosyjscy żołnierze coraz częściej prą do walki w bliskim kontakcie. Mają wówczas używać m.in. łopat. Według Brytyjczyków powodem takiego zachowania ma być to, że Rosjanie mają poważne kłopoty z zaopatrzeniem i często brakuje im amunicji – a jednocześnie okupacyjne dowództwo naciska, by prowadzić działania ofensywne.

OMYŁKOWY WIELKI TRANSFER SPORTOWY

Brazylijski koszykarz João Victor Gomes da Silva zajął na swoje konto i zobaczył tam 1,89 mln reali (ok. 350 tys. euro). Przestraszył się, że padł ofiarą jakiegoś sytemu prania pieniędzy. Okazało się jednak, że pomylił się klub piłkarski Flamengo Rio de Janeiro, który zakupił 22-letniego piłkarza o dokładnie takich samych danych personalnych.

TWÓJ ROZWÓD ZOSTAŁ ANULOWANY

Podczas władzy talibów w Afganistanie anulowane zostały rozwody. W związku z tym – według agencji AFP – pewna grupa kobiet zmuszona została do powrotów do domów swoich mężów. Część z nich trafiła do oprawców – ponieważ rozwody wzięła z powodu przemocy domowej, której latami doznawały.

W ADIDASACH NA PIĘCIOTYSIĘCZNIK

Alpiniści wspinający się na liczący ponad pięć tysięcy metrów szczyt – Elbrus – nagrali zmierzającego tam po śniegu turystę. Mężczyzna szedł w zwykłych spodniach i adidasach. Nie miał ani czekanów, ani raków. Ostatni raz widziano go na wysokości 4300 m. Następnego dnia po zaginięciu znaleziono jego ciało. ©

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Wściekły atak na świętego

Jan Paweł II, obok Fryderyka Chopina, Mikołaja Kopernika czy Marie Skłodowskiej-Curie, to najsłynniejszy Polak w historii świata. Nikt chyba nie ma, a na pewno nie powinien mieć co tego wątpliwości, niezależnie od tego, czy jest chrześcijaninem, wyznawcą innych religii czy ateistą. To nie tylko święty o wielkich zasługach dla Kościoła w Polsce i na świecie. To również człowiek, bez którego nie byłoby wolnych mediów i nie byłoby wolnej Polski. Być może nie byłoby też nawrócenia nowego selekcionera reprezentacji Polski Fernanda Santosa, który św. Jana

Pawła II uważa za wielką osobistość. Taki bohater musi przeszkadzać wielu wrogom naszego narodu. Jednak to nie za sprawą propagandy rosyjskiej czy niemieckiej, lecz za sprawą niektórych polskich mediów w zagranicznych portalach pełno jest dziś informacji szkalujących dobre imię papieża Polaka.

Zachodni publicyści, i nie tylko publicyści, zachodzą więc w głowę, jak to możliwe, że to właśnie rodacy Jana Pawła II z taką zaciekleścią niszczą dobre imię największego bohatera w swoich dziejach. Taktyka publicznego zohydowania bohaterów i religii jest zaś znana

nie tylko neobolszewikom czy faszystom, lecz także tym mediom i partiom, które nie mogą znieść, że Kościół wciąż jednoczy Polaków jako silną wspólnotę, przykładają współczesne miary do zachowań sprzed kilkudziesięciu lat.

Dobrze, że rząd nie puścił medialnej nagonki na Jana Pawła II mimo uszu i ostro zareagował. W czasach przybierającej na sile antypolskiej wojny hybrydowej należy jasno pokazywać, które elementy przekazu służą wrogom i które mają jasny cel: doprowadzić do podziału Polaków i osłabienia Polski. ©

Victoria Nuland



Wojciech Golonka

Wpływowa amerykańska dyplomatka reprezentuje frakcję, która ponad podziałami politycznymi skupia zwolenników amerykańskiej hegemonii poprzez zbrojne obalanie państw autorytarnych. Należy pamiętać, że skuteczni w zakresie neutralizacji wrogów nie są tak samo dobrzy w zaprowadzaniu trwałego ładu



FOT. ALEX BRANDON/GETTY IMAGES

Wyzwolicielka Ukrainy spod rosyjskiego jarzma w ramach wsparcia USA dla Majdanu tudzież, wręcz przeciwnie, przy- czyną obecnej niedoli Ukrainy – niezależnie od tego, jak kwalifikowane są działania wysokiej rangi amerykańskiej dyplomacji, to właśnie Victoria Nuland odgrywa, od przeszło 10 lat, wiodącą, choć dyskretną rolę w realizacji amerykańskiej agendy względem Ukrainy i Rosji, korzystając z aportu wpływowych amerykańskich think tanków.

Victorii Nuland nie trzeba w zasadzie przedstawiać, a jednak należałoby ją przedstawić. Ten paradoks bierze się stąd, że w ogólnej świadomości jest ona kojarzona jako wpływowy amerykański urzędnik z zakresu polityki zagranicznej, a jednocześnie nie będąc politykiem sensu stricto, który pełni swój urząd z nadania wyborczego, nie jest ona tak rozpoznawalna ani pierwszoplanowo widoczna. Do tej nietypowej roli polityka, który jest przede wszystkim urzędnikiem, a także urzędnika, który wyznacza politykę, Nuland doszła, pnąc się stopniowo po drabinie amerykańskiego korpusu służby zagranicznej, do którego wstąpiła

już w wieku 24 lat, świeżo po studiach, za czasów administracji Ronalda Reagana. Jej kierunek studiów był zresztą doskonale zespolony z ówczesnymi realiami zimnej wojny i nazaczył w sposób oczywisty jej dalszą ścieżkę kariery: oprócz stosunków międzynarodowych Victoria Nuland studiowała filologię rosyjską poszerzoną o historię i nauki polityczne dotyczące Rosji i Związku Sowieckiego. Co ciekawe, w ramach swego cursus honorum Nuland obejmowała stanowiska kierownicze w służbie zagranicznej zarówno za rządów demokratów, jak i republikanów, z wyłączeniem okresu prezydentury Donalda Trumpa.

Za kadencji George'a H.W. Busha była ona w latach 1991–1993 „oficerem politycznym” w ambasadzie USA w Moskwie; w trakcie dwóch prezydentur Billa Clintona była najpierw przez trzy lata dyrektorem biura zastępcy sekretarza stanu Strobe'a Talbotta (analityka wyspecjalizowanego w sprawach rosyjskich), by objąć następnie funkcję zastępcy kierownika sekcji ds. byłego Związku Sowieckiego w departamencie stanu. Mimo przejęcia władzy przez republikanów na osiem lat, za prezyden-

tury George'a W. Busha Nuland znacząco awansowała i stała się najpierw doradcą samego wiceprezydenta Dicka Cheneya, a potem, w latach 2005–2008, ambasadorką USA przy NATO – była to ważna funkcja, zważywszy na ówczesną obecność wojsk sojuszu w Afganistanie.

GŁÓWNY DYPLOMATA NA EUROPE

W dobie dwóch kadencji Baracka Obamy Nuland we wrześniu 2013 r. objęła tekę asystenta sekretarza stanu ds. Europy i Euroazji, czyli stała się głównym amerykańskim dyplomatą na Europie, a w jej „portfelu” znalazła się również Ukraina, którą kilka tygodni później ogarnął zryw Majdanu. Nuland wykazała się wówczas determinacją w posuwaniu pionków na geopolitycznej szachownicy, co wykazały dwie interesujące informacje. Pierwsza, nieco bardziej anegdotyczna: na konferencji Fundacji Amerykańsko-Ukraińskiej w grudniu 2013 r. Nuland oświadczyła, że USA od 1991 r. „zainwestowały 5 mld dol.” na rzecz budowania prosperującej i demokratycznej Ukrainy, z jej europejskimi aspiracjami. Po inwazji Rosji na Ukrainę w lutym ubiegłego roku wypowiedź ta została dokoloryzowana przez prorosyjskie

narracje na potrzebę skwitowania roli USA podczas samego Majdanu. Twierdzono, że Nuland chwaliła się, iż przewrót władzy w Kijowie kosztował USA tylko 5 mld dol., krótko mówiąc – tanio. Warto jednak zaznaczyć, że już samo użycie jakże typowo amerykańskiego określenia „inwestycja” w budowanie prozachodniego nastawienia w ukraińskim społeczeństwie, w dodatku w kontekście kraju oligarchicznego, gdzie wszystko, co wpływowo, jest w rzeczywistości kupowane, było wymowne.

Druga, bardziej osobista informacja to wyciek do Internetu – prawdopodobnie dzieło rosyjskiego wywiadu – rozmowy telefonicznej Nuland z ambasadorem USA na Ukrainie Geoffreyem Pyattem ze stycznia 2014 r. na temat tego, kto ma się znaleźć, a dla kogo miejsca ma zabraknąć w przyszłym, pomajdanowym rządzie Ukrainy. Rozmowa o tym, że najlepszym kandydatem na premiera będzie Arsenij Jaceniuk (który rzeczywiście nim został), a samo porozumienie ma być zrobione pod szyldem Narodów Zjednoczonych z odwołaniem do Unii Europejskiej: „To byłoby świetne – pomóc posklejać tę sprawę oraz mieć ONZ jako spoiwo, no wiesz... pieprzyć UE”. Ma się rozumieć, słowa te wzbudziły potępienie wśród unijnych liderów... i tyle – Nuland w następnych latach kontynuowała swą misję pomocy finansowej i militarnej dla pomajdanowej Ukrainy, do czasu prezydentury Donalda Trumpa.

W tym miejscu wyłania się właściwie drugie, bardzo interesujące i wiele objaśniające dno kariery amerykańskiej dyplomatk. Pytana kiedyś o to, jak to możliwe, że pod różnymi rządami USA kontynuowała swój nietypowy wzlot w karierze służby zagranicznej, Nuland odpowiedziała, że tak naprawdę każdy prezydent kocha swój kraj, więc jego barwy partyjne mają mniejsze znaczenie, niż się wydaje.

DRUGIE DNO KARIERY

Co było zatem nie tak z prezydentem Trumpem, że Nuland z własnej inicjatywy odeszła z Departamentu Stanu wraz z frakcją innych pracowników na początku jego prezydentury? Nuland wskazywała m.in. na jego izolacjonizm, który należałoby bardziej rozumieć: brak poparcia dla obozu neokonserwatystów. W skrócie frakcja ta skupia, ponad podziałami partyjnymi, zwolenników amerykańskiej hegemonii poprzez zbrojne obalanie państw

autorytarnych (o samym amerykańskim neokonserwatyzmie pisałem na łamach „Do Rzeczy” z 17 października 2022 r.). Otóż, co bardzo interesujące, odchodząc z Departamentu Stanu, Nuland została prawie „z automatu” prezesem think tanku The Center for a New American Security (Centrum na rzecz Nowego Amerykańskiego Bezpieczeństwa), założonego w 2007 r. Zarówno nazwa, jak i data moim zdaniem są bardzo istotne, w latach 1997–2006 funkcjonował bowiem współzałożony przez Roberta Kagana, męża Victorii Nuland, „neokoński” think tank par excellence – The Project for the New American Century (Projekt na rzecz nowego amerykańskiego stulecia), który lobbował na rzecz silnego amerykańskiego interwencjonizmu, w szczególności na Bliskim Wschodzie... a zwłaszcza w Iraku. W deklaracji ideowej członkowie Projektu twierdzili, że Stany Zjednoczone są odpowiedzialne za propagowanie demokracji i praw człowieka na świecie i powinny być gotowe użyć w tym celu swych sił zbrojnych. Wśród członków tych znajdowali się

Victoria Nuland jest reprezentantką pewnej ponadpartyjnej frakcji politycznej, która w latach 90. urosła do rozmiaru establishmentu

Dick Cheney (późniejszy wiceprezydent i republikański promotor kariery Nuland), Donald Rumsfeld i Paul Wolfowitz, którzy rzeczywiście odegrali kluczową rolę w prowojennej polityce George’a Busha, który sam nie był neokonserwatystą. Projekt Nowego Amerykańskiego Stulecia, osiągnąwszy swój bezpośredni cel, choć nie bez kompromitacji, został zamknięty, idee tego think tanku jednak przetrwały, tyle że w formie Centrum na rzecz Nowego Amerykańskiego Bezpieczeństwa.

Wypowiedź Nuland można by zatem sprowadzić do pewnej karykatury – że miłość prezydentów USA oznacza przede wszystkim gotowość zniszczenia zawsze i wszędzie wrogów demokracji, czyli wrogów amerykańskiej hegemonii; można by

ją również nieco doprawić, przypominając, że skoro pierwotnym celem neokonserwatystów była ochrona powstałego w Palestynie państwa żydowskiego po tym, jak amerykańska lewica – czyli demokraci – temat odpuściła, to miłość prezydentów USA do swego kraju oznacza przede wszystkim miłość do Izraela, której przecież i Trumpowi nie brakowało...

To, co jednak istotne, ponad podobną zabawą retoryczną, to zrozumienie, że nasza bohaterka – owszem, wysokiej rangi amerykański urzędnik – była przede wszystkim reprezentantką pewnej ponadpartyjnej frakcji politycznej, która w latach 90. urosła do rozmiaru establishmentu, dość skutecznie osiągając swe cele w kolejnych administracjach przewijających się przez Białą Dom. Była i jest nią nadal – wraz ze zwycięstwem Joe Bidena Nuland dostała bowiem nominację podsekretarza stanu do spraw politycznych, która notabene została zatwierdzona przez amerykański Senat przez aklamację.

Wracając do podniesionego na początku wątku, jedynie definitywne rozstrzygnięcie wojny rosyjsko-ukraińskiej pozwoli ocenić bilans strat i korzyści wyrwania Ukrainy spod kurateli Moskwy, a zatem ocenić ostatecznie działalność i karierę 62-letniej urzędniczki polityk, której z pewnością nie można odmówić wizji i determinacji w dążeniu do celu. Owszem, ideowa, a nie li tylko pragmatyczna nieugiętość względem Rosji amerykańskich dyplomatów pokroju Victorii Nuland jest oceniana w Polsce bardzo pozytywnie, a jej publicznie wyrażona satysfakcja z uczynienia z Nord Stream zardzewiałej rury na dnie morza otwarcie oddawała skryte życzenia Warszawy. Robiąc interesy z neokonserwatystami, trzeba jednak pamiętać, że są oni bardziej skuteczni, gdy idzie o neutralizację wrogów demokracji, czyli Ameryki, niż zaprowadzanie samego trwałego ładu demokratycznego. Stąd w przypadku ścisłego partnerstwa analiza rozbieżności celów strategicznych i rozumienia bezpieczeństwa, obok tego, co spójne, jest tym bardziej konieczna. Wszak dopóki nie zostaniemy terytorialnie kolejnym stanem USA – co wiele by uprościło, choć niekoniecznie byłoby pożądane – dopóty „nowe bezpieczeństwo Ameryki” synonimem „bezpieczeństwa Polski” nie będzie.



Witold Repetowicz

Plany izraelskiego rządu wprowadzenia nowych regulacji prawnych ograniczających niezależność tamtejszego wymiaru sprawiedliwości doprowadziły do największego kryzysu wewnętrznego w historii kraju. Jednocześnie narasta przemoc izraelsko-palestyńska, czego wyrazem był niedawny pogrom palestyńskiej Hawary. Wszystko za sprawą tych samych ludzi: izraelskiej skrajnej prawicy z Bezaelem Smotrichem i Itamarem Ben-Gvirem na czele

Oba problemy się ze sobą wiążą, choć rozwijają się w ramach odrębnych procesów. Można w tym kontekście mówić o izraelskim trójkącie bermudzkim, którego wszystkie boki wyznaczają inną linię konfliktu. Z jednej strony są to masowe protesty Izraelczyków przeciwko planom zmian prawnych, które dość powszechnie postrzegane są tam jako zamach na niezawisłość sądów. Biorą w nich udział jednak niemal wyłącznie żydowscy obywatele Izraela, choć zmiany mogą negatywnie wpłynąć również na sytuację arabskich obywateli oraz Palestyńczyków. Ci jednak mają własne problemy, a duża część protestujących Izraelczyków nie życzy sobie tematyki palestyńskiej na swoich demonstracjach. Również duża część Palestyńczyków postrzega jako swoich wrogów Izrael w ogóle, a nie jedynie ekstremistów, którzy po ostatnich wyborach dorwali się do władzy. Natomiast religijni syjoniści Bezaela Smotricha oraz uznawani jeszcze niedawno za terrorystów kahanisci Itamara Ben-Gvira nienawidzą zarówno obrońców izraelskiej praworządności, jak i wszystkich Arabów, a że mają w swoich rękach izraelski aparat przemocy, leje się krew i płoną całe wioski.



Izraelski trójkąt

Konflikt wokół zmian prawnych dotyczących izraelskiego sądownictwa tylko pozornie przypomina sytuację w Polsce. Chodzi przy tym zarówno o charakter zmian, motywację rządu, jak i kontekst polityczny. W szczególności dotyczy to prywatnych motywacji premiera Beniamina Netanjahu, za którym (a także jego żoną) ciągną się sprawy korupcyjne. To właśnie z tego powodu wszystkie partie, poza rodzimym Likudem oraz ortodoksami i ekstremistami, wykluczają jakąkolwiek współpracę z Netanjahu. Od kilku lat powoduje to kryzys polityczny w Izraelu, który jednak obecnie przybrał bezprecedensowe rozmiary. Warto przy tym pamiętać, że oskarżenie przeciwko Netanjahu oraz jego żonie wniósł jeszcze poprzedni prokurator generalny Awichai Mandelblit, mianowany na to stanowisko przez Netanjahu i przez długi czas mocno z nim związany. Dziś Mandelblit mówi wprost, że jedynym powodem, dla którego

Netanjahu forsuje zmiany, jest to, że chce dzięki temu uniknąć odpowiedzialności karnej. Mandelblit twierdzi też, że Netanjahu przez lata odrzucał kandydaturę obecnego ministra sprawiedliwości Yariva Levina, głównego orędownika reformy, na to stanowisko, gdyż wcale się z nią nie zgadza i ma świadomość konsekwencji.

Inną motywację mają ekstremiści spod znaku Ben-Gvira i Smotricha. Ten pierwszy, dziś piastujący stanowisko ministra bezpieczeństwa narodowego, przez większość swojej politycznej kariery sam miał potężne problemy z wymiarem sprawiedliwości. Sądy izraelskie często orzekały nielegalność działań osadników żydowskich na terenach palestyńskich, a to oni stanowią bazę poparcia dla Ben-Gvira i Smotricha i to na ich bazie tworzone były kahanistyczne bojówki, których działalność izraelskie sądy traktowały jako terrorizm. Wiąże się z tym zresztą poważne niebezpieczeństwo, przed któ-

Od kilku tygodni przeciwnicy reformy urządzają naprawdę masowe demonstracje FOT. MATAN GOLAN/SOPA/GETTY IMAGES

bermudzki

rym przestrzegają przeciwnicy reformy izraelskiego sądownictwa. Chodzi o to, że międzynarodowa percepcja Izraela jako państwa praworządnego z niezawisłymi sądami powodowała, że starania Palestyńczyków, by kierować sprawę przeciwko Izraelowi i jego funkcjonariuszom przed trybunały międzynarodowe, była odrzucana. Sądy izraelskie orzekały bowiem często na korzyść Palestyńczyków, choć jednocześnie zawsze miały na uwadze narodowy interes Izraela i dlatego percepcja Palestyńczyków w tym zakresie jest inna. Istnieje jednak dość powszechne przekonanie, że po reformie sądy będą znacznie bardziej skłonne wspierać osadników i osłaniać ich ataki na Palestyńczyków, co może otworzyć drogę do ingerencji międzynarodowych trybunałów. Zwłaszcza że Ben-Gvir jednocześnie forsuje objęcie karą śmierci przestępstw terrorystycznych, co może otworzyć drogę do masowego jej wyko-

nywania. Tymczasem w dotychczasowej historii Izraela tylko dwie osoby zostały skazane na śmierć, przy czym jedna została pośmiertnie zrehabilitowana, a drugą był Adolf Eichmann.

KONIEC DEMOKRACJI?

Wśród planowanych zmian jest m.in. wprowadzenie uprawnienia Knesetu, czyli izraelskiego parlamentu, do odrzucenia wszelkich orzeczeń Sądu Najwyższego dotyczących legalności ustaw bezwzględna (tj. 61 głosów na 120 członków Knesetu), a nie kwalifikowaną większością. Ponieważ Izrael nie ma konstytucji, więc Sąd Najwyższy orzeka tę legalność na podstawie zgodności z systemem norm określonym jako tzw. Prawa Podstawowe. Oznacza to zatem, że większość parlamentarna będzie mogła uchwalić cokolwiek, a ultraortodoksi i ekstremiści nie ukrywają, że chcą zwiększyć rolę prawa i sądownictwa religijnego, a także ograniczyć prawa

ludności arabskiej, umożliwić deportacje „zdrajców”, wprowadzić immunitet dla funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa itp. Planowane jest również wykluczenie stawiania zarzutów karnych urzędującemu premierowi. Kolejna zmiana dotyczy składu organu odpowiedzialnego za nominacje sędziowskie. Obecnie składa się on z dziewięciu osób: trzech sędziów Sądu Najwyższego, dwóch przedstawicieli adwokatury, dwóch członków wybranych przez Kneset i dwóch członków rządu. Ponadto wybór sędziów Sądu Najwyższego wymaga zgody siedmiu członków tego komitetu. Po zmianach komitet ten ma liczyć 11 członków, z ministrem sprawiedliwości jako przewodniczącym, kolejnymi dwoma członkami wyznaczonymi przez rząd, dwiema osobami wskazanymi przez ministra sprawiedliwości, trzema przedstawicielami Knesetu, przewodniczącym Sądu Najwyższego oraz dwoma sędziami. Da to pełną kontrolę koalicji rządowej nad mianowaniem i odwoływaniem sędziów, a zatem również nad prowadzonymi przez nich sprawami. Kolejne zmiany dotyczą roli doradców prawnych w ministerstwach (mają utracić swoją niezależność), prawa Sądu Najwyższego do orzekania w sprawie „Praw Podstawowych” oraz wykluczenia opierania orzecznictwa na tzw. regule zasadności.

Reakcję opozycji na planowane zmiany dobrze oddaje karykatura, która ukazała się w mediach izraelskich. Na obrazku widać naukowca irańskiego pracującego nad bombą atomową oraz ajatollaha oglądającego w telewizji relację z Knesetu. Naukowiec mówi, że jeszcze trochę, a bomba będzie gotowa, a duchowny odpowiada, że jeszcze trochę i nie będzie potrzebna. Jest w tym niewiele przesady, gdyż zdaniem znacznej części Izraelczyków planowana reforma to koniec demokracji i praworządności w tym kraju i oznacza de facto zamach stanu.

Według sondażu przeprowadzonego w połowie lutego tylko 24 proc. ankietowanych uważa, że rząd powinien zignorować protesty i przeprowadzić reformę bez jakiegokolwiek zwłoki. Ponadto tylko 56 proc. wyborców koalicji rządowej jest przeciwnych protestom. Stosunek do projektu Levina wskazuje jednak na większą polaryzację – 43 proc. pytanym jest jej przeciwnych, podczas gdy 31 proc.

ją popiera. Najnowsze sondaże wskazują też, że gdyby dziś odbyły się wybory, to Netanjahu znów straciłby władzę, a w Izraelu ponownie zapanowałby pat. Jego Likud mógłby liczyć na 26 miejsc, co oznacza stratę sześciu mandatów, i zajęłoby dopiero drugie miejsce za opozycyjnym Yesh Atid. Poza tym koalicjanci Likudu straciliby kolejne trzy mandaty. Ale opozycja pod przywództwem Ja'ira Lapida zdobyłaby tylko 60 mandatów, czyli o jeden za mało, by mieć większość. Pozostałe miejsca zajęliby Arabowie. Tyle że większość parlamentarna nie zamierza przeprowadzać przyspieszonych wyborów, więc to rozważania czysto teoretyczne, wskazujące jednak na spadek poparcia politycznego dla Netanjahu.

MASOWE STRAJKI I DEMONSTRACJE

Od kilku tygodni przeciwnicy reformy wychodzą więc protestować na ulice, przy czym są to naprawdę masowe demonstracje. Największe zgromadzenia odbywają się w soboty, a 4 marca liczba osób, które wyszły na protest, oceniana była na 400 tys. w całym kraju, w tym 160 tys. w Tel Awiwie. Cała żydowska populacja Izraela to raptem 7 mln. W czwartek 2 marca protesty organizowane były w ramach tzw. dnia zakłóceń i polegały na masowych strajkach m.in. uczniów i rodziców w placówkach edukacji, pracowników medycznych w szpitalach itp., a także blokadach dróg i demonstracjach. Do szczególnego incydentu doszło z udziałem Sary Netanjahu, która nie zważając na zapowiedź protestów, postanowiła wybrać się akurat tego dnia do fryzjera w centrum Tel Awiwu. W rezultacie wściekli protestujący otoczyli jej samochód i żona premiera musiała być ewakuowana.

Policja, składająca się głównie z oddziałów podległych Ben-Gvirowi, zareagowała tego dnia bardzo agresywnie, używając armatek wodnych, granatów ogłuszających, a nawet petard rzucanych w protestujących. Takie środki zwykle są stosowane wyłącznie w stosunku do Palestyńczyków. Netanjahu bronił jednak takiej reakcji, oskarżając opozycję o wzniesienie anarchii, policja zaś twierdziła, że została zaatakowana kamieniami. „Dzień zakłóceń” ma być przy tym organizowany co tydzień. Ale to nie

wszystko. W ramach protestu izraelscy rezerwiści zaczęli odmawiać stawiania się na okresowe ćwiczenia. Dotyczy to np. 37 (z 40) pilotów 69. Eskadry F-151, kluczowej z punktu widzenia bezpieczeństwa Izraela. Opozycja nie poparła jednak takiej formy protestu, a jeden z jej liderów – Benny Gantz, były szef izraelskiej armii – wezwał wszystkich rezerwistów do bezwarunkowego wypełniania swoich obowiązków.

POGROM PALESTYŃCZYKÓW

Uczestnicy „dnia zakłóceń” krytykowali policję również dlatego, że jej reakcja była nieporównywalna z jej postawą wobec wydarzeń, które rozegrały się 26 lutego w palestyńskim miasteczku Hawara, niedaleko Nablusu. Uzbrojone bojówki osadników żydowskich podpaliły tego dnia setki palestyńskich domów, a także szkoły, sklepy, samochody itp. Wszystko przy całkowitej bezczynności podlegających Smotrichowi i Ben-Gvirowi oddziałów policji i wojska. Była to reakcja na dokonane wcześniej tego samego dnia zabójstwo dwóch Izraelczyków w pobliskim osiedlu żydowskim Har Bracha. W czasie tych wydarzeń Bezael Smotrich wzywał na Twitterze do „zrównania z ziemią” Hawary i wycofał się z tego dopiero po ponad tygodniu pod wpływem nacisków ze strony Netanjahu oraz międzynarodowego oburzenia, w tym ze strony USA, ONZ, Jordanii, Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz amerykańskich środowisk żydowskich.

Generał Yehuda Fuchs, szef Centralnego Dowództwa izraelskich sił zbrojnych (IDF), określił te wydarzenia mianem „pogromu”, nawiązując do zorganizowanych napaści na tle antysemickim, do których dochodziło w Imperium Rosyjskim na przełomie XIX i XX w. Niemniej tylko kilkunastu sprawców zostało zatrzymanych, przy czym sąd nakazał ich zwolnienie i ostatecznie tylko dwóch znalazło się w specjalnym areszcie zarządzanym przez ministra obrony Yoava Gallanta. Ta ostatnia kwestia doprowadziła zresztą do sporu wewnątrz rządu między Gallantem a Ben-Gvirem naciśkającym, by wszyscy zatrzymani zostali zwolnieni i pozostali bezkarni.

Kilka dni później osadnicy żydowscy znów zaatakowali wioski palestyńskie, a podlegli Ben-Gvirowi funkcjonariusze

nie tylko im w tym nie przeszkadzali, lecz także jeszcze ich osłaniali. Kahaniści wciąż odgrają się też, że wrócą do Hawary i spalą ją doszczętnie.

Wydarzenia w Hawarze nie były jednak jednorazowym incydentem, lecz kolejnym etapem narastającej od wielu tygodni spirali przemocy, w której w ciągu pierwszych dwóch miesięcy 2023 r. zginęło już 62 Palestyńczyków i 14 Izraelczyków. Na przykład 27 stycznia palestyński napastnik zastrzelił siedmiu Izraelczyków w synagodze Neve Yaakov. Natomiast w końcu lutego w ataku izraelskiej armii przeciwko bazom Jaskini Lwa w Nablusie zginęło 11 osób, a ponad 100 zostało rannych. Jaskinia Lwa to organizacja terrorystyczna o luźnej strukturze, złożona z nastoletniej młodzieży palestyńskiej, niewidzącej przed sobą żadnych perspektyw poza zbrojnym oporem. Już od miesięcy mówi się, że aktywność tego ugrupowania prowadzi do wybuchu III intifady.

Zarówno plany reformy sądownictwa, jak i obecność w izraelskim rządzie antyarabskich rasistów i ekstremistów komplikuje relacje Izraela z USA. Ta druga kwestia może też pogrzebać proces normalizacji stosunków izraelsko-arabskich prowadzonych w ramach Porozumień Abrahamowych. Wielu polityków rządzącego Likudu, a także liderzy służb takich jak Szin Bet, mają świadomość zagrożeń związanych z aktywnością Smotricha i Ben-Gvira. Dotyczy to również samego Beniamina Netanjahu, który potrzebuje wsparcia USA w swej polityce wobec Iranu, a Porozumienia Abrahamowe są jego oczkiem w głowie. Ale jednocześnie Netanjahu wie, że jego polityczne „być albo nie być” (a prawdopodobnie również pozostawanie na wolności) zależy od poparcia ze strony Smotricha, Ben-Gvira oraz ultraortodoksów. Dlatego jest coraz więcej wątpliwości, kto nad kim panuje: Netanjahu nad swoimi koalicjantami czy też oni nad Netanjahu.

Jedno jest pewne: jeśli Netanjahu nie wycofa się z planów przeprowadzenia reformy sądownictwa, puszczonych na razie ekspresową ścieżką legislacyjną w Knesecie, to protesty nie ustaną, a przecież każdy Izraelczyk ma wojskowe przeszkolenie. No może prawie każdy, bo Ben-Gvir akurat nie ma. Nie został przyjęty do armii za ekstremizm.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Franciszkowe brnięcie w ekstremalny dialogizm nie jest niczym nowym. Już w styczniu 2016 r. Stolica Apostolska pokazała światu głęboko skandaliczne nagranie. „Wierzę w Buddę” – powiedziała otwierająca krótki materiał buddyjska duchowna. „Wierzę w Boga” – stwierdził ukazany następnie rabin. „Wierzę w Jezusa Chrystusa” – stwierdził katolicki ksiądz. „Wierzę w Boga, Allaha” – powiedział imam. Widzom ukazano następnie samego papieża. „Wielu myśli różnie, czuje różnie – szukając Boga albo spotykając się z nim na różne sposoby” – mówił, a kamera ukazywała, jak przyjmuje od buddyjskiego mnicha figurkę Buddy. Franciszek stwierdził następnie, że w obliczu „tylu religii” mamy wszyscy jedną tylko pewność – „jesteśmy dziećmi Boga”. Wyznawcy różnych religii zadeklarowali następnie: „Wierzę w miłość”, a papież podsumował: „Wierzę w wasze modlitwy”. Widz oglądał na koniec, jak buddystka, rabin, ksiądz oraz imam prezentują na wyciągniętych dłoniach figurkę dzieciątka Jezus, figurkę Buddy, islamski sznur modlitewny (subhę) oraz żydowską menorę.

Opisane wyżej nagranie nie wywołało wówczas większego poruszenia w Kościele; odnotowały je głównie nieliczne prawicowe media. Podobne, a nawet jeszcze głębsze milczenie panuje dziś, gdy papież sfinalizował swój wielki projekt – budowę Domu Rodziny Abrahamowej. W połowie lutego w stolicy Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Abu Zabi, odbyła się huczna ceremonia otwarcia świątyni składających się na cały ten kompleks. Na miejscu byli przedstawiciele Watykanu, w tym kard. Miguel Ángel Ayuso Guixot, prefekt Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego, oraz wikariusz apostolski Arabii Południowej Paolo Martinelli; towarzyszyli im reprezentanci świata judaizmu oraz islamu. Główną rolę odgrywał prezydent ZEA, szejk Muhammad ibn Zajid al Nahajjan, jako gospodarz i jeden z głównych sponsorów Domu. W przemówieniach padały słowa dotyczące pokoju, braterstwa i współpracy. Projekt został zrealizowany przez Wysoki Komitet na rzecz Ludzkiego Braterstwa – organizację, w której skład wchodzi duchowni katolicki, muzułmanie, Żydzi oraz ateści. Komitet

zawiązano w 2019 r. dla promocji treści „Dokumentu o ludzkim braterstwie”, który Franciszek podpisał z Wielkim Imamem Ahmadem al-Tayebem. To w tamtym tekście padły słowa, zgodnie z którymi „pluralizm i różnorodność religii” stanowią „wyraz mądrej woli Bożej, z jaką Bóg stworzył istoty ludzkie”.

dialogowe. Nikt nie jest ważniejszy od nikogo. Pełne braterstwo, pełna równość.

PAPIEŻ PROMUJE HEREZJĘ?

Podsumujmy krótko opisane działania papieża. W 2016 r. Ojciec Święty stwierdza, że jedyna pewność, jaką mają wyznawcy różnych religii, to dziecięctwo

Papieski Dom Relatywizmu



Paweł Chmielewski

W Abu Zabi został oficjalnie otwarty Dom Rodziny Abrahamowej – swoisty „kompleks świątynny” złożony z katolickiego kościoła, meczetu i synagogi. Inicjatywa bazuje na niesławnym i błędnym twierdzeniu Franciszka, jakoby Bóg życzył sobie istnienia różnych religii. Kompleks ma służyć budowie powszechnego braterstwa i globalnego pokoju – zgodnie z ideami oświeceniowych racjonalistów, którzy w chrześcijaństwie, islamie i judaizmie upatrywali trzech odmiennych dróg wyrażających tę samą prawdę. Kościół wielokrotnie potępiał tę koncepcję, ale dla obecnej Stolicy Apostolskiej zdaje się to nie mieć żadnego znaczenia. Jak to możliwe?

Od 1 marca kompleks jest otwarty dla zwiedzających. Jeżeli czytelnik znajdzie się kiedyś w Abu Zabi, ujrzy trzy budynki w kształcie sześcianu, zewnętrznie bardzo do siebie podobne. To kościół pw. św. Franciszka z Asyżu, meczet im. Wielkiego Imama Ahmada al-Tayeba oraz synagoga im. Majmonidesa. Świątynie wewnątrz są niemal puste, upodobnione do siebie w maksymalnym stopniu, różnią się tylko na tyle, na ile to absolutnie konieczne dla specyficznych potrzeb kultowych. Łączą je wspólny ogród oraz centrum

Boże, a ostatecznie religie te sprowadzają się do różnych form „wiary w miłość”. Stanowi to oczywistą sugestię indyferentyzmu religijnego, co jest herezją wielokrotnie potępianą przez Kościół. W 2019 r. papież deklaruje, że fakt, iż ludzie wyznają różne religie, nie jest skutkiem grzechu czy błędów, ale wyrazem pragnienia Boga. To formalnie stwierdzenie heretyckie; papież nawet przyznał, że tak można by je rozumieć, ale – jak tłumaczył – „nie o to mu chodziło”. A jednak w 2023 r. z inicjatywy Franciszka otwarty zostaje

■ międzyreligijny kompleks, który w najbardziej wyrazistej formie wyraża tę samą ideę. Równość katolicyzmu, który jest prawdziwą wiarą; judaizmu, który odrzuca Chrystusa; islamu, który chrześcijan w Koranie wprost przeklina. Jak to możliwe? A przede wszystkim dlaczego wokół tych działań i wydarzeń panuje niemal całkowite milczenie? Jest prawda, że Kościół od Soboru Watykańskiego II znajduje się na ścieżce „dialogu”, ale nawet najbardziej wątpliwe i mętne dokumenty soborowe mówią co najwyżej o szacunku, współpracy czy politycznej wolności religijnej – ale nie o równości religii. To przecież herezja.

Po ogłoszeniu deklaracji z Abu Zabi w 2019 r. kard. Gerhard Müller powiedział, że nie można jej odczytywać „dosłownie”, bo gdyby potraktować ją literalnie, to byłaby to prawdziwa „bomba”. Rzeczywiście – na podstawie opisanych wyżej działań i inicjatyw można byłoby uznać, że Franciszek katolikom głosi Chrystusa, ale światu prezentuje się jako radykalny promotor relatywizmu i indyferentyzmu religijnego, innymi słowy – jako promotor herezji. Uznanie tego za fakt rzeczywiście byłoby „bombą”. Dlatego chyba media katolickie na całym świecie wołają na ten temat po prostu milczeć. Pytanie tylko, czy jest to postawa uczciwa? W oczach każdego trzeźwego zewnętrznego obserwatora takie inicjatywy jak Dom Rodziny Abrahamowej oznaczają przecież jedno: afirmację równości przynajmniej tych trzech monoteistycznych religii.

NIC NOWEGO

Franciszek nie jest oczywiście autorem tych idei. W 1779 r. niemiecki mason Gotthold Ephraim Lessing ogłosił poemat „Nathan der Weise” (pol. „Natan mędrzec”). W dziele opisano dialog między żydem Natanem a muzułmaninem Saladynem. Natan przytacza historię właściciela pięknego pierścienia, który miał trzech synów. Nie chciał wyróżnić tylko jednego z nich, pozostawiając mu pierścień w spadku. Zlecił rzemieślnikowi wykonanie dwóch kopii. Były tak podobne do oryginału, że synowie nie mogli rozpoznać, który jest którym. „Dowiedz, który z trzech pierścieni prawdziwy, było już niepodobieństwem, prawie zupełnie takim, jakim dla nas powiedzieć, która wiara jest prawdziwą” – powiada Natan, pouczając Saladyna, iż tak jak każdy syn musiał w efekcie przyjąć, iż



jego pierścień jest równie „prawdziwy” jak braci – tak i my musimy przyjąć, że nasza religia jest równie „prawdziwa” jak cudza.

Filozoficzną podbudowę pod tego rodzaju koncepcję wyłożył wkrótce Immanuel Kant w dziele „Die Religion innerhalb der Grenzen der bloßen Vernunft” (pol. „Religia w obrębie granic czystego rozumu”). Myśliciel z Królewca wyjaśnił w nim, dlaczego człowiek rozsądny winien traktować z pobłażaniem konkretne formuły i zewnętrzne przejawy religijności, rozumiejąc, że to tylko sztafaż dla niewykształconego tłumu, bo esencją religii jest nauka moralna gwarantująca pokojowe współzycie między ludźmi. Przez cały XIX w. te idee rozwijali liberalni protestanci autorzy, ostatecznie doprowadzając do zaabsorbowania konceptu pluralizmu religijnego przez część katolików. Kościół skrytykował ich i wielokrotnie potępił jako heretyków, uznając relatywizm i indyferen-

tyzm religijny za jeden z głównych trzonów konglomeratu heretyckiego, jakim jest modernizm. Błędy pluralizmu religijnego potępił już Pius VIII w encyklice „Traditi humilitati” z 1829 r. Powtórzyli to Grzegorz XVI w „Mirari vos” z 1832 r., Pius IX w „Quanta Cura” i „Syllabus errorum”, wreszcie za Piusa X Święte Oficjum w „Lamentabili sane exitu” oraz sam papież w „Pascendi Dominici gregis” z 1907 r.

Te potępienia nie były jednak w pełni skuteczne. Dlatego w 1928 r. Pius XI ogłosił encyklikę „Mortalium animos”, którą w całości poświęcił problematyce prawdziwości religii katolickiej. Pisał w niej o „błędnym zapatrywaniu, że wszystkie religie są mniej lub więcej dobre i chwalebne” oraz że religie „w równy sposób, chociaż w różnej formie, ujawniają i wyrażają nasz przyrodzony zmysł, który nas pociąga do Boga”. Wyznawcy tych idei – pisał papież – „nie tylko są w błędzie... lecz odstępują



Świątynie są bardzo do siebie podobne. To kościół pw. św. Franciszka z Asyżu, meczet im. Wielkiego Imama Ahmada al-Tajeba oraz synagoga im. Majmonidesa. FOT. ADJAVE ASSOCIATES

również od prawdziwej wiary”. „Z tego jasno wynika, że od religii przez Boga nam objawionej odstępuje zupełnie ten, ktokolwiek podobne idee i usiłowania popiera” – podkreślił Ojciec Święty. Niektórzy mogą pomyśleć, że to nauczanie przedsoborowe, więc nie powinno nas dziś interesować. Taki pogląd jest oczywiście błędny, stanowi przejaw heretyckiego myślenia, jakoby wraz z Soborem Watykańskim II zaistniał jakiś nowy Kościół, grubą kreską oddzielający się od swojej przeszłości. Prawdy dogmatyczne nie podlegają zmianom. Papież XIX i XX stulecia ogłaszając, że jest herezją twierdzić, iż różne religie są równoprawnymi ścieżkami do Boga, nie ustanawiali arbitralnie jakiegokolwiek politycznej linii katolicyzmu, ale wyrażali najgłębszą treść naszej wiary, którą Bóg objawił już w Dekalogu, a którą Chrystus w Ewangeliach wielokrotnie podejmował. Kościół głosił ją od samego początku. Męczennicy

pierwszych wieków przelewali krew, odmawiając zapalenia kadzidła przed fałszywym bogiem. Nawet jednak i taki katolik, który cierpi na de facto schizmatyczną awersję do nauczania przedsoborowego, potępienie pluralizmu religijnego znajdzie w dokumentach późniejszych, zwłaszcza w deklaracji „Dominus Iesus” z 2000 r., którą zatwierdził i uprawomocnił św. Jan Paweł II. Mówiąc krótko: pluralizm, indyferentyzm i relatywizm religijny były, są i zawsze będą heretyckie.

ZBAWIENIE TYLKO W CHRYSZCIE

Jak mamy zatem oceniać działania Franciszka? Zrezygnujmy z sofistyki, jeżeli nie będzie chciał iść w ślady Müllera, proponując „niedostawne” odczytywanie słów i działań papieża, będzie próbował bronić każdego jego słowa i kroku. Powie, że w 2016 r. deklarując, iż „jedyną pewnością” jest dziecięstwo Boże, papież

opisywał tylko niedoskonałe rozumienie niekatolików. W 2019 r., mówiąc o Bożym pragnieniu różnorodności religijnej, miałby na myśli „dopuszczającą” wolę Boga, a nie wolę „pozytywną”. Dom Rodziny Abrahamowej uzna za piękny i bezpieczny wyraz dialogu, bo przecież każda świątynia jest osobna. Gdzie zatem problem?

Rzecz jednak w tym, że jako katolicy nie kierujemy się pokrętną sofistyką, ale umiłowaniem prawdy, którą jest wcielenie w Jezusie Słowo Boże. Urząd biskupa Rzymu polega na „utwierdzeniu braci w wierze” (por. Łk 22, 32). Opisane działania bynajmniej nie utwierdzają w wierze w jedność zbawczą Zmartwychwstałego, ale rzucają na nią co najmniej poważny cień lub zgoda ją podważają. Misją Kościoła nie jest przemawianie do świata mętnym językiem, ale głoszenie wszystkim bez wyjątku, że zbawienie jest tylko w Chrystusie (por. Mk 16, 15–16). Wyznawcy innych religii oraz ateści obserwujący poczynania Franciszka siłą faktu muszą uznać, że papież ów postrzega chrześcijaństwo jako jedno ze źródeł wiedzy o Bogu, za ścieżkę, którą można iść tak samo jak i innymi ścieżkami.

W 2020 r. papież skierował do wszystkich ludzi na świecie encyklikę „Fratelli tutti”. Ani razu nie stwierdził w niej, że zbawienie jest tylko w Chrystusie. Pan Jezus został przedstawiony w tym dokumencie wyłącznie jako duchowy „mistrz chrześcijan”. W encyklice obok świętych Ireneusza z Lyonu i Tomasza z Akwinu zacytowano m.in. Talmud, żydowsko-protestanckiego relatywistę, a wielokrotnie jednego z imamów. Całość papież zamknął „modlitwą do Stwórcy”, którą odmawiać mogą wspólnie wyznawcy każdej religii. Krok po kroku, decyzja po decyzji wezwanie do wiary w Chrystusa jest zamieniane na wezwanie do wiary w Boga. To jednak nie jest już chrześcijaństwo, ale masońska religia Lessinga.

Nie wiem jak państwo, ale ja, jeżeli będę kiedyś w Abu Zabi, nie przekroczę progu Domu Rodziny Abrahamowej. Niech papież Franciszek i jego dialogiczni kardynałowie mówią, co chcą; byłoby to dla mnie równoznaczne z wyrzeczeniem się wiary w objawioną przez Boga prawdę: że tylko w Jezusie Chrystusie znaleźć możemy zbawienie. Tego zawsze nauczał Kościół – i w to chcę wierzyć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

Katolicy jak Al-Kaida?



Piotr Włoczyk

Oddział FBI w Wirginii wziął na celownik „radykalnych katolickich tradycjonalistów”. Czy to zapowiedź szerszego uderzenia w chrześcijan sprzeciwiających się cywilizacyjnemu dryfowi na lewo?

Człowiekiem, który rozpoczął tę burzę, jest Kyle Seraphin, emerytowany funkcjonariusz FBI, w którego ręce wpadło pismo sporządzone przez funkcjonariuszy pracujących w oddziale biura śledczego w Richmond w Wirginii. Trzeba przyznać, że niezbyt finczyjny tytuł tej notatki zupełnie nie oddaje jej sensacyjnej treści: „Zainteresowanie brutalnych ekstremistów katolicką, radykalnie tradycjonalistyczną ideologią niemal na pewno daje nowe okazje do przeciwdziałania”.

Dokument, datowany na 23 stycznia 2023 r., stwierdza, że FBI w Wirginii powinno rozpocząć inwigilację środowiska nazwanego skrótowo RTC, czyli Radical-traditionalist Catholic (Radykalnie tradycjonalistyczny katolicyzm). W notatce tej czytamy, że brutalni przestępcy, motywowani nienawiścią rasową i etniczną, „nie przestają uważać ideologii RTC za atrakcyjną i również w przyszłości będą starali się nawiązać kontakt z członkami RTC, zarówno w sposób wirtualny, poprzez media społecznościowe, jak i osobiście w miejscach modlitwy”.

FBI z Wirginii jako dowód na „przenikanie się skrajnie prawicowego ruchu białych nacjonalistów z RTC” podaje m.in. „wrogość wyrażaną w mediach społecznościowych wobec zwolenników praw aborcyjnych”. Kolejnym dowodem na rzekome niebezpieczeństwo grożące Republice ze strony „radykalnych katolickich tradycjonalistów” ma być oczywiście ich głęboki sprzeciw wobec nazywania związków homoseksualnych małżeństwami.

Autorzy notatki postulują w tym dokumencie, by rozpocząć konkretne działania w celu okiełznania środowiska RTC. Miałoby nimi być zorganizowanie „źródeł” informacji w parafiach branych pod lupę śledczych. – Moja reakcja była do przewidzenia. Jestem katolikiem. To porażające – powiedział Seraphin na antenie Fox News. – Moi przyjaciele kochają Mszę łacińską, chodziłem do tradycjonalistycznej szkoły, gdzie uczyłem się łaciny. To wydaje się kompletnie irracjonalne, ale obecnie FBI jest tak zdesperowane, by znaleźć „białych suprematystów”, że biorą się za Kościół katolicki. Znaleźli furtkę na

obrzeżach katolicyzmu – jak im się wyda – za pomocą której będą mogli wziąć się generalnie za chrześcijan, obwołać ich przestępcami i terrorystami.

Cały ten dokument napisany został przez kogoś, kto uważa, że prawo do aborcji to coś wielkiego, co trzeba bronić, a agendę LGBT należy wepchnąć ludziom na siłę do gardeł. A przecież to wszystko stoi w jawnej sprzeczności z podstawowymi założeniami katolicyzmu.

KATOLIK W BIAŁYM DOMU

Upublicznienie informacji o notatce wymierzonej w katolików rozgrzało do czerwoności amerykańską prawicę. Republikanie w Kongresie – nie tylko katolicy – domagali się wyjaśnień od przełożonych funkcjonariuszy FBI z Wirginii. Czy biuro śledcze zamierza od teraz – za rządów prezydenta, który przedstawia się jako katolik – traktować wiernych niemal jak sympatyków Al-Kaidy?

Republikański senator Josh Hawley z Missouri grillował na początku marca podczas debaty w Kongresie prokuratora generalnego Merricka Garlanda, który



FOT. ADAM STICK

w FBI i biuro zaczyna traktować katolików jako potencjalnych terrorystów jedynie z uwagi na ich wiarę”.

W ostrych słowach odnieśli się do tej sprawy amerykańscy biskupi katolicy. Zawartość notatki została gremialnie potępiona przez Konferencję Katolickich Biskupów USA jako „profilowanie pod kątem religijnym”, bazujące na „wątpliwych źródłach”.

FBI po tak zmasowanej krytyce tej notatki stwierdziło, że był to wybrzyk nieodzwierciedlający stanowiska biura wobec katolików, i uznało, że pismo to nigdy nie powinno powstać.

Wśród wielu problemów wiążących się z tym skandalicznym dokumentem szczególne zdziwienie budzą źródła, na których funkcjonariusze FBI z Richmond oparli swoje rekomendacje. W notatce znalazła się bowiem lista organizacji katolickich, które zostały uznane za szczególnie niebezpieczne. Wśród nich umieszczono m.in. gazetę „The Remnant”, jedno z najstarszych pism katolickich tradycjonalistów z USA (ukazuje się ono od 1967 r.). Na jakiej podstawie FBI z Wirginii stwierdziło, że pismo to stanowi potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa? Czy uprawdopodobniały to wyniki śledztwa przeprowadzonego przez FBI?

Otóż nie, funkcjonariuszom biura wystarczyła do tego rekomendacja skrajnie lewicowej organizacji Southern Poverty Law Center (SPLC), która zajmuje się m.in. walką z „mową nienawiści”. Organizacja ta angażuje się wprawdzie w sprawy dotyczące ewidentnie rasistowskich zachowań, ale przez lata SPLC wyrobiła sobie markę jako grupa aktywistów, którzy zajmują się głównie tropieniem przejawów „nienawiści” w życiu publicznym, która to „nienawiść” może oznaczać dokładnie wszystko – od sprzeciwu wobec aborcji, przez potępienie legalizacji „małżeństw” homoseksualnych, aż do przeciwstawiania się aktywistom dokonującym „tranzykcji płciowych” u dzieci. Według ekspertów SPLC katolicy identyfikowani jako RTC stanowią „największą pojedynczą grupą zjadających antysemitów w Ameryce”.

NIEBEZPIECZNY RÓŻANIEC

Gwoli ścisłości: opisywana notatka robi rozróżnienie między „radykałnymi tradycjonalistycznymi katolikami” a „zwykłymi” katolickimi tradycjonalista-

mi. Fragment, w którym funkcjonariusze FBI z Richmond wprowadzają to rozróżnienie, został jednak najwyraźniej uznany za nieistotny zarówno przez amerykańskich biskupów, jak i polityków Partii Republikańskiej i konserwatywnych publicystów, którzy treść notatki uznali za niebezpieczną z punktu widzenia wszystkich katolików, a nawet szerzej – wszystkich amerykańskich chrześcijan. I faktycznie, z treści tego dokumentu wynika, że wyrażanie sprzeciwu wobec aborcji czy agendy LGBT jest uznawane przez jego autorów za „radikalizm”, więc właściwie każdy wierzący katolik wpada do kategorii „radykałowie”.

„Jeżeli nie liczyć majaczenia z »Kodu Leonarda da Vinci«, to najbardziej niebezpieczną rzeczą, jaką radykalny tradycjonalista może zrobić, jest pozostawienie gdzieś różańca, na którym ktoś mógłby się pośliznąć – napisał w „The Washington Post” Hugh Hewitt, konserwatywny komentator, autor bardzo popularnego radiowego talk-show. – Oni rzeczywiście sprzeczą się z papieżem Franciszkiem (a także z papieżem Benedyktem i św. Janem Pawłem II oraz w zasadzie z każdym, kto nie uważa, że Sobór Watykański II wyrządził olbrzymie szkody). Ale ich sprzeciw wyraża się w pisaniu książek, esejów i listów, w modlitwach, a także w uczestniczeniu w tradycyjnej Mszy łacińskiej”.

Mimo zapewnień władz federalnych, że notatka FBI z Richmond tak naprawdę powinna zostać uznana za niebyłą, przedstawiciele środowiska katolickich tradycjonalistów na długo zapamiętają ten skandal.

„To jest twardy dowód potwierdzający, że katolicy nie mają jednak paranoi, gdy wyczuwają wrogość rządu wobec osób wierzących. Ta sprawa pokazuje równocześnie paranoję klasy politycznej, jeżeli chodzi o wartości i sposób życia osób wierzących – napisał na portalu Life Site News ks. Michael P. Orsi, wykładowca Ave Maria School of Law w Naples na Florydzie. – Katolicy są antyrządowi? Katolicy są białymi suprematystami? Naprawdę? Dodatkowo to wydarzenie pomogło wyjaśnić, czym w rzeczywistości jest »tradycyjny« katolicyzm. Tak naprawdę bowiem istnieje tylko jeden rodzaj katolicyzmu: »tradycyjny« katolicyzm”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

nadzoruje FBI. Przyciśnięty do muru Garland przyznał, że antykatolicka notatka biura śledczego jest „wstrząsająca” i że coś takiego nigdy nie może się powtórzyć. Prokurator generalny nie był jednak w stanie dokładnie określić, ile „źródeł informacji” FBI posiada w instytucjach kościelnych w USA.

W liście czytamy, że FBI zaczyna traktować katolików jako potencjalnych terrorystów tylko z uwagi na ich wiarę

Notatka z lokalnego biura FBI została uznana przez prokuratorów generalnych z 20 stanów rządzonych przez republikanów, m.in. z Wirginii, za na tyle groźną, że wysłali oni w tej sprawie list protestacyjny do Departamentu Sprawiedliwości oraz do dyrektora FBI Christophera Wraya. W liście tym czytamy, że „antykatolicki fanatyzm zdaje się rozpleniać

Nietykalni.

Sprawa Murdaughów



Za zamordowanie żony Maggie i syna Paula Alex Murdaugh został skazany na dożywotnie więzienie

FOT. JOSHUA BOUCHER/THE STATE/GETTY IMAGES



Joanna Bojańczyk

Od czasu procesu O.J. Simpsona żadna sprawa nie wzbudziła takiego zainteresowania mediów. Trwający zaledwie sześć tygodni proces śledziła cała Ameryka. Jeszcze zanim 2 marca zapadł wyrok, historię wypadków rodziny Murdaughów z Karoliny Południowej opowiedziały w swoich serialach Netflix i HBO

Decyzja ławy przysięgłych była jednogłówna: winny. Za zamordowanie żony Maggie i syna Paula Alex Murdaugh został skazany na dożywotnie więzienie bez prawa przedterminowego wyjścia. Zbrodnia

miała miejsce w rodzinnej posiadłości Islandton w hrabstwie Hampton. Skazany, płacząc, wypierał się wszystkiego, twierdząc, że jest niewinny. W swoim procesie bronił sam siebie.

Jeszcze rok wcześniej był to wysoki, otyły, zadowolony z siebie mężczyzna pewien swojej władzy, pozycji i pieniędzy. Teraz przed sądem stał skuty kajdankami, wychudły mężczyzna ubrany w więzienny kombinezon. Więzienie odchudziło go, ale nie dodało pokory. Dramatyczny upadek człowieka, który uważał, że może wszystko.

Był czwartym pokoleniem prawniczej rodziny piastującej ważne funkcje w swoim okręgu. W 1920 r. prapradziadek Alexa Randolph Murdaugh założył kancelarię adwokacką i wkrótce został wybrany na prokuratora generalnego pięciu hrabstw. Służył na tym stanowisku przez 20 lat, zginął w katastrofie kolejowej. Rolę ojca przejął syn Randolph Murdaugh Jr i funkcję swoją piastował przez 46 lat, aż do przejścia na emeryturę. Randolph Murdaugh III, ojciec Alexa, kontynuował

pracę na tym stanowisku, pracując aż do emerytury w roku 2006. Portrety dynastii Murdaughów – ojca, dziadka i pradziadka, sędziów i prokuratorów – wiszą w sali, gdzie odbywa się proces Alexa. On sam nie ubiegał się o stanowisko prokuratora. Pomagał ojcu i sam czasem występował jako prokurator wolontariusz.

Proces uchylił drzwi do niewyjaśnionych spraw z przeszłości. Zostały zamiecione pod dywan, bo klan stanowił prawo w regionie Lowcountry w Karolinie Południowej. Stanowił prawo, ale był ponad prawem. Murdaughowie mieli w kieszeni urzędników i policję. Byli nietykalni. W niewielkim Hampton nikt nie śmiałyby się im sprzeciwić.

Ich dom leży na terenie 500-hektarowej ogrodzonej posiadłości leśnej, w oddaleniu od innych zabudowań. Dom, lotnisko, samolot, łódź. Jednak od pewnego czasu w pozornie zgodnym związku Alexa i Maggie nie dzieje się dobrze. Czy Maggie wiedziała, że mąż jest od 20 lat uzależniony od opioidów, na które wydaje 50 tys. dol. tygodniowo? Czy wiedziała o jego coraz

bardziej podejrzanych operacjach finansowych i dlatego zamieszkała osobno?

W październiku 2021 r. Alex zostaje aresztowany. Zarzuty: oszustwa finansowe na ponad 8 mln dol. Wkrótce te zarzuty okażą się wierzchołkiem góry lodowej.

MORDERSTWO. CZERWIEC 2021

7 czerwca 2021 r., późno wieczorem, policja otrzymuje telefon. – Zamordowano moją żonę i syna – woła dramatycznym głosem Alex Murdaugh. Patrol przybywa do rezydencji. Ciała znajdują się w oddale od domu, w pobliżu bud dla psów. Na zwłokach rany z broni palnej.

Zapytany, gdzie przebywał, kiedy dokonano zbrodni, Alex twierdzi, że odwiedzał matkę. Potem przyjechał, szukając żony, i znalazł ciała.

Rozpoczyna się śledztwo. Zaowocuje kolejnymi dochodzeniami, tym razem w sprawie trzech zgonów w otoczeniu jego rodziny, których do końca nie wyjaśniono.

Na razie Alex jest wolny. Proces o morderstwo rozpocznie się po kilku miesiącach od aresztowania za oszustwa finansowe w styczniu 2023 r. Koronnym dowodem oskarżenia o najcięższą zbrodnię jest filmik ze Snapchata, który Paul zrobił chwilę przed zbrodnią i rozesłał do znajomych. Są na nim Alex Murdaugh i Maggie. Chwilę po jego nagraniu Maggie i Paul zostali zastrzeleni. Ten dowód przekonał ławę przysięgłych. Wezwany przez sąd przedstawiciel Snapchata zeznał, że filmik nie został zmanipulowany.

Alex twierdzi, że w czasie, kiedy dokonano zbrodni, był u matki starsuszki cierpiącej na demencję. Pielęgniarka starszej pani Murdaugh twierdziła, że Alex istotnie odwiedził matkę tego wieczora, ale jego wizyta trwała ok. 15–20 minut. Potem Murdaugh usiłował przekonać opiekunkę, żeby zeznała, że był u matki dłużej. Jednak prokuratorzy pokazali inny dowód, że Murdaugh kłamie: zdjęcia Alexa, który przed zabójstwem i po nim nosi dwie różne koszule.

WRZESIEŃ 2021

Kilka miesięcy po morderstwie, we wrześniu 2021 r., Alex Murdaugh zgłasza na policję dziwne wydarzenie. Twierdzi, że ktoś próbował go postrzelić, gdy zmieniał oponę na poboczu wiejskiej drogi. Ale rana z tyłu głowy, którą pokazuje na dowód swojej opowieści, jest płytka,

nie stanowi zagrożenia dla życia. Wkrótce wszystko okazuje się kłamstwem. Po dwóch dniach Murdaugh przyznaje się, że wynajął dalekiego kuzyna, aby upozerował jego morderstwo. Po co to zrobił?

Przeczuwając, że sieć wokół niego zaczyna się zapętląć, przygotowywał odwody. Jego syn Buster mógłby otrzymać ubezpieczenie na życie. Nietrudno było dowiedzieć winy, zwłaszcza gdy Curtis Edward Smith, kuzyn Alexa, wyznał, że został wynajęty i opłacony.

A teraz cofnijmy się w czasie o kilka lat. Do wypadków, które zaszły w pobliżu Alexa Murdaugh i jego rodziny.

LIPIEC 2015

Ciało Stephena Smitha zostało znalezione na drodze Sandy Run Road niedaleko Hampton. Leżał z podwinietą ręką i sporą raną głowy. Smith, student pielęgniarstwa, wracał samochodem do domu, zabrakło mu benzyny. Co się stało później? Policja początkowo uznała to za potrącenie. Dziwne, bo na drodze nie było ani śladów hamowania, ani śladów lakieru czy szkła. W akcie zgonu jako przyczynę śmierci podano „ranę zadaną tęym narzędziem”. Mimo tego śledztwa nie podjęto.

Rodzina chłopca się nie poddała. Matka próbowała szukać prawdziwej przyczyny wypadku, a może zabójstwa. Stephen nie ukrywał, że jest gejem, koledzy twierdzili, że był w związku homoseksualnym z Busterem, starszym synem Alexa Murdaugh.

W czasie procesu Alexa matka Stephenowi mówi: „Ława przysięgłych przejrzała wszystkie kłamstwa Murdaughów”.

Śledztwo w sprawie śmierci Stephena trwa.

LUTY 2018

Gloria Satterfield przez 25 lat pracowała dla rodziny Murdaughów. Była ukochaną nianią Bustera i Paula. Paul w portfelu nosił jej zdjęcie, nie zdjęcie matki. W lutym 2018 r. Maggie Murdaugh zadzwoniła na policję, zgłaszając, że Gloria spadła ze schodów, bo popchnął ją pies. Jest ranna w głowę, krwawi, jest nieprzytomna. Zabrano ją do szpitala, gdzie zmarła po kilku dniach od wypadku, nie odzyskawszy przytomności. Alex obiecał wypłacić synom zmarłej odszkodowanie z ubezpieczenia. Ustalono, że będzie to ok. 550 tys.

dol. Śledztwa w sprawie śmierci kobiety nie podjęto, autopsji nie przeprowadzono. W roku 2022 policja zdecydowała, by ekshumować ciało i otworzyć ponownie śledztwo.

W czasie śledztwa w sprawie morderstwa Maggie i Paula okazało się, że Alex wykupił ubezpieczenie na wypadek śmierci któregoś z domowników. Miesiąc po śmierci niani za pośrednictwem znajomych z agencji finansowych podjął z niego 4,3 mln dol. Dzieci zmarłej nie dostały ani grosza.

ROK 2019

Dziewiętnastoletni Paul chodzi jeszcze do liceum, nie jest zbyt lubiany, ale ma grupę znajomych, którzy doceniają głównie to, że kolega zawsze ma pieniądze i chętnie zaprasza do domu, gdzie jego zamożni rodzice bez oporów częstują młodzież alkoholem (w Stanach alkohol jest dozwolony od 21. roku życia). W jesienny weekend Paul proponuje pięciorgu znajomym przejażdżkę łodzią po okolicznej rzece. W przydrożnym sklepie kupuje alkohol, posługując się dowodem starszego brata. Już wcześniej był pijany. Grupa wsiada na łódź. Prowadzi Paul, coraz bardziej nietrzeźwy, ledwo trzymający się na nogach. Łódź zaczyna najpierw zataczać koła, potem pędzi po ciemku z całą szybkością. Koledzy chcą Paulowi odebrać kierownicę, ale on nie ma zamiaru oddać steru. O godz. 2 rozpędzona łódź wpada z impetem na przesłany mostu. Wywraca się, wszyscy wpadają do wody. Są trochę poranieni, ale żyją. Nie można odnaleźć tylko jednej dziewczyny, 19-letniej Mallory Beach. Jej ciało zostanie wyłowione z wody tydzień po wypadku.

Na miejsce przyjeżdża policja, zaraz zjawiają się ojciec i dziadek Paula. Mimo że Paul jest ewidentnie nietrzeźwy i mimo że znajomi zeznają, iż to on prowadził, nie ponosi żadnych konsekwencji. Idzie do szpitala z niewielkimi obrażeniami, za kaucją 50 tys. dol. wychodzi z niego wolno.

LUTY 2023

Obrońcy Alexa Murdaugh wskazują na ciepłe rodzinne sceny, które nakręcił na swoim telefonie komórkowym.

– Czy ktoś taki mógłby z zimną krwią dokonać egzekucji żony i syna? – pytają.

Odpowiedź już znamy.

Metanowy kij na węgiel



Artykuł 22 projektu rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie redukcji emisji metanu w sektorze energetycznym wprowadza normę emisji 5 t metanu na 1000 t wydobytego węgla od 2027 r. oraz 3 t metanu na 1000 t węgla od 2031 r. Tymczasem górnośląskie kopalnie emitują ok. 8–14 t metanu na 1000 t wydobywanego węgla. W rozmowie z TV Republika Tomasz Rogala, prezes Polskiej Grupy Górniczej i prezydent Europejskiego Stowarzyszenia Węgla Kamiennego i Brunatnego Euracoal, powiedział, że nie ma technicznych rozwiązań, które pozwoliłyby spełnić te wymogi i wprowadzenie unijnego przepisu w proponowanym kształcie



Tomasz Cukiernik

Unijne rozporządzenie metanowe nie tylko w sposób niekontrolowany doprowadzi do szybkiej likwidacji polskiego górnictwa węgla kamiennego, lecz także zagraża bezpieczeństwu energetycznemu kraju

oznacza zamknięcie siedmiu kopalń PGG SA w 2027 r. i kolejnych dwóch w 2031 r. Ostatnie trzy kopalnie spółki wydobywałyby węgiel do 2037 r. Funkcjonujące zakłady górnicze zostaną natomiast obłożone karami finansowymi za przekroczenie euronorm. Dla PGG oznacza to opłatę na poziomie 1,5 mld zł rocznie.

Ale problem dotyczy także kopalń Taurona Wydobycie, a później również Jastrzębskiej Spółki Węglowej.

NORMY NIEMOŻLIWE DO OSIĄGNIĘCIA

Projekt rozporządzenia na razie nie obejmuje węgla koksowego wydobywa-



ny surowiec przez Komisję Europejską” – czytamy w liście europosła Łukasza Kohuta do przewodniczącego Komisji Przemysłu i Energii Parlamentu Europejskiego.

W Polsce ponad 80 proc. wydobywanego węgla kamiennego pochodzi z pokładów metanowych. Kopalnie posiadają systemy odmetanowania, jednak nie dają one możliwości zredukowania poziomu emisji metanu do zaproponowanych w unijnym rozporządzeniu norm. W 2020 r. 23 proc. metanu zostało zużyte w kotłach lub silnikach gazowych. Na przykład w 2022 r. JSW odpowiadała za 363 mln t metanu, z czego 91 mln t wykorzystano gospodarczo – spalono we własnych instalacjach lub sprzedano odbiorcom zewnętrznym. Jednak uruchomienie silników przetwarzających metan na energię wymaga inwestycji. Jaki jest zatem sens inwestowania w kopalnie, które i tak zostały przez Brukselę skazane na zamknięcie? Natomiast, co ważne, wpisane do rozporządzenia poziomy emisji metanu w ogóle nie są możliwe do osiągnięcia z technicznego punktu widzenia.

POWAŻNE WĄTPLIWOŚCI

O braku logiki w nowej regulacji, oderwaniu od rzeczywistości i nieliczeniu się z sytuacją w niektórych krajach członkowskich możemy mówić także dlatego, że unijny projekt nie nakłada podobnych obowiązków na węgiel importowany. A likwidacja kopalni oznaczałaby, w szczególności w Polsce, konieczność znacznego zwiększenia importu węgla. – Rozporządzenie traktuje przedsiębiorstwa unijne nieporównanie ostrzej niż obce, gdyż od importerów węgla wymagać będzie się jedynie deklaracji o emisyjności kopalń pochodzenia surowca, jednak nie przewidziano jakichkolwiek narzędzi do weryfikacji danych. W rezultacie importerzy unikną kar za przekroczenie emisji – mówi prezes Rogala w rozmowie z serwisem FilaryBiznesu.pl. Jednym słowem, zamknięcie kopalni w Polsce nie zredukuje emisji metanu w skali globalnej (przecież klimat to nie sprawa unijnego podwórka), a tylko spowoduje, że będzie on się wydobywał gdzie indziej. Co więcej, sam transport węgla z dalekich zakątków świata spowoduje dodatkową emisję tak

zwalczanego przez Brukselę dwutlenku węgla.

Nie tylko związkowcy zwracają uwagę, że unijne rozporządzenie metanowe jest działaniem wbrew wynegocjowanej w 2021 r. umowie społecznej, która przewiduje stopniową likwidację kopalni w Polsce do 2049 r. „Plan, który jest rozłożony na ponad 25 lat, de facto miałby zostać poszerzony i skrócony do lat kilku. Stawiałoby to w bardzo trudnym położeniu ok. 80 tys. pracowników kopalń węgla kamiennego oraz nawet kilkaset tysięcy pracowników branż powiązanych z górnictwem. Żaden z dotychczasowych wstępnych projektów transformacji energetycznej kraju nie brał pod uwagę takiej możliwości w podobnym tempie” – czytamy w oświadczeniu na stronie OPZZ.

REGULACJA REZULTATEM KORUPCJI?

Skąd się wzięła ta regulacja? Pomimo wielokrotnych apeli zarówno Górniczej Izby Przemysłowo-Handlowej oraz innych instytucji z branży, jak i naukowców czy związków zawodowych polski rząd zlekceważył problem. W ramach drugiej części pakietu wniosków ustawodawczych „Fit for 55”, którego celem jest wdrożenie Europejskiego Zielonego Ładu, by osiągnąć neutralność klimatyczną w Unii Europejskiej do 2050 r., 15 grudnia 2021 r. Komisja Europejska przedstawiła wniosek dotyczący rozporządzenia w sprawie redukcji emisji metanu w sektorze energetycznym. Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny przyjął swoją opinię w maju, a Komitet Regionów przekazał swoją opinię na posiedzeniu plenarnym w październiku 2022 r. Dwa miesiące później projekt zaakceptowała Rada Unii Europejskiej. W rezultacie sprzeciwu minister klimatu Anny Moskwy naniesiono co prawda poprawki minimalnie łagodzące przepisy. Niestety, efektem dalszych prac nad projektem rozporządzenia w komisjach Parlamentu Europejskiego było zaostrożenie regulacji. O wszystkim przesądzi głosowanie w Parlamencie Europejskim w marcu br. – Tylko jedność wszystkich środowisk politycznych w Polsce może zapobiec katastrofie gospodarczej, która nastąpi po wejściu w życie rozporządzenia metanowego w brzmieniu przygotowywanym przez Zielonych

nego w Polsce przez Jastrzębską Spółkę Węglową. Progi dotyczące uwalniania do atmosfery metanu w przypadku kopalń węgla koksowego mają zostać wprowadzone najpóźniej w ciągu pięciu lat od wejścia w życie omawianego rozporządzenia. Ma się to stać mimo kluczowej roli węgla koksowego w produkcji stali i faktu, że znalazł się on na liście surowców strategicznych Unii Europejskiej. Czyli Bruksela planuje zakazać wydobywania surowca, który sama uznała za strategiczny! „To niezgodne z wcześniejszymi ustalonymi zasadami odchodzenia od węgla. Dodatkowo to rozporządzenie praktycznie likwiduje sektor wydobywania węgla koksującego – tak potrzebnego do produkcji stali, uznanego za krytycz-

■ w Parlamencie Europejskim i Komisji Europejskiej – ocenił europoseł PiS Grzegorz Tobiszowski, który jako wiceminister energii w przeszłości odpowiadał w rządzie za sprawy górnictwa.

Symptomatyczne jest to, że prace nad projektem w komisjach Parlamentu Europejskiego zakończyły się skandalem pokazującym, kto tak naprawdę pociąga za sznurki w unijnym procesie legislacyjnym. I nie są to bynajmniej wybrani w demokratycznych wyborach europosłowie, a zwyczajni lobbyści. Otóż okazało się, że poprawki do rozporządzenia metanowego niemieckiej europosłance Zielonych Juttcie Paulus, sprawozdawczyni Komisji Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności oraz Komisji Przemysłu, Badań Naukowych i Energii, miała przygotować... aktywistka amerykańskiej organizacji ekologicznej. Dowodem na to są e-maile z poprawkami, które innym eurodeputowanym przysyłała Paulus. Z listu włoskiej europosłanki Silvii Sardone wynika, że Paulus powierzyła opracowanie poprawek Alessi Virone, dyrektor organizacji Clean Air Task Force. Według Sardone zaangażowanie amerykańskiej aktywistki miało miejsce również na poprzednich etapach negocjacji. W związku z tym włoska eurodeputowana zastanawia się, w jakim stopniu te zmiany odpowiadają strategicznym interesom Unii Europejskiej i krajów członkowskich.

ŚWIAT INWESTUJE W WĘGIEL

Niektórzy mieli nadzieję, że wybuch wojny na Ukrainie, której skutkiem będzie problem z rosyjskim gazem zastępującym węgiel w unijnej zielonej polityce, spowoduje otrzeźwienie i rewizję tej szkodliwej polityki Unii Europejskiej i że Bruksela wróci do węgla. Nic takiego się nie stało. Unijna polityka stała się jeszcze bardziej radykalna i ślepo zdążająca w jednym kierunku. Na czele z fanatykiem Franssem Timmermansem, wiceprzewodniczącym Komisji Europejskiej, który również jest coraz bardziej radykalny i opowiada coraz większe farmazony o tzw. kryzysie klimatycznym (mrzonki o możliwym do osiągnięcia zerowym poziomie emisji czy bajania, że polityka klimatyczna ma pozytywny wpływ na przemysł), tak jak swego czasu

wiceprezydent USA Al Gore, którego katastrofalne przepowiednie klimatyczne kompletnie się nie sprawdziły. Po rosyjskiej agresji na Ukrainie Timmermans jak obłąkany we mgle powiedział, że nie ma mowy o odłożeniu w czasie celów klimatycznych Unii Europejskiej, dodając, że Polska nie może zrezygnować z odejścia od węgla, a jeśli tak zrobi, to będzie przeciwko klimatowi.

Świat nadal inwestuje w węgiel, a ufundowana na węglu i stali Unia Europejska w brutalny i niekontrolowany sposób odchodzi od swoich korzeni

Tymczasem zużycie węgla na świecie w 2022 r. w porównaniu z rokiem poprzednim wzrosło o 1,2 proc. Co ciekawe, w Unii Europejskiej wzrost był wyjątkowo wysoki, bo aż o 6,5 proc. z 449 mln t do 478 mln t. W zeszłym roku światowe wydobycie węgla kamiennego było rekordowe i wyniosło ok. 8,4 mld t, podczas gdy w Polsce – niecałe 53 mln t (jeszcze w 2015 r. było to 72,5 mln t, a w 1990 r. – 148 mln t). Oznacza to, że Polska odpowiadała zaledwie za... 0,6 proc. światowej produkcji węgla. To znacznie mniej węgla, niż Indie wydobywają w ciągu... miesiąca (w grudniu 2022 r. Indie wydobyły prawie 83 mln t węgla). Świat zwiększa wydobycie i zużycie węgla. W zeszłym roku produkcja tego surowca w Chinach osiągnęła rekordowe 4,45 mld t, a firma analityczna S&P Global prognozuje, że w tym roku wzrośnie ona do 4,9 mld t. W Państwie Środka na potęgę buduje się nowe elektrownie węglowe. Podobnie jest w Indiach. Już po wybuchu wojny na Ukrainie władze zdecydowały o ponownym uruchomieniu ok. 100 zamkniętych kopalń. W 2020 r. zużyto w całym kraju 930 mln t węgla, w 2022 r. – ponad 1,1 mld t, a do 2030 r. ma to sięgnąć poziomu 1,5 mld t rocznie. Wysokie ceny gazu spowodowały, że również Japonia i Korea Południowa znacznie zwiększyły zużycie węgla. Międzynarodowa Agencja Energetyczna przewiduje, że światowy

popyt na węgiel na wysokim poziomie utrzyma się do 2025 r.

WYSTAWIAMY SIĘ NA SZANTAŻ

Piszący na tematy energetyczne bloger Władysław Gawroński słusznie zwraca uwagę na jeszcze jeden bardzo istotny skutek rozporządzenia metanowego. Otóż jego zdaniem zielona transformacja to sposób na zachowanie status quo w Unii Europejskiej, czyli podziału na bogate kraje Europy Zachodniej oraz biedne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Już powoduje ona to, że Polska staje się uzależniona od zagranicznych technologii, finansowania, importu surowców energetycznych i energii elektrycznej oraz praw do emisji CO₂. W wyniku tych zmian narzucanych przez Brukselę drastycznie pogorszy się nasza suwerenność energetyczna. Polska, która posiada 100 proc. węgla energetycznego dla swoich jednostek wytwórczych, stanie się krajem, który będzie uzależniony od zagranicznych surowców energetycznych: węgla, gazu i uranu. W przyszłości szantaż będzie polegał na tym, że Polska będzie musiała godzić się na wszystkie narzucane rozwiązania, bo inaczej zostanie wstrzymany eksport energii czy surowców, a nasza gospodarka się załamie.

Świat nadal inwestuje w węgiel, a ufundowana na węglu i stali Unia Europejska w brutalny i niekontrolowany sposób odchodzi od swoich korzeni. A to przecież te towary zapewniły Europie rozwój gospodarczy. Postulaty szybkiej dekarbonizacji przesłaniają rozum i logikę eurokratów. Jak zauważył w serwisie wnp.pl zajmujący się górnictwem redaktor Jerzy Dudała, „w jednym z komunikatów Komisji Europejskiej, która w okresie przejściowym – z uwagi na występujące trudności – zezwała państwom członkowskim na zwiększenie zużycia węgla, lecz tylko przez okres 2–3 lat. A przecież wiadomo, że w górnictwie głębinowym inwestycje trwają 5 lat, żeby udostępnić złoża, a ich eksploatacja musi zająć kolejne 8–10 lat”. Warto przy tym podkreślić, że – jak zauważa dr Jerzy Markowski, były wiceminister gospodarki i były dyrektor kopalni Budryk – „przy dzisiejszym poziomie wydobycia udokumentowanych zasobów węgla kamiennego mamy na ponad 800 lat”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jeszcze giełda czy już „giełda”?

Jak wiadomo, trzeba być nie lada frajerem, żeby swe ciężko zarobione pieniądze inwestować na giełdzie w spółki, którymi rządzi nie mniej czy bardziej wolna, wszelako jednak wolna gra sił rynkowych, lecz polityczne interesy i interesiki. A że takich frajerów nigdy nie było u nas na szczęście aż tak znów wielu i w dodatku ich liczba wraz z każdą bolesną lekcją na giełdzie raczej nie rosla, to trudno też rosnąć i samej giełdzie – polskiej Giełdzie Papierów Wartościowych.

Jak bowiem poważnie traktować giełdę, gdy nie da się poważnie traktować wielu notowanych na niej wielkich spółek – tych z udziałem Skarbu Państwa? A przecież to zawsze takie kluczowe spółki na każdym parkiecie nadają ton i przyciągają doń pieniądze inwestorów. Tymczasem w Polsce coraz bardziej nie daje się tych na wpół państwowych gigantów traktować poważnie – w każdym razie na tyle poważnie, by zaryzykować własne pieniądze – skoro jednego dnia premier może im nakazać szczie za ich własne pieniądze maseczek przeciw COVID-19 dla milionów Polaków, drugiego dnia – sprowadzenie za własne pieniądze respiratorów (które w dodatku okazują się niewiele warte), trzeciego dnia – zajęcie się importem węgla z antypodów, czwartego dnia – bankom – by wbrew własnemu interesowi podniosły oprocentowanie lokat klientom, a piątego – tej czy tamtej firmie – obniżenie

ceny tego czy tamtego produktu, bo akurat idą wybory i rząd musi sobie za pieniądze tej firmy (a więc i jej małych, prywatnych akcjonariuszy) zapunktować u wyborców. Nie wspominając o konieczności współpłacenia przez mniejszościowych akcjonariuszy za posady dla armii politycznych nominatów w tych spółkach.

A że dodatkowo kryzys wywołany rządowymi tarczami proinflacyjnymi, klimatycznym obłędem UE i napaścią Rosji na Ukrainę oraz – w konsekwencji – gigantyczną inflacją, giełdzie nie pomagają, to i liczby obniżające tempo „zwijania się” polskiej giełdy są mocno niepokojące. Jak wynika z bilansu sporządzonego przez „Rzeczpospolitą”, w ciągu ostatnich 10 lat z GPW wycofano aż prawie 190 spółek, a zadebiutowało na niej ledwie 160, przy czym wiele z nich to nie „prawdziwe” debiuty, lecz przeprowadzki z New Connect. A np. w całym 2022 r. na głównym parkiecie „prawdziwego” debiutu – czyli spoza New Connect – nie było ani jednego. I w tym roku – do tej pory – także ani jednego i nie zanoszą się, żeby jakiś poważny szybko się zdarzył.

Ale – w sumie – po co w ogóle Polsce jakaś silna, wielka giełda? Po co polskim firmom ten wehikuł do pozyskiwania kapitału, a polskim obywatelom wehikuł do bogacenia się? Skoro firmy mogą grzecznie ustawić się w kolejce po kredyt w państwowym banku, a obywatele trzymać tam oszczędności za marny procencik? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nadchodzi oficjalna cenzura

Polska w sferze wolności słowa stacza się nieuchronnie w coraz bardziej niebezpieczne i pachnące autorytaryzmem rejony. „Nie wiem, czy przyjęcie to formę ustawy, ale mogę powiedzieć, że analizowane są różne możliwości penalizowania takich działań” – powiedział w Radiu RMF Stanisław Żaryn, pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej, pytany o walkę z „rosyjską dezinformacją”.

Stanisław Żaryn wielokrotnie piętnował jako „powielające rosyjską propagandę”

Pan Żaryn proponuje ściganie ludzi za to, co władza zdefiniuje jako „dezinformację”

wypowiedzi czy opinie, które w debacie powinny być całkowicie dopuszczalne – i są na rzekomo krępującym wolność wypowiedzi Zachodzie. Na tym polega gorzki paradoks: o ile Zachód skrepił faktycznie swobodę wypowiedzi w kwestiach podpadających pod reguły politycznej poprawności, o tyle rządzący w Polsce starali się – lub starają – zrobić dokładnie to samo, tyle że w kwestiach takich jak polityka covidowa albo wojna na Ukrainie. Metody i intensywność działań są te same, tylko kierunki odmienne.

Pan minister Żaryn deklaruje, że do wakacji ma mieć jakieś gotowe koncepcje. Nie wykluczył nawet kary pozbawienia wolności. Trudno to interpretować inaczej niż jako zapowiedź wprowadzenia całkowicie już oficjalnej cenzury, która – przypominać – jest w Polsce wprost zakazana artykułem 54 konstytucji.

Co do zasady publicznego głoszenia nieprawdy nie jest w naszym kraju zabronione. Są pewne wyjątki, w których państwo działa z automatu (zaprzeczanie zbrodniom systemów totalitarnych, penalizowane w Ustawie o IPN) albo w których można sięgnąć po środki kodeksowe (przestępstwa zniesławienia lub pomówienia, ścigane z oskarżenia prywatnego na mocy art. 212 i 213 Kodeksu karnego). Jednak pan Żaryn proponuje coś zasadniczo innego: ściganie ludzi za to, co władza zdefiniuje jako „dezinformację”. I tak jak w przypadku ograniczania wolności słowa w ramach poprawności politycznej decydujące znaczenie ma to, kto definiuje, co wolno, a czego nie – na ogół są to koncesjonowane lewicowe gremia – tak tutaj ma być identycznie, tyle że koncesjonowane gremia będą inne.

Fascynujące, a zarazem przerażające jest to, jak rządzący – powtarzając nieustannie, że stoją na straży wolności – kopiuje kolejne, najgorsze wzorce tak przez siebie besztanego Zachodu. ©©

TEST „DO RZECZY”: HAMA PASSION TURN

Uniwersalna konstrukcja typu dwa w jednym, intuicyjna obsługa, niewielka waga, dobra bateria i świetny stosunek ceny do jakości – to największe zalety urządzenia niemieckiej firmy Hama będącego połączeniem słuchawek nausznych oraz głośnika Bluetooth.

Ważące 292 g słuchawki wyglądają klasycznie (czytaj: jak typowe nauszne słuchawki) i jak na swoją półkę cenową są naprawdę nieźle wykonane (czytaj: wyglądają na droższe). Przekształcenie je w bezprzewodowy głośnik jest banalnie proste: wystarczy wywinąć nausznice o 180 stopni na zewnątrz. I już. Jeden gest i urządzenie automatycznie zwiększa maksymalną głośność, dzięki czemu można puścić sobie muzykę w ogrodzie lub w małym biurze (po wyjściu szefa). Moc (po 3 W na każdą muszlę) nie rzuca na kolana – niektóre smartfony potrafią zagrać na podobnym poziomie głośności – ale i tak trochę radości przynosi, bo jest w stanie wypełnić dźwiękiem pomieszczenie. Na dużą domówkę głośniczką są ewidentnie zbyt słabe, ale wystarczą, żeby wspólnie posłuchać ulubionych piosenek podczas jazdy samochodem/rowerem/elektryczną deskorolką.

Bezprzewodowe połączenie słuchawkogłośnika ze smartfonem lub z laptopem gwarantuje najnowszą wersję Bluetooth 5.3. Teoretycznie maksymalny zasięg wynosi nawet 10 m, w praktyce zależy oczywiście od tego, jakiego rodzaju przeszkody są pomiędzy urządzeniem a źródłem

dźwięku. Do dyspozycji użytkownika jest też klasyczne złącze 3,5 mm – dla tych, którzy mają w domach takie źródła dźwięku jak np. wieża hi-fi – oraz gniazdo kart microSD, dzięki czemu można odtwarzać również utwory zapisane na karcie bez konieczności łączenia z czymkolwiek.

Jak grają? Nie są to słuchawki audiofilskie, ale jakość dźwięku jest przyzwoita i brzmienie dość czyste, choć zdominowane przez niskie tony. Nauszna konstrukcja sprawia, że Hama Passion Turn całkiem nieźle radzą sobie również z izolowaniem użytkownika od hałasów płynących z otoczenia.

Testowany gadżet pozwala nie tylko na odtwarzanie muzyki, lecz także na prowadzenie rozmów telefonicznych. Za pomocą słuchawkogłośnika można też używać asystentów głosowych, takich jak Siri czy Google Assistant. Wielofunkcyjny przycisk na obudowie jednego z nauszników pozwala sterować głośnością, a także np. odbierać lub odrzucać połączenia przychodzące.

Na jednym ładowaniu słuchawki grają ok. 18 godzin, w trybie głośnika to nieco ponad trzy godziny. Plusem jest też dołączone w zestawie etui, które ułatwia bezpieczne przewożenie gadżetu do biura czy na imprezę w plenerze.



Wady? Po pierwsze, głośnik mógłby być głośniejszy, o czym wspominałem wyżej. Po drugie, chociaż producent daje do wyboru trzy predefiniowane fabryczne tryby (więcej basów, więcej wysokich tonów, neutralne brzmienie), to przydałaby się jeszcze możliwość większej personalizacji za pomocą aplikacji umożliwiającej indywidualną korektę dźwięku.

Mimo tych minusów stosunek ceny do możliwości jest bardzo dobry. Za testowany model trzeba zapłacić jedynie 349 zł. ©©

Jacek Przybylski

NOWA GENERACJA NATYCHMIASTOWEGO APARATU

Instax Mini 12 to najnowszy model aparatu produkcji Fujifilm, który pozwala na natychmiastowe drukowanie zrobionych nim zdjęć. Według producenta najważniejszą zmianą jest korekta paralaksy. W Instax Mini 12 wreszcie na fotografii znajdzie się więc dokładnie to, co widać w wizjerze. Aparat generacji automatycznie ustawia również ekspozycję oraz steruje błyskiem, wystarczy więc dobrze ustawić kadr i nacisnąć migawkę. Czas wydruku zdjęcia wynosi pięć sekund. Niewielki gadżet w najróżniejszych kolorach – od różowego do niebieskiego – trafi do sprzedaży 16 marca. Cena: 419 zł.



OKULARY JAK Z „RAPORTU MNIEJSZOŚCI”

Xiaomi zaprezentowało na MWC w Barcelonie nowe gogle rozszerzonej rzeczywistości (AR) w formie całkiem zgrabnie wyglądających okularów o wadze zaledwie 126 g. Sercem Wireless AR Glass Discovery Edition jest Qualcomm Snapdragon XR2 Gen 1. Dzięki niemu gogle mogą działać bez podłączania do nich smartfona czy wydajnego komputera. Model można oczywiście bezprzewodowo sparować ze smartfonem (przesyłane treści mają mieć maksymalnie 50 ms opóźnienia). Duże wrażenie robi też specyfikacja wyświetlacza: Chińczycy w najnowszym modelu zastosowali dwa panele MicroOLED o maksymalnej jasności aż 1200 nitów. W celu nawigowania po systemie wykorzystano gesty kreślone palcami w powietrzu. Niestety, na razie gadżet ten jest jedynie projektem koncepcyjnym. Na produkt, który trafi do masowej sprzedaży, trzeba jeszcze poczekać.

©© **Jacek Przybylski**



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Królowa uwieczniona w Żarnowcu



JACEK KOMUDA

Co zrobić, gdy żona gniewna, upomnień męża nie słucha, gdera i napomina? A co gorsza – jest królową? Wtedy tylko jedno zostaje – osadzić w wię-
ży, na zamku, zamknąć i pozbyć się z głowy kłopotu – przynajmniej na jakiś czas. Tak właśnie postępowało dwóch królów polskich – Kazimierz Wielki i August II Sas – którzy niezadowoleni z pożycia trzymali żony i kochanki pod kluczem. Ten pierwszy – na zamku w Żarnowcu koło Miechowa. Ten drugi – w Stolpen w Saksonii.

choć król Polski ze swojej strony zapisał małżonce jako wiano ziemię sandomierską razem z miastem.

Ostatecznie Kazimierz odsunął żonę w 1355 r., choć zapewne już wcześniej małżeństwo uległo rozpadowi. Król poświęcał się mi-
łostkom w ramionach licznych na-
łożnic, a królową nakazał umieścić pod strażą. Jak pisał Długosz: „Ade-
lajda była strzeżona jak wygnanka i niewolnica w zbudowanym przez króla Kazimierza z bardzo pięknej, wypalanej cegły zamku w Żarnow-
cu, rzadko oglądała twarz króla”.

Zamek w Żarnowcu dziś już nie istnieje, nie pozostały po nim nawet ruiny. Znajdował się, jak pokazują badania archeologiczne, na północ od obecnej wsi (niegdyś miasta), nad Pilicą, w miejscu, gdzie wpada do niej potok Uniejówka, ale po zachodniej stronie rzeki. Wzniesiony był z kamienia i cegły. Mury tworzyły czworobok o wymiarach ok. 100 na 120 m. Wewnątrz znajdował się dwupiętrowy dom wielki oraz drewniane zabudowa-
nia gospodarcze. Obwarowania musiały być wzmocnione basztami, prawdopodobnie wyposażono je także w wieżę bramną. Niestety, w 1775 r. zamek został zniszczony przez pożar i już nieodbudowany. Na początku XIX w. resztki budowli rozebrano razem z fundamentami, zresztą ostatnia lustracja z końca stulecia opisuje już tylko zniszczone budynki fortecy.

Adelajda Heska przebywała w tym przymusowym więzieniu od stycznia 1355 do września 1356 r. Jeszcze w trakcie trwania małżeństwa Kazimierz poznał w Pradze Krystynę Rokiczanę i zawarł z nią kolejne małżeństwo, stając się bigamistą, gdyż na skutek intryg Ludwika Andegawerskiego małżeństwo z Adelajdą nie zostało unieważnione przez Stolicę Apo-

stolską. Jednak królowa po ponad roku opuściła Żarnowiec, wracając do Hesji – z woli Kazimierza albo też uwolniona przez własnego ojca.

Zpobytem Adelajdy w Żar-
nowcu związana jest pewna
niejasna i romantyczna
sprawa – domniemanego roman-
su uwiecznionej królowej z człowie-
kiem, który został przez Kazimie-
rza wyznaczony do jej pilnowania.
Był to Maćko Borkowic, skazany
później przez władcę na śmierć
głodową na zamku w Olsztynie.
Jak podaje Długosz: „Twierdzą
niektórzy, że król Kazimierz z tej
przyczyny Macieja wojewodę tak
srogą ukarał kaźnią, że był oskar-
żony o miłosną sprawę z królową;
za co przez dni 40 głodem mę-
czony umrzeć nie mógł, dopiero
po przyjęciu świętego wiatyku
wyznał przy zgonie, że na śmierć
taką zasłużył”. Są też inne wersje
tej historii, które podają, że król
powierzył wojewodzie ochronę
swej kochanki Esterki i nadzór
nad królową Adelajdą, uwięzioną
na zamku w Żarnowcu; jednak
Borkowic sprzeniewierzył pie-
niądze władcy, uwodził królową,
a przy okazji mordował i rabował,
za co odpokutować miał w głodo-
wym lochu w Olsztynie.

Żarnowiec to dziś wieś, ale ze
średniowiecznym układem ulic
i rynkiem. Kiedyś był miastem, któ-
re rozwijało się wraz ze wzrostem
siły i znaczenia Rzeczypospolitej
– działał sąd ziemski, organizowane
były jarmarki. Upadek przyszedł
wraz z potopem szwedzkim, kiedy
miasteczko spalono i ograbiono;
pod koniec XVII w. wielki pożar
zniszczył odbudowującą się osadę.
Kolejne ciosy przyniosły rozbiory
i budowa drogi z Krakowa do
Warszawy, omijającej osadę. Po
powstaniu styczniowym Żarnowiec
stracił prawa miejskie. ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA



I RZECZYPOSPOLITA

• Żarnowiec

RYS. OBA

Kiedy
w 1339 r. umarła
pierwsza żona
Kazimierza,
Aldona, a ze
związku z nią
król doczekał
się tylko córke,
zawarł ślub
z Adelajdą, którą
nastęrczył mu
Jan Luksembur-
ski, król Czech.
Była to córka
landgraфа heskie-
go Henryka II
Żelaznego, panna
cnotliwa i urodzi-
wa, ale niestety
nieszczęśliwa.

Chociaż ślub w Pozna-
niu odbił się szerokim
echem w Europie, gość-
mi byli zaś król Czech,
książęta śląscy,
mazowieccy i nie-
mieccy, to związek
nie okazał się
udany. W przeciągu

15 lat pożycia Adelajda nie urodziła
królowi potomka – tak upragnio-
nego syna. Co gorsza, jej ojciec,
który obiecał Kazimierzowi posąg
w wysokości 2 tys. kóp groszy
praskich, nie wypłacił go w ogóle,



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pyszności prosto z lasu

Zimą i na przednówku, kiedy stare się skończyły, a nowego jeszcze nie ma – jak mawiano dawniej – korzystamy z darów lasu, które skrzętnie zostały zakonserwowane i przetworzone na ten czas. Jeszcze miesiąc, dwa i znowu będzie można korzystać w pełni z tego, co daje nam las. Już w kwietniu można będzie np. zbierać młode pędy sosny i robić z nich pyszną oliwę sosnową, można będzie zbierać sok z brzozy i uzupełniać braki witaminowe po zimie takim zdrowym szprycerem. Gdy pojawi się czosnek niedźwiedzi, będziemy mogli ugotować odżywczą i zdrową „dziką zupę”. Niektórzy na placuszki z kwiatów bzu czarnego czekają cały rok, bo jest to deser wybitnie aromatyczny.

W książce „Dobre z lasu” znaleźliśmy bardzo ciekawe przepisy na różnorodne dania z wykorzystaniem różnych roślin, które nie zawsze kojarzą nam się jako jadalne. Mądrość tradycji i doświadczenia pokoleń ludzi żyjących blisko natury pokazują, jak dobrze wykorzystać dary lasu. W książce oprócz różnorodnych dań z dziczyzny są też przepisy na leśną musztardę, pesto z niedźwiedziego czosnku, napar z liści jeżyny, który ma podobne właściwości jak malina, ciasteczka sosnowe, zupę z liści pokrzywy lub też... szampan z bzu!

Aby je przyrządzić, będziemy musieli jeszcze trochę poczekać. Tymczasem proponujemy dania z grzybów – zarówno suszonych, jak i mrożonych czy w postaci przecierów zamkniętych w słoiku.

Zupa kurkowa z Białowieży

Składniki:

- 2 l wywaru warzywnego lub mię-

- sno-warzywnego • 1/2 kg kurek
- 1/2 kostki masła • garść pęczaku
- 4 ziemniaki • natka pietruszki
- 1/2 szklanki kwaśnej śmietany
- sól, pieprz

Kurki kroimy na duże kawałki, masło rozgrzewamy na patelni i wrzucamy pokrojone grzyby. Lekko dusimy, im krócej to potrwa, tym będą mniej twarde. Ziemniaki obieramy, kroimy w drobną kostkę i gotujemy w osolonej wodzie. W dużym garnku gotujemy wywar, gdy zacznie wrzeć, dodajemy pęczak. Po ok. 15 min wrzucamy ugotowane ziemniaki i podsmażone kurki. Jeszcze chwilę gotujemy razem, a następnie zaprawiamy śmietaną. Zupę podajemy obficie posypaną natką pietruszki.

Kotleciki z suszonych grzybów

Składniki:

- 50–60 g suszonych grzybów
- 2 podsuszone kajzerki • 1 średnia cebula • 1 łyżka masła • 1 jajko
- 1 łyżka mąki pszennej • bułka tarta do panierowania • tłuszcz do smażenia • sól, pieprz

Grzyby gotujemy w niewielkiej ilości wody, odcedzamy, przekładamy do miski. Dokładamy pokrojone kajzerki, aby wchłonęły płyn z grzybów. Cebulę kroimy w piórka i usmażymy na złoto, dokładamy do grzybów. Wszystko mielimy maszynką do mięsa lub blenderem. Do masy dodajemy jajko, mąkę, sól, pieprz i starannie mieszamy. Masa powinna być gęsta. Odstawiamy na pół

godziny w chłodne miejsce, aby stężała. Formujemy małe kotleciki, obtaczamy w bułce i smażymy na rumiano. Darzbór! ©©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Metoda paznokciowa

Moja sąsiadka w samolocie, dziewczyna na oko dwudziestoparoletnia, przez cały trzygodzinny lot wpatrywała się w swoje paznokcie. Było tam co oglądać. Pazury długie, jakieś 15 mm ponad opuszek, każdy w innym kolorze, a na każdym jeszcze wzory. Brokat, czy coś w tym rodzaju, świecą. Trudno było jej naciskać na klawisze komórki, ale widać miała wprawę.

Dzisiaj to nie jakiś tam zwykły manikiur, przycięcie, wygładzenie, pomalowanie lakierem. To jest *passé*. Jeszcze całkiem niedawno był stoliczek z manikiurem u fryzjera. Usługa dodatkowa, niezbyt skomplikowana, pół godziny roboty. Teraz to jest „stylizacja paznokci”. W studiu paznokci, salonie paznokci, nail studio czy czymś podobnym. Przedłużanie, doklejanie, utwardzanie, ozdabianie, skomplikowany proces, który kosztuje, wymaga czasu i specjalistycznych przyrządów. W galeriach handlowych przez szybę widać stanowiska, gdzie na fotelach z wyciągniętymi rękami siedzą panie, a nad nimi pochyła się cierpliwa twarz manikiurzystki, to jest chciałam powiedzieć – stylistki paznokci.

Czy z osiągniętymi w ten sposób długimi i ozdobnymi paznokciami da się coś wykonać, jakąś czynność, trudno powiedzieć. Na przykład obrać kartofle. Wystarczy popatrzeć na wysiłek, z jakim palce gimnastykują się na klawiaturze komputera, by zrozumieć, że



łatwo nie jest. Ale cóż, piękno wymaga poświęceń. Dobrowolnie znoszone męki trudno zrozumieć komuś takiemu jak ja, który dobrze się czuje, mając paznokcie krótko obcięte.

A jednak kandydatek nie brakuje, studia paznokci rozwijają się w szaleńczym tempie. French manicure, tipsy, hybrydy, żele, dekoracje. Można by myśleć, że ten element nowoczesnej elegancji liczy się dziś na równi z nastrzykniętymi kwasem hialuronowym ustami i wybotoksowanymi policzkami. Na Instagramie na pewno. W realu różnie bywa.

Fakt, że jeszcze nigdy branża paznokciowa nie rozrastała się w takim tempie jak dziś. Główny jej bohater: Wietnamczycy. Czy dlatego, że jest to praca niewymagająca kontaktu słownego, a może dlatego, że Azjaci mają drobne, precyzyjne dłonie? (Czy to aby nie rasistowska uwaga?). W każdym razie wietnamskie studia kwitną. Na krótkim odcinku ul. Puławskiej na Mokotowie otwarto niedawno trzy. W każdym jest ruch.

– Po co mam płacić 150 zł w salonie w centrum, skoro mogę pojechać do Wietnamczyka, który zrobi mi to za 80 zł – powiedziała mi znajoma. Słusznie. Rynek to załatwi. Niezależnie od tego, czy tipsy komuś się podobają czy nie. Pardon my French (manicure). ©©



Jerzy Karwelis

DEKAMERONKI

Tak to się robi (nie tylko?) na Wyspach

Czas mija, nabieramy dystansu, jak to po ataku paniki. Nowe rzeczy na stare tematy wychodzą na jaw. Warto je naświetlać nie tyle po to, by mieć z tego spóźnioną satysfakcję, ile żeby zobaczyć niegdyś mechanizmy. Dać to może nie tylko asumpt do refleksji, jak dawaliśmy się robić w konia, ale – w przypadku kontynuowania działania takich mechanizmów – ma to zapobiec dawaniu się robić w konia do dzisiaj.

Pamiętają jeszcze państwo tzw. wariant angielski koronawirusa? Tak, to ten z przełomu lat 2020 i 2021, z powodu którego np. Anglicy narciarze w resortach Austrii znajdowali zamknięte swoje pokoje, bo gruchnęła wieść, że Angole zakażają jakimś wyspiarskim patogenem. U nas, w Europie, „Anglik” też dołączył do wysypu wszelkich nowych wariantów, które to ruchem konika szachowego ujawniały się w coraz to nowych, egzotycznych miejscach.

Teraz się okazało, że to był kompletny fejk wymyślony przez ówczesnego (już byłego) ministra zdrowia Wielkiej Brytanii Matta Hancocka. Pan minister martwił się przed świętami, że władze poluzują obostrzenia, by jakoś przeżyć rodzinnie Boże Narodzenie. I postanowił sprokurować fałszywy wariant, by postraszyć polityków i ludność. Covidowe sztyło wyszło teraz z worka, kiedy

zaczęły powstawać pamiętniki niesławnego ministra (który pożegnał się ze stanowiskiem w 2021 r., bo został przyłapany na co najmniej nieprzestrzeganiu przez siebie obostrzeń, które sam nałożył na rodaków).

13 grudnia 2020 r. zdecydował się wymyślić wariant angielski, by postraszyć i obywateli, i władze. I już cztery dni po konferencji, na której ogłosił swoje rewelacje, rząd się wycofał z planowanego poluzowania. A więc widać tu pewien – obawiam się – powtarzalny pod każdą szerokością geograficzną mechanizm. Oto staje przed publiką autorytet ostateczny, bo medyczny; wszyscy mu zawieramy, bo nikt nic nie wie, a ogłoszone rewelacje okazują się po czasie pozbawione jakiegokolwiek podstawy naukowej. Oczywiście „nałóka” odwraca wzrok, nikt z naukowców nie mówi nic, wszyscy mlaskają, potakując.

Sensacja idzie w świat, media mają nową karmę, na Wyspach się gotuje, a Anglicy popadają w światową infamię. Ale efekt jest osiągnięty – w końcu cel uświęca środki. Ciekaw jestem, ile takich „uświęceń” i gdzie zafundował nam świat? I co jest na końcu? Bo na początku jest gwałt na nauce i rozumie po to, by osiągnąć cel ostateczny, jakim okazało się złapanie za twarz obywateli. No bo przecież nie leczenie ich z choroby, której – jak się okazało – nie było. ©©



Jan Pospieszański

#WARTO

Prawda i rewolucja

Operacja niszczenia autorytetu Jana Pawła II rozkręca się na dobre i pewnie jeszcze sporo przed nami... Wśród praktycznych motywacji (bo przecież sporo tu także irracjonalnej, antyklerykalnej nienawiści) chodzi także – a może przede wszystkim – o to, by przed wyborami zohydzić Polakom Kościół, czyli zneutralizować sojusznika obozu rządzącego. Dlatego, owszem, główne natarcie idzie na Jana Pawła II, ale celem ataku jest również ostatnio kard. Sapięha, a także przyjaciółka Karola Wojtyły Wanda Półtawska (o czym pisałem tydzień temu). Powracają też napaści na kościoły i zakłócenia liturgii. Jedne, tak jak prowokacja w bazylice św. Krzyża, są akcją aktywistów politycznego ruchu homoseksualnego; inne, jak ta z 3 marca we Wronkach, gdzie dwóch mężczyzn pijąc alkohol i wykrzykując wulgaryzmy, zakłóciło nabożeństwo, mogą być pokłosiem bezkarności i skutkiem rozkręcania antykościelnych emocji.

Zohydenie Jana Pawła, obrzydzenie Kościoła, obok doraźnego, wyborczego motywu, ma dalekosiężny, znany od wieków cel. Rewolucja, niszcząc chrześcijańskie wartości i antropologię opartą na prawie naturalnym, otwiera drogę do budowy nowego porządku świata. Żeby ulepić nowego człowieka, stary system należy zburzyć. Nie trzeba przypominać, że jednym z kluczowych postulatów rewolucji jest uwolnienie ludzkiej seksual-

ności z wszelkich ograniczeń, więc aborcja jest tu swoistym ideologicznym fetyszem, parasakralnym symbolem. Ponieważ prof. Wanda Półtawska i Ojciec Święty Jan Paweł II są niejako ikonami porządku moralnego: obrony życia, małżeństwa i rodziny, zniszczenie tych ważnych postaci usuwa punkty odniesienia i etyczną busolę wspólnoty.

Na koniec nie odmówię sobie przywołania jeszcze jednej historii z ostatnich dni. Podczas uroczystości nadania imienia dr Wandy Półtawskiej oddziałowi noworodków szpitala położniczego przy ul. Siemiradzkiego w Krakowie, z udziałem bohaterki, doszło do znamiennej incydentu. Na uroczystości obecny był minister Adam Niedzielski ze świtą. Widząc ich wszystkich w maseczkach, Wanda Półtawska zareagowała. – Patrę na was i nie posiadam się ze zdumienia, że macie te szmaty. Bo kto wierzy, że one nas chronią przed wirusami? Medycyna nas okłamuje – skwitowała sprawę Półtawska. I nawet w tej postawie doświadczonej, nobliwej lekarki widać owe piękne cechy charakteru – odwagę, realizm i niezgodę na kłamstwo. Tacy ludzie przez starych bolszewików i nowych marksistów byli i są znieprawieni. Rewolucyjne, ideologiczne absurdy nie przejdą, gdy ludzie będą trzymali się prawdy, rzetelnej nauki i zdrowego rozsądku. Ludzie wierzący są realistami. Chrześcijaństwo jest racjonalne. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

W tej chwili!

Było to tak. W wigilię międzynarodowego Dnia Kobiet w Sejmie świętowano na swój sposób. Stop. Zająto się mianowicie projektem ustawy „Aborcja to zabójstwo” i oczywiście doszło do emocji. Stop. Nowatorsko zrobiło się, gdy posłanka Małgorzata Tracz z Koalicji Obywatelskiej wypaliła, że nie istnieje coś takiego jak instynkt macierzyński. Stop. Poseł Sośnierz razem z kitką nie wytrzymał i rzekł, owszem, głośno: „To wy takie kobiety reprezentujecie. Po prostu. Zwyródniałe baby”. Stop. Wówczas miały miejsce rozmowy w podgrupach w przejściu między ławami poselskimi. Stop. Sośnierz dyskutował z posłanką Moniką Wielichowską też z KO, ale w sukurs posłance przyszła Lewica w postaci Pawła Krutula, który od Sośnierza jest większy czy – jak charakteryzował Napoleon – „tylko dłuższy”. Stop. I tu truskawka na torcie (copyright Tomasz Hajto), filigranowa marszałek Witek, widząc, że czupurki się kogucą i obrzucają „chamami” oraz że zaraz może dojść do mord obicia, schodzi do śmiałków, wchodzi między i mówi z kategorią: „Proszę w tej chwili na swoje miejsca, w tej chwili!”. Czupurki uszy po sobie i do ław. Stop. Pani marszałek Witek jest nauczycielką, nauczycielki są cudowne! Stop. Żądam więcej nauczycielek!

Adrian Zandberg, ten, który paradował w koszulce z Karolem Marksem, powiedział

w rozmowie z redaktorem Rymanowskim: „Dla większości młodych ludzi Karol Wojtyła to zabawny starszy pan z żółtą twarzą”. Stop. Mógłbym dodać, że przy tej pełnej lewicowej wypowiedzi uśmiechał się głupkowato, ale nie muszę. Stop. Są rzeczy oczywiste dla większości ludzi. Stop.

Donald Tusk pozwał Telewizję Polską za słowa „für Deutschland”, które publicznie po niemiecku powiedział do Niemców. Stop. Nie chodzi o to, że Donald Tusk twierdzi teraz, że tych słów nie powiedział, tylko że TVP je przypomina. Stop. To znaczy nie chodzi też o to, że przypomina, tylko że według Tuska przypomina złośliwie po prostu i za często. Stop. I to złośliwie, za częste przypomina nie Donaldowi, że do Niemców pod niemiecku kierował podziękowania za niemiecką politykę prowadzoną przez Niemców, teraz bierze i mu psuje wizerunek, że niby jest za bardzo proniemiecki, a chyba wcale nie jest. Stop. Trudny, acz ciekawy proces się zapowiada, choć wszystko będzie wiadomo już na początku, po tym, który zostanie wylosowany sędzia. Stop. Ja w ogóle nie wiem, dlaczego przypominała mi się tu piosenka Andrzeja Rosiewicza: „Niemki czyste oczywiste dobre są na żonę / Miałbyś zawsze wysprzątane mieszkanie z balkonem / Lecz jak czułbyś się w tym domu czystym oczywistym / Gdyby w kuchni ktoś przy dziecku mówił po niemiecku”. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Lekcja na Gran Vía

Małgośka, mówią mi, bądź tak miła i nie wygłaszaj niepoprawnych politycznie prawd, zwłaszcza jeśli organizator konferencji pokrywa ci koszty i zapewnia prestiż wydarzenia. „No dobrze, rozważę to w sumieniu, czy byłam niewdzięczna czy po prostu nieprzekupna” – odpowiedziałam mojemu amigo, który spóźnił się ze swoją radą, bo zdążyłam już wygłosić sporo gorzkich słów o UE przed dziennikarzami i studentami dziennikarstwa w Madrycie. Na drugi raz będą ostrożniejsi i zaproszą germanofilów z polskiego mainstreamu, a nie mnie. No, ale co sobie pogrzebałam kijkiem w mrowisku – to moje. Ten moment, kiedy w auli wprost słysząc, jak się gałki ludzkie przewracają w oburzeniu, że można być Polką tak niewdzięczną wobec Brukseli, zostanie ze mną na długo.

Jeśli mnie kiedyś jeszcze zaproszą, to już tylko w roli skandalistki, która buńczucznie wymachuje szabelką i usiłuje zjednoczyć Warszawę i Madryt do walki z Berlinem, który szykuje zniesienie zasady jednomyślności. Brałam zresztą udział w dwóch różnych konferencjach i słuchając pytań Hiszpanów, czułam, że to nie ja odpowiadam, ale że mówię za mnie do mikrofonu jakieś skumulowane przez wieki w moich genach polskie, republikańskie i romantyczne echo, które ludziom z Kastylii

zdaje się bardziej egzotyczne niż pobliski Maghreb.

Itak spacerując po Madrycie i rozważając o problemach obu narodów, natknęłam się na rodaków, polegających na chodniku i chóralnie wypowiadających wulgarne zaklęcia natchnione piwem i frustracją. Gdy podeszłam i spytałam nieco rozeźloną, skąd pomysł, aby na tej eleganckiej Gran Vía rozbijać obóz, rzucili się całować mi ręce i opowiadali, jak to okradzeni w Kadyksie musieli dotrzeć tu piechotą, aby dostać jakąś namiastkę pomocy od konsulatu. Wybrali też specjalnie to miejsce, aby kamery policji zarejestrowały, jeśli ktoś ponownie ich okradnie. Wylewała się z nich żółć i na Polskę (o nieefektywności naszych konsulatów słyszę od dawna), i na Hiszpanię (o tym, że tamtejsza policja nie aresztuje drobnych przestępców i rabusiów też wiadomo od dawna).

Dwóch Polaków w Madrycie niechący udzieliło mi lekcji o niewydolnych systemach i strukturach obu państw w sytuacji ludzkich dramatów. I jak zwykle okazało się, że tam, gdzie człowiek mierzy się z tragedią, państwo ani jego funkcjonariusz pomóc nie chcą. Pomogą za to Kościół i jego Caritas. Tak, ci sami, którzy ponoć praktykują tylko grzechy zaniedbania i pedofili. Pisanie o macaniu sprzedaje się lepiej niż pisanie o ratowaniu. Wszystkie światła fleszów tylko na Judaszów. ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Ten z Workuty”

Prezesura zgniłego liberała, jak nazywali Antoniego Słonimskiego członkowie partii, trwała zaledwie trzy lata.

Grał bowiem władzy na nerwach swoimi licznymi wybrykami, np. listem do pisarzy węgierskich z wyrazami solidarności dla węgierskiej rewolucji 1956 r. czy też ostentacyjnym przyjęciem do Związku 37-letniego wtedy Kazimierza Cisa, w zniszczonej kufajce i walonkach, repatrianta ze Związku Sowieckiego po 12 latach katorżniczej pracy „na Workucie”, jak mówił – najcięższego, sowieckiego łagru na dalekiej północy.

Przyjęto go mimo braku wymaganych regulaminowo dwóch wydanych książek. Zamiast nich dołączył swoje pisane w łagrze wiersze, które zaszywał w ciepłą, watowaną, pełną wszy czapkę – uszankę. Nie były co prawda najlepsze, pełne rusycyzmów – przez 12 lat nie słyszał polskiego języka, ale mimo to postanowiono dać mu szansę, choć częściowo naprawić doznane krzywdy. W niepowtarzalnej, odwilżowej atmosferze zniewolony dotąd Związek Literatów nie służył władzy, ale pisarzom. Zaopiekował się więc łagiernikiem. Ulokowano go w pałacu w Oborach do czasu, gdy znaleziono mu jakiś kąt. Wstawiono zęby, przyznano stypendium, zasiłek na urządzenie się w kraju oraz pomoc dla jego brata, który wrócił z Workuty chory psychicznie. Załatwiono też Cisowi etat w reżimowym wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej.

Urodził się w roku 1919 we wsi Żylicze koło Grodna. Studiował na Uniwersytecie Wileńskim. Pisał wiersze, należał do grupy Młodych Twórców Wilna, którym patronowali starsi koledzy – żagaryści: Czesław Miłosz, Jerzy Putrament, Jerzy Zagórski.

W czasie okupacji niemieckiej, potem sowieckiej, jak większość jego rówieśników był członkiem ZWZ-AK. Pod pseudonimem Halny działał w wileńskiej konspiracji m.in. jako oficer kulturalno-oświatowy, organizator wieczorów poetyckich, redaktor podziemnych pism. Był aresztowany i więziony na Łukiszkach, najpierw przez Niemców, a w 1945 r. przez Sowietów, wywieziony na Workutę. Przeżył dzięki obozowemu lekarzowi, który uratował go, zatrudniając jako felczera.

Przygotował do druku tomik „Wejście do domu” ze swoimi obozowymi, ocalonymi wierszami, ale Październik szybko odrąbiono, przykrecono śrubę i nie było o tym mowy. O sowieckich łagrach w Workucie nie można było nawet wspomnieć. Wierszy o tej tematyce wydawcy nie chcieli nawet brać do ręki. W 1965 r. zdecydował się jednak na publikację w wydawnictwie MON, gdzie pracował, ale pod warunkiem ich gruntownej przeróbki. Miały mówić wyłącznie o zbrodniach niemieckich, katowniach gestapo, o sprawach uniwersalnych – „samotności, poniżeniu i rozpacz, zapomnianych przez Boga i ludzi, czasie zbiorowych mogił, grzebania sióstr i braci”.

Zgodził się na zmiany bardzo niechętnie, ale nie miał wyjścia. Bał się, że wyrzucą go z ZLP, bo nie wydał nawet jednej książki. „Namawiałem go, aby spisał, choćby do szuflady swoje łagrowe przeżycia” – wspominał zmarły niedawno Grzegorz Łatuszyński, który pracował z nim wtedy w MON, zwłaszcza te o strajku więźniów Workuty w roku 1953, po śmierci Stalina, w którym brał udział. Odmówili pójścia do kopalni, domagali się zmniejszenia nieludzkich norm, poprawy warunków, skracania

drakońskich wyroków, co zakończyło się rozstrzelaniem przywódców, zesłaniem uczestników, m.in. Cisa, do innych łagrów. Nie chciał jednak o tym pisać. Miał już syna i bał się długich rąk NKWD. Mówił, że po wyjściu, jak wszyscy, podpisał zobowiązanie o milczeniu.

Skończył zresztą z pisaniem, miał dość kłamstw. Jego tomik nie miał ani jednej recenzji, nikt nie przeprowadził z nim wywiadu. W archiwum Związku Literatów nie ma nawet teczek. Uznał, że jest przegrany, gorszy, nigdy kolegom nie dorówna, nie przeczyta książek, które znali, nie zobaczy tyłu krajów, co oni.

Dopiero po 1989 r. odważył się spisać swoje wspomnienia z Workuty dla Stowarzyszenia Łagierników Żołnierzy AK, w którym zaczął działać i świetnie się tam czuł, był wśród swoich. Odwrotnie niż w Związku Literatów, gdzie zawsze go upokarzano, wyśmiewano po każdym publicznym wystąpieniu – gdy zrobił językowy błąd albo czegoś nie wiedział. Jedno z zebrań Związku Literatów, seans nienawiści wobec „tego z Workuty”, opisał w swoim 13-tomowym dzienniku 10 grudnia 1962 r. Maria Dąbrowska: „Zjazd pozostawił mi uczucie niesmaku. [...] Zasmucająca niepočetliwość tego środowiska. Zabierał głos nieszczęsny grafoman, Cis, który 12 lat gnił w Workucie. Pisał tam niedobre wiersze i zaszywał je w czapce. Z tą czapą naszpikowaną grafomanią (ona trzymała go przy życiu) wrócił i teraz wykopują go z każdej redakcji. Głędził długo i patetycznie, ale było w tym coś przejmującego. Tymczasem sala hałasowała, przerywała, wyrażała niedwuznacznie swoją pogardę. Subtelniaki w rodzaju Strykowski przerywały mu chamskimi demonstracjami”. ©

NEKROLOG

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mamy tu faceta, na którego wołamy „Morda”. Nikt się na prerii nie wysila z ozdobnymi pseudonimami, u nas dostaje się prostą więzienną ksywkę. Czyli: Morda. Z tym że pośród kowbojów to raczej ksywa, a nie ksywka. Ksywka to coś cwaniackiego, a ksywa (bez zdrobnienia) to coś jak młotek. I może to być młotek, którym ktoś cię wałnął w palec w trakcie gry w pokera.

Tu, na prerii, połowa ludzi ma jakąś przeszłość więzienną. Najczęściej są to epizody z szumnej młodości, ale są też sprawy grubsze. Ja sam jestem notowanym kryminalistą, zarówno w kraju, jak i za granicą. Tak – wyroki zatarto lub sprawy przedawnione, ale jednak były. Mam na swoim koncie zarówno list gończy, zatrzymanie paszportu, wyrok kryminalny, jak i serię aresztowań. Mam też teczkę w IPN. A do tego mój śp. Ojczulek miał na SB całą półkę teczek na swój temat, a Dziadek miał całą biblioteczkę teczek w PRL, w sowieckiej Rosji oraz w Trzeciej Rzeszy.

Gdy na prerii dostajesz ksywę, musi to być mocne uderzenie młotkiem. Raz a dobrze i ten ślad zostaje na zawsze. Tak – czasami boli, ale ksywa to ksywa: musi styknąć i jej pojawienie się powinno być znaczące.

Morda dostał swoją od razu, gdyśmy go zobaczyli po raz pierwszy. Ma coś z twarzą. Jego gęba wygląda jak patelnia, na której smażą się jaja sadzone i część się rozlała, a reszta przypaliła.

Morda pojawił się niedawno i otworzył biuro księgowe. Nikt

by do niego nie poszedł, gdyby nie fakt, że poprzedni księgowy zmarł nagle i bez ostrzeżenia. A zawsze był taki pilny, przysyłał ludziom przypominajki, że nadchodzi termin. Był irytujący, ale skrupulatny i dzięki temu nikt niczego nie przegapił. Nigdy nas z niczym nie wystawił do wiatru, nigdy niczego nie pominął, nie zapominał. A tu nagle zmarł i... zostaliśmy sami na podatkowym lodzie. Kto nam teraz obrobi papiery? Cała wioska była srodze rozczarowana jego śmiercią. Mieliśmy żal, że zmarł bez uprzedzenia. Zawsze uprzedzał. Powinien przynajmniej na coś zachorować i najlepiej, żeby to było przewlekłe i powolne.

Odprowadziliśmy go na cmentarz WSZYSCY. Połowa ludzi w kondukcje szła, aby się upewnić, że na pewno nie żyje. To dla nas tragedia! Był tu od zawsze. I księgowal. I kto teraz będzie to robił? Ten nowy, nikomu nieznany, czyli Morda? Po uroczystości kondukt żałobny poszedł do knajpy debatować, co robić w zaistniałej sytuacji i czy Morda to dobre rozwiązanie. Tak wiemy – jedyne (bo innego księgowego tu nie ma), ale czy dobre?

Zmarłego nikt u nas nie lubił. Nikt! Nikt też nie znał nigdzie ani jednej osoby, która by go lubiła, nikt o takiej nie słyszał i nikt nie wyobrażał sobie, by było możliwe istnienie kogoś tak pokreconego, by mógł lubić naszego księgo-

wego. Bo za co i jak, skoro on miał cały zestaw chorób umysłowych utrudniających normalne życie w społeczeństwie, ale ułatwiających księgowanie. Na co dzień był nie do zniesienia.

Zacznijmy od tego, że miał autyzm. Liczył w głowie takie liczby, że do tego trzeba mieć chory umysł. Bardzo chory. Rozkładał twoje rachunki na biurku, a gdy zabrakło miejsca, kładł na podłodze, przyklejał taśmą do ścian i mebli – tak, aby wszystkie twoje kwitki i faktury z całego ubiegłego roku objąć wzrokiem za jednym zamachem. Gdy już objął, liczył w pamięci, znajdował błędy, znajdował brakujące drugie strony lub drugi kawałek paragonu, który ci się oderwał. Był w tym świetny właśnie dlatego, że miał autyzm.

Miał też zespół Tourette’a czy jak to tam się nazywa (popularne w filmach o dziwakach). Idzie dziwak ulicą i znieścacka wykrzykuje przekleństwa albo wyrzuca rękę w górę. Nasz zmarły księgowy miał to bardzo zaawansowane – nerwowe tiki i nerwowe krzyki. Siedzisz przed nim w kantorze, wykladasz swoje rachunki i paragony, a on je przegląda i co jakiś czas rzuca przypadkowy kwit w powietrze i wrzeszczy na ten kwit brzydkim słowem. Potem mówi do ciebie „przepraszam” i studiuje kolejne kwity, jakby się nic nie stało. Za każdym razem, gdy wrzeszczy, ciebie strach zrywa z fotela, bo on to

robi nagle i bez ostrzeżenia, a do tego bardzo głośno. Do naszego starego księgowego szło się zwykle na kropelkach uspokajających albo po flaszcze (praktycznie to samo).

Miał jeszcze kilka innych zespołów, miał cały zespół zespołów – na bazie jego przypadku można by napisać Małą Encyklopedię Psychiatrię.

No np. chodził ulicą jak ten dziwny facet z filmu... Monk! Szedł i omijał niektóre miejsca na chodniku. Myśmy wiedzieli, co omija, ale dla osób przyjezdnych i niewtajemniczonych to musiało wyglądać dziwacznie. Elegancko ubrany pan w garniturze, niosący dwie piękne torebki z doskonałej skóry, starodawne neseserki, na których przyczepiono piękne mosiężne tabliczki: w lewej ręce walizeczka z napisem „WINIEN”, a w prawej z napisem „MA”. Dla osób, które nie wiedziały, że to autentyczny księgowy, wyglądał jak odjechana reklama biura rachunkowego. Szedł zygzakami po chodniku, czasami przeskakiwał... coś. I my wiedzieliśmy co!

Dawno temu, gdy byłem tu nowy i nieobznajomiony, pogadałem z nim i wyjaśnił mi swoje zachowanie tak:

– Omijam kałuże.

– Ale tu nie ma kałuż. Jest sucho, jesteśmy na pustyni i ostatnio padało dwa lata temu. Więc tu zdecydowanie nie ma kałuż. Pan je widzi?

– Nie ma, ale były! Wtedy, gdy padało, były. I ja je wszystkie dokładnie zapamiętałem, każdą obrzydliwie moką kałużę. Do widzenia panu.

Taka to była rozmowa z naszym księgowym. A teraz zmarł.

Świeć, Panie, nad jego duszą. ☺☺

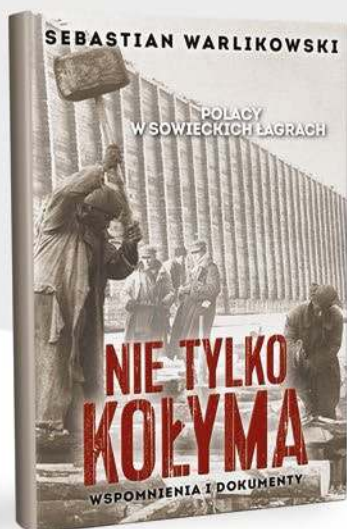


FOT. W. CEJROWSKI / LUDJASZKAWISJOSKI

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKA

SEBASTIAN WARLIKOWSKI:
„POLACY W SOWIECKICH ŁAGRACH.
NIE TYLKO KOŁYMA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~929~~ ZŁ

346,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 583 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

ŻOŁNIERZE WYKLĘCI 1943–1953 ZNÓW ZAPOMNIANI

Nie wojna domowa, tylko obrona narodu
przed sowiecką okupacją



KOŚCIÓŁ I KOMUNA – W latach 1945–1950 wzrastał w Polsce terror wobec duchownych i złudzenia prymasa „MARCHLEWSZCZYZNA” – Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw nie nadawało się do roli „imperialistycznego agresora” tak jak II RP

POLACY BUDOWALI LIPAWĘ – Rosja potrzebowała niezamarzającego portu na Bałtyku. Wybór cara zapadł w II połowie XIX w.

W IMIĘ CELTÓW – Zagorzali separatyści bretońscy założyli podczas drugiej wojny światowej mundury Waffen-SS i wzięli do ręki broń przeciw państwu francuskiemu

ZŁODOWACENIA W POLSCE – Jeśli bylibyśmy w interglacjale wielkiej epoki lodowcowej, to czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat

BERBERZY NA ISLANDII – W wiekach XVII i XVIII islamscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę 1 125 000 Europejczyków. Dotarli nawet pod koło podbiegunowe...

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**